ANTYPOLONIZM NADAL W MODZIE

Dlaczego Instytut Yad Vashem stawia na książkę Jana Grabowskiego?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 4/613 20–26 STYCZNIA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha wylicza, jak mocno podrożały finały Orkiestry Owsiaka

WOJCIECH CEJROWSKI
KONTRA
PAŃSTWOWA
CENZURA
W INTERNECIE

Ile jest winy lewaków w rozprzestrzenianiu się pożarów w Los Angeles

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 44 500 egzemplarzy

Leszek Miller o porażce ekipy Tuska w sprawie Wołynia w zaskakującej rozmowie z „Do Rzeczy”:

NIE MA ŻADNEGO PRZEŁOMU

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

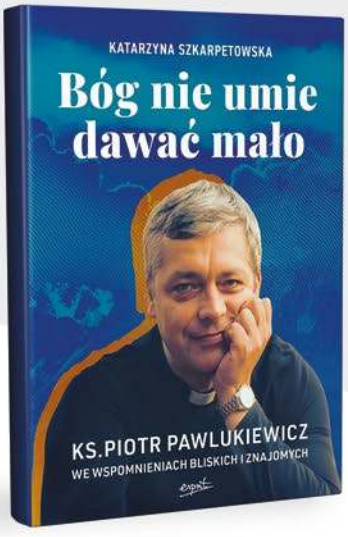

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA: „BÓG NIE UMIE DAWAĆ MAŁO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~933~~ ZŁ

467,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 466 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3bd2b0f672

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wielka flota Donalda Tuska

Z dnia na dzień rośnie we mnie serce, patrząc na odwagę i zuchwałość polskich władz. Nic im nie jest straszne. Najpierw Warszawa rzuciła na kolana ambasadora Węgier, który do tej pory nie może dojść do siebie po tym, jak nie zaproszono go na uroczystość otwarcia polskiej prezydencji w Unii Europejskiej. Następnie dzięki zręcznym posunięciom polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych udało się Polsce zablokować przelot do Rosji słowackiej delegacji parlamentarnej (wprawdzie był to sukces połowiczny, bo Słowacy nie przelecieli nad Polską, ale wykorzystali do tego inne państwa). W ten sposób polska dyplomacja jasno dała do zrozumienia, że nikt nie będzie nas lekceważyć. Albo jesteśmy potęgą, albo nie. Najważniejsze, że Polska nie ogranicza się do pokazywania swojej siły tylko w regionie Europy Środkowej. Za sprawą Donalda Tuska okazało się, że mamy nie mniej silne karty w rozgrywce o pozycję na Bałtyku.

Ledwo przebrzmiała informacja o zagubionym w Polsce i cudownie odnalezionym w tajnych magazynach Ikei transporcie kilkuset min (kto by się przejmował taką bagatelą), premier z marsową miną zapowiedział, że do operacji na Bałtyku przystąpi polska flota dalekomorska. Chodzi o powstrzymanie rosyjskiego transportu morskiego i zablokowanie tzw. floty cieni, czyli statków, które przewożą rosyjskie surowce pod inną banderą. Donald Tusk stwierdził we wtorek, że bezpieczeństwo na Bałtyku musi być wzmocnione, i wskazał, donoszą media, że Polska zaproponowała formę patrolowania przy użyciu jednostek NATO-wskich i narodowych. Dodał, że do aktów dywersji na Bałtyku zniechęcić może gotowość do podejmowania „radykalnych" decyzji.

Ośmielony tym mocnym przekazem szefa polskiego rządu postanowiłem, o ja małoduszny, sprawdzić, jakimi to siłami dysponuje polska flota, która będzie skutecznie odstraszać Rosję i Chiny, zajmować ich statki, a w razie potrzeby je niszczyć. Bo czy nie na to wskazuje zapowiedź „radykalnych" działań? Otóż po krótkich poszukiwaniach w Internecie z pewną konsternacją dowiedziałem się, że, jakby tu powiedzieć, możliwości polskiej floty są nader, nader skromne. Wpisane do Google'a pytanie: „Ile Polska ma okrętów wojennych?" przyniosło odpowiedź zaskakującą. Otóż przeczytałem, że „obecnie polska Marynarka Wojenna posiada jeden okręt podwodny. To ORP »Orzeł«, który wszedł do służby w 1986 r.". Hm, jeden 40-letni okręt podwodny? Wprawdzie nieco uspokoił mnie buńczuczny tytuł na portalu defence24: „Nie lekceważmy obecnych możliwości Marynarki Wojennej RP", ale po wczytaniu się w tekst jakoś trudno mi było uznać, że rozpoczęte programy budowy statków są tym samym, co pływające i działające statki.

Tym bardziej że z „Rzeczpospolitej" dowiedziałem się, iż „Polska Marynarka Wojenna dysponuje obecnie zaledwie dwoma okrętami pełniącymi funkcje patrolowe – ORP „Ślązak" i ORP „Kaszub". Te jednostki, mimo swoich ograniczeń, stanowią trzon polskiej floty patrolowej na Bałtyku". A więc jeden okręt podwodny i dwa statki patrolowe? A poza tym co znaczy ten dodatek „mimo swoich ograniczeń"?

W artykule wspomina się wprawdzie jeszcze o dwóch starych amerykańskich fregatach, ale okazuje się, że „największą polską jednostką bojową jest ORP „Ślązak". W bardzo długim i z tego powodu niezbyt czytelnym haśle dla Wikipedii napisano, że w 2022 r. „Komenda Portu Wojennego w Gdyni ogłosiła zamiar przeprowadzenia modernizacji okrętu, polegającej na dozbrojeniu go w pociski przeciwlotnicze i przeciwokrętowe oraz pasywne systemy walki elektronicznej. Pierwszym etapem prac ma być przeprowadzenie prób stateczności i niezatapialności okrętu". Czyli jeśli w 2022 r. komenda „ogłosiła zamiar modernizacji", to zapewne nie został on jeszcze spełniony.

Wygląda na to, że to wszystko. A więc z takimi siłami Polska zamierza podejmować „radykalne" decyzje, które uniemożliwią Rosji omijanie sankcji? Premier Tusk postanowił podążyć tu drogą wyznaczoną przez swojego ministra spraw zagranicznych, Radosława Sikorskiego, który w czerwcu 2024 r. stwierdził, że „Europa musi nauczyć się lepiej grać w grę eskalacyjną, utrzymując Władimira Putina w niepewności co do swoich zamiarów". Jestem przekonany, że słysząc o radykalnych decyzjach Tuska i wiedząc, o tym, co może zrobić ORP „Śląsk", Putin padł plackiem z przerażenia. Można przyjąć, że natychmiast zażąda wycofania z Bałtyku swojej floty. Jest to tym bardziej uzasadnione, że już wcześniej polskimi zapowiedziami musiało zostać mocno przestraszone jej dowództwo z Królewca. Przypomnę, że o ewentualnym zajęciu tego miasta wraz z całym okręgiem wspominał polski generał Waldemar Skrzypczak.

Nie mam zatem wątpliwości, że słowa premiera doprowadzą do „wzmocnienia bezpieczeństwa na Bałtyku". Przecież wystarczy tylko chcieć i powiedzieć, a się stanie. Wystarczy ogłosić i będzie. Najciekawsze, że jakaś grupa Polaków naprawdę w to wierzy. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z LESZKIEM MILLEREM
NIE MA ŻADNEGO PRZEŁOMU
Porażka ekipy Tuska w sprawie Wołynia

KRAJ

22 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ZAMORDYZM W DEMOKRATYCZNEJ SKÓRZE
Jedna partia, jeden przekaz

24 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
BYLE NIE TRZASKOWSKI

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKA FRUSTRA: NIE DOWIEŹLI I NIE DOWIOZĄ

30 ŁUKASZ WARZECHA
PROBLEMY ŚWIĘTEGO JURASA

33 ROZMOWA Z MICHAŁEM KOTEM
ZA EGOIZM MŁODYCH ODPOWIADA POKOLENIE ICH RODZICÓW

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
ŻULCZYK ZREDUKOWANY
Polska porażka Netflixa

38 ŁUKASZ NEUBAUER
WIARA KATOLICKA UKRYTA W ŚWIECIE BAŚNI

41 GRZEGORZ KONDRASIUK
CZECHOWICZ ODZYSKANY

42 MACIEJ PIECZYŃSKI
DZIECI LICHYCH PRZEMIAN

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

48 PIOTR SEMKA
O RUSOFOBII. PRZYCZYNA I SKUTEK, CZYLI JAK NIE STAWIAĆ WOZU PRZED KONIEM
Polemika z Marcinem Skalskim

51 WOJCIECH GOLONKA
WOKE JUŻ NIE POPŁACA

HISTORIA

54 PIOTR GONTARCZYK
ORDYNARNE KPINY Z CMENTARZYSKA
Dlaczego Instytut Yad Vashem stawia na książkę Jana Grabowskiego?

58 PIOTR SEMKA
PO HITLERZE, CZYLI NASZE PIĘKNE ROZLICZENIA

ŚWIAT

62 ROZMOWA Z GEORGE'EM SIMIONEM
MUSIMY WALCZYĆ Z DYKTATURĄ
Rumuński scenariusz powtórzy się w Polsce?

66 TERESA STYLIŃSKA
KTO RZUCI UROK NA TRUMPA?

68 JAN BOGATKO
FIREWALL W POLITYCE NIEMIECKIEJ

70 AGNIESZKA COUDERQ
POŻARY W LOS ANGELES OBNAŻAJĄ SŁABOŚĆ DEMOKRATÓW

EKONOMIA

74 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PŁACZKIEM
NASZE BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE JEST ZAGROŻONE
Polski węgiel wrogiem europejskiej polityki klimatycznej

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 3bd2b0f672

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Yuriy Dyachyshyn/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 44 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Oda miłosna do karpia", Cezary Gmyz, „DRz" nr 51/2024

W świątecznym numerze tygodnika „Do Rzeczy" ukazał się artykuł Cezarego Gmyza „Oda miłosna do karpia". Autor, prostując nieprawdziwe informacje na temat historii obecności tej ryby na polskich stołach wigilijnych, popełnia niestety inne błędy. Sugeruje np., że Kaniów, a więc miejscowość, w której działał hodowca Adolf Gasch, leżał na Śląsku Cieszyńskim. Otóż Kaniów leży w Małopolsce, a nie na Śląsku, a przed pierwszą wojną światową położony był w prowincji austriackiej Galicja, podczas gdy Śląsk Cieszyński w tym samym okresie był częścią innego kraju koronnego, tj. Śląska Austriackiego. Granicą między Galicją a Śląskiem Austriackim, czyli pomiędzy Małopolską a Śląskiem, była i jest rzeka Biała – Kaniów leży na jej wschodnim, małopolskim brzegu. Dodajmy jako ciekawostkę, że na tej rzece biegła też granica diecezji: odpowiednio krakowskiej i wrocławskiej – Kaniów leżał rzecz jasna w tej pierwszej. Stąd nazwa karp galicyjski (bo wyhodowany został w Galicji), a wspominana w artykule niechęć mieszkańców sąsiedniego Śląska Cieszyńskiego do nazwy „Galicja" ma zupełnie inne źródła niż te, które sugeruje autor.

Z poważaniem
dr Grzegorz Wnętrzak,
Stowarzyszenie Beskidzki Dom

Od autora

Szanowny Panie,
bardzo dziękuję za merytoryczną uwagę do mojego tekstu. Mylnie założyłem, że Adolf Gasch działał na tym samym terenie Komory Cieszyńskiej co Tomasz Dubisch. Faktem jest jednak, że Kaniów rzeczywiście leży już po galicyjskiej stronie rzeki Biała. Serdecznie przepraszam mieszkańców Kaniowa za błąd, jednocześnie życząc smacznego karpia, z którego hodowli mogą być dumni.

Z poważaniem
Cezary Gmyz

„Węglowe kłamstwo", rozmowa z dr. inż. Tomaszem Wójcikiem, „DRz" nr 3/2025

Szanowna redakcjo, Szanowny panie Tomaszu Cukierniku,
przeczytałem dosyć uważnie wywiad Tomasza Cukiernika z Tomaszem Wójcikiem na temat kłamstwa CO_2. Chcę się odnieść do eksperymentów przeprowadzonych przez Norwegów dotyczących absorpcji CO_2. W zasadzie ten wywiad ugruntował moje przekonanie, że wskazywanie CO_2 jako winowajcy ocieplenia to przekręt XXI w.

Skąd wziąłem to przekonanie? Kiedyś przed laty oglądałem na Discovery film o badaniach na Arktyce. W skrócie: naukowcy brali i wiercili rdzenie lodowe i je badali na okoliczność czasu i minerałów i substancji zawartych w wykrojonej próbce. Na filmie jak to na filmie popularnonaukowym pokazywano maszyny wiercące próbki lodówki, metody badań, jak się określa wiek. I zawartość substancji chemicznych w lodzie. Wniosek z tych badań był jeden – ocieplenie wyprzedzało wzrost CO_2 w próbkach lodu. Warto byłoby dotrzeć do tego dokumentu Discovery. Kompletnie nie wiem, kto te badania zrobił – ale był to na tyle frapujący film, że zapadł mi w pamięć.

Mariusz Wiącek, Mielec

eprasa.pl 3bd2b0f672

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zełenski stawia na jednego konia

PIOTR SEMKA

To pierwsza wizyta prezydenta Ukrainy nad Wisłą od długiego czasu. Co przywiodło Wołodymyra Zełenskiego do Polski? Coraz gorsza dyplomatyczna sytuacja Kijowa. Niemcy pogrążone w politycznym kryzysie porzuciły na czas swojej kampanii wyborczej rolę głównego adwokata Ukrainy. Wśród zachodnich sąsiadów Ukrainy wytworzyła się grupa państw niekryjących dystansu wobec Kijowa – to Węgry, Słowacja, Rumunia, do których niedługo dołączy Austria. Siła wsparcia Paryża i Londynu nie jest jasna. A tego, jaką politykę wobec wojny ukraińsko-rosyjskiej przyjmie Donald Trump, nikt nie jest w stanie do końca przewidzieć.

W tej sytuacji Zełenski postanowił odwiedzić Warszawę i nie krył, że przyjeżdża głównie dla Donalda Tuska. Ukraiński gość po spotkaniu z polskim premierem mówił dużo o potrzebie pomocy dla swego kraju, ale wypowiadał się niezwykle wstrzemięźliwie o zasadach i terminarzu ekshumacji polskich ofiar na Wołyniu. Mówił głównie Donald Tusk, ogłaszając, że przełom w tej kwestii już nastąpił. Dlaczego Tusk wybrał rolę kogoś, kto tak chętnie żyruje politykę ukraińską bez wyraźniejszych deklaracji Zełenskiego? Bez ujawnienia szczegółów planu działań? Jedyna odpowiedź, która się nasuwa, to chęć wykorzystania wizyty do krajowej polityki. Pokazania się jako ktoś, kto potrafi coś z Ukraińcami załatwić w kontraście do bezradnego PiS, na dodatek knującego po cichu z Putinem.

Tyle że wchodząc w taką grę, Tusk uwiarygadnia domniemane porozumienie bez pewności, czy ewentualny przełom będzie nim naprawdę. Bez jasnej wiedzy, jak szeroko zakrojone mają być prace poszukiwawcze, i bez jasnych deklaracji, czy w ustawodawstwie ukraińskim wprowadzone zostaną przepisy przyśpieszające procedury, które dotąd grzęzły w labiryntach administracji Ukrainy.

A co Zełenski miał dla PiS, jej kandydata prezydenckiego i – szerzej – dla prawej strony polskiej opinii publicznej? Gdy służby prasowe Zełenskiego zaaranżowały wywiad z gościem z Kijowa, do rozmowy zaproszono czworo dziennikarzy z mediów liberalno-lewicowych. I nikogo z Telewizji Republika czy telewizji wPolsce24. Tym łatwiej było Zełenskiemu pozwalać sobie na ironiczne uwagi o Karolu Nawrockim, włącznie z arogancką prośbą, by dziennikarze przypomnieli jego nazwisko.

Po prawej stronie polskiej sceny politycznej Ukraina straciła dużo sympatii. Zełenskiemu nie musiały się spodobać twarde deklaracje Nawrockiego, że bez zamknięcia kwestii z przeszłości Polska nie poprze aspiracji Kijowa do członkostwa w Unii i NATO. Ale można było te animozje starać się załagodzić lub je wyjaskrawić. Zełenski wybrał to drugie. I podkręcił dodatkowo efekt „stawiania na Platformę", znajdując czas w napiętym grafiku warszawskiej wizyty na specjalne spotkanie z Rafałem Trzaskowskim.

Dobry polityk nigdy nie stawia na jednego konia. A jednak gość z Kijowa uznał, że nowym prezydentem Polski w 2025 r. na pewno będzie ktoś z Platformy. Za cztery miesiące przekonamy się, czy Zełenski obstawił trafnie. ©℗

FOT. SPACEX

STARSHIP EKSPLODOWAŁ

Starship – mierząca 123 m megarakieta – podczas siódmego lotu testowego rozpadła się w powietrzu na kawałki. Według medialnych doniesień sześć silników rakiety nośnej Starship wyłączało się sekwencyjnie, co doprowadziło do utraty łączności. Jak zauważył Elon Musk, według wstępnych informacji do eksplozji doprowadził wyciek „ciekłego tlenu/paliwa w komorze nad ścianą silnika statku". Spółka SpaceX dąży do wysyłania ludzi i ładunków na orbitę Ziemi, Księżyc oraz Marsa. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SKANDALIŚCI II RP

Ekscesy polskich gwiazd – alkohol lał się tu strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę. Elity artystyczne przedwojennej Polski szokowały swoimi ekscesami

Pożary serc – w obozie piłsudczykowskim pełno było skandali obyczajowych, zaczynając od samego Marszałka, który miał spore doświadczenie w zarządzaniu równoległymi związkami

Czarni przeciw czarnym – gdyby nie współpraca afrykańskich pośredników z handlarzami z Europy, nigdy tak wielu ludzi zakutych w kajdany nie trafiłoby za Ocean Atlantycki

Poszukiwanie arcydzieł Matejki – latem 1945 r. grupa polskich muzealników przemierzała ówczesny polski Dziki Zachód wśród sowieckich maruderów i niedobitków z Wehrwolfu

Drakula na tronie – życia Włada Palownika nie trzeba już niczym ubarwiać. Prawdziwa historia krwawego hospodara przeraża bardziej niż gotyckie opowieści o wampirach

Najdziwniejsza wojna świata – wysłanie wojsk na drugi kraniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem, ale Margaret Thatcher nie mogła opuścić mieszkańców Falklandów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 3bd2b0f672

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Raport z Wariatkowa

Do wiekopomnych dzieł, które pozostawi po sobie obecna władza, doszło kolejne. Po takich hitach jak sejmowe raporty o 600 tys. wiz, których było 400, i o Pegasusie, który był kupiony i używany legalnie, ale przez niewłaściwe osoby, doszedł teraz prawdziwy bestseller: raport o wpływach rosyjskich w Polsce autorstwa specjalnej rządowej komisji, kierowanej przez szefa kontrwywiadu, gen. Jarosława Stróżyka.

Stróżyk wyraźnie nie był pewien swych uzdolnień literackich, dlatego poszedł w „ałtsoursing" i do napisania dzieła zatrudnił wybitnych specjalistów. Przede wszystkim Tomasza Piątka, prawdziwego mistrza nieoczywistych skojarzeń, potrafiącego połączyć każdego z każdym i wszystko ze wszystkim, a zwłaszcza z Putinem i Opus Dei, i udowodnić to poprzez narysowanie strzałki. Oprócz niego raport pisały takie tuzy jak Anna Mierzyńska, internetowa specjalistka od podciągania każdej informacji niewygodnej dla władzy pod pojęcie „dezinformacji" i „fejkniusa", oraz Klementyna Suchanow, specjalistka od wojny damsko-męskiej, niejakiego Margota i rzucania jajami w limuzynę prezydenta. A, jeszcze Marcin Celiński, specjalista od Tomasza Piątka.

To, co wymodziło doborowe grono, w majestacie organu państwowego, jest dostępne w Internecie. Zresztą choćbym chciał, mimo doświadczenia wieloletniego recenzenta „Fantastyki", któremu przyszło pastwić się nad najbardziej grafomańskimi dokonaniami gatunku, opisanie bezmiaru głupstw, którymi ów „raport" zapełniono, po prostu przerasta moje możliwości. Powiem tylko, że nie znajdą tam państwo nic na serio o rosyjskich wpływach w Polsce, za to wiele o tym, że ktoś zalajkował wpis na Twitterze negujący sens „polityki klimatycznej", wspierający Straż Graniczną w walce o powstrzymanie „nachodźców" albo krytykujący politykę Niemiec, bo właśnie takie działania uznane są w tym utworze za „rosyjskie".

A tak poważnie? Kompromitacja totalna oczywiście. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Bakunin, Giertych i inni

Bakunin uważał, że cała nasza wolność skupia się w tej jej cząstce, którą nam odebrano. Wolność, którą dysponujemy – choćby polityczna – jest nieciekawa. Ważne jest to, że państwo „narzuca nam" kodeks wykroczeń i prawo drogowe. Gdyby nie to, że ta doktryna inspirowała ekstremistyczną politykę, można by ją uznać za przejaw antyspołecznej neurozy.

Całkiem podobnie działa współczesny anarchonacjonalizm. Dla niego z kolei wartość mają tylko te suwerenne kompetencje państwa, które państwo – przez presję zagranicy czy oportunizm polityków – oddało. Gdy to następuje, warto przeciw ich utracie protestować i krzyczeć o końcu niepodległości. Dopóki są, dopóty ani nie budzą emocji, ani nie inspirują polityki. Tę ostatnią zastępuje tyleż hałaśliwy, co monotonny protest.

Jaka myśl może kierować taką niepolityczną, a w każdym razie nieinstytucjonalną, „polityką"? Strategia Krzyku i Przełomu. Będzie krzyk, potem jeszcze większy, a gdy już krzyk ogarnie cały naród – dokona się Przełom Narodowy! Zmieni się społeczeństwo, państwo i nastąpi koniec historii, a właściwie – jej prawdziwy początek.

Maurras uważał, że gdy niepatriotyczne lub rewolucyjne ugrupowania obejmują władzę, czasami sam zbawienny mechanizm państwa może wdrożyć je do realizacji interesu narodowego. Podobnie jednak – dzięki przywilejom, które niesie – działa na niższym poziomie mechanizm polityki wyborczo-parlamentarnej. Do międzypartyjnej gry może wciągnąć nawet tych, którzy wcześniej uprawiali jedynie anarchonacjonalistyczną kontestację. Z tym że jaki mechanizm – takie efekty. Najbardziej ilustratywny przykład to Roman Giertych. Choć nic tam już nie zostało z wielkapolskiej tromtadracji, to pozostała nieuleczalna metoda – pasja zwalczania innych Polaków. Oby przynajmniej jego wychowankowie potrafili do końca się od tego fatalnego wpływu uwolnić. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Lament nad miastem Rzymem

Czytelnikom, których kontakt z lokalną administracją doprowadził do szewskiej pasji, radzę, aby pocieszyli się zacnym trunkiem w zaprzyjaźnionym barze, a potem padli na kolana i podziękowali Panu Bogu, że nie mieszkają w Rzymie.

Stanąłem przed koniecznością przedłużenia ważności włoskiego dowodu osobistego. Bez niego trudno we Włoszech cokolwiek załatwić. W urzędzie miły pan nie bez dumy oświecił mnie, że władze ostatnio „ucyfrowały się", więc trzeba umówić wizytę w Internecie, ale za to można składać podania w dowolnej włoskiej gminie. Ochoczo zasiadłem przed komputerem, wypełniłem co trzeba, przesłałem, ale okazało się, że w Rzymie najwcześniej można umówić wizytę w sierpniu, ale tylko tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Bliżej centrum proponowano spotkanie w październiku albo w listopadzie.

Nasi przyjaciele z Warszawy kupili mieszkanko nad morzem w Santa Marinella pod Rzymem, a żona pomagała im załatwiać formalności. Przy okazji zaprzyjaźniła się z urzędniczką miejscowej gminy. Stąd padł pomysł, żeby tam uderzyć. Umówiliśmy przez Internet wizytę w urzędzie na 20 stycznia i czuliśmy się jak Napoleon po bitwie pod Austerlitz. Nie tak szybko, moja rybko... Na szczęście zadzwoniliśmy na wszelki wypadek do pani urzędniczki. Okazało się, że bardzo wiele włoskich gmin, w tym Santa Marinella, zmówiło się i wydaje dowody osobiste tylko własnym rezydentom. Ale pani poradziła spróbować gdzie indziej, sugerując Civitavecchię (80 km od Rzymu). Udało się! 21 lutego będę mógł złożyć podanie w Civitavecchia i przy odrobinie szczęścia odebrać dowód osobisty sześć tygodni później. Ale jako że tam nie mieszkam, będę musiał dodatkowo zapłacić 40 euro haraczu.

Dziesięć lat temu w Rzymie w czasach ciemnoty elektronicznej przedłużyłem ważność dowodu osobistego od ręki w urzędzie za rogiem. A jeśli chodzi o urząd w Civitavecchia, to z jakichś powodów znajduje się on poza miastem, zapewne jako kolejny pomnik wyższości człowieka nad zdrowym rozsądkiem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 3bd2b0f672

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KASA SZKODZI

Dobrze, jak nie za dobrze. Próbuje przekonać nas o tym piosenkarka Luna Wielgomas, która reprezentowała Polskę podczas ostatniego konkursu Eurowizji (bez powodzenia, dodajmy). Wokół gwiazdy zrobiło się głośno nie tyle za sprawą talentu, ile powiązań rodzinnych. Luna bowiem to córka potentata z branży keczupowej. Wielu zarzucało, że to dzięki pieniądzom ojca dziewczyna mogła zacząć śpiewać. Tymczasem sama zainteresowana zaprzecza. Co więcej, twierdzi, że zaplecze materialne, które dostała od rodziny, tylko jej zaszkodziło. – Myślę, że status materialny moich rodziców przeszkadza w mojej karierze, wcale nie traktuję tego jako czegoś, co mi pomogło – stwierdziła w rozmowie z agencją Newseria. – Ludzie wysnuwają jakieś teorie, że rzekomo moi rodzice pomogli mi osiągnąć sukces, a ja np. na swojej skórze widzę to na odwrót. Bo w momencie, kiedy wszyscy zaczęli się interesować moim życiem, moją rodziną i szukali na ten temat różnych informacji, to mi to utrudniło wiele rzeczy – podkreśla Wielgomas. Co stanowi problem dla wokalistki? – Przede wszystkim bardzo weszło mi to na poczucie wartości, bo przestałam myśleć o sobie jako o niezależnej artystce, tylko weszłam w głupie schematy, że ja jestem czyjąś córką. A przecież to w ogóle nie ma znaczenia, czyją jestem córką, siostrą i tak dalej, bo ja jestem osobnym bytem, niezależną jednostką, sama o sobie stanowię, zajmuję się zupełnie czymś innym niż moi rodzice i tak naprawdę tworzę od wielu lat – wyjaśnia. Swoje robią też uparci hejterzy. – Mam paru takich fanów, oczywiście przesyłam im bardzo dużo miłości i uśmiechu, którzy po prostu pod każdym postem piszą to samo, że wydaję piosenki tylko dzięki rodzicom albo że oni kupili mi Eurowizję. No jakby mój ojciec kupił całą Eurowizję, to byłaby to wspaniała rzecz, ale nie wiem, czy komuś kiedykolwiek udało się coś takiego zrobić – ironizuje Wielgomas. Gwiazda podkreśla, że czasami już opadają jej ręce. – I tak sobie myślę: czy osoby, które to piszą, w ogóle interesuje muzyka, którą ja wydaję. To są chyba raczej tylko komentarze wynikające z wewnętrznej frustracji, z jakiejś niepewności i ich niskiego poczucia wartości – analizuje piosenkarka. Muzyka pani Luny jest tak świetna, że wszyscy wolą mówić o keczupie. To komentuje się samo.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

TURECKI ZAWÓD

Najpierw Luna, to teraz Laluna. „Porobiona" influencerka i zawodniczka pato-MMA postanowiła poddać się kolejnemu zabiegowi medycyny estetycznej. Kiedy już dotarła do ziemi obiecanej fanów operacji plastycznych, czyli do Turcji, okazało się, że zabiegu nie będzie. „NIE MAM OPERACJI. Okazało się, że mam do wyrwania dwie ósemki i muszę to najpierw zrobić i wtedy mam przyjechać! Oni nie podejmą tego ryzyka, bo to bardzo niebezpieczne, jeżeli dostanę jakiejś infekcji! To jest operacja twarzy i to bardzo zagraża, jeżeli ma się problem z zębami. No trudno, lepiej nie ryzykować życia, lecę do Polski zrobić ząbki i wrócę. Boję się i dlatego też wycofałam się teraz" – relacjonowała pani Laluna na InstaStories. Później wyznała, że gdyby się bardzo uparła, to zabieg mógłby się odbyć, jednak bezpieczeństwo jest ważniejsze. „Nie zrobiłam operacji, wracam do Polski. Mogłabym, jakbym się uparła, ale wolę nie ryzykować życia. Wyrwę zęby ósemki, wyleczę to i wtedy wrócę, ale najpierw podejmę sobie walkę i polecę po leczeniu zębów i po walce" – zapowiedziała.
To niesamowite, że internetowy kontent można zrobić dosłownie na wszystkim. Na operacjach plastycznych, a także na ich braku.

MEGA WARTO

Dobry kontent robi się też na dalekich podróżach, najlepiej takich na bogato. Ola Nowak, jedna z najpopularniejszych influencerek modowych w Polsce, wakacjuje się z narzeczonym w Tajlandii. Czegóż tam nie ma! Wszystkiego jest tak dużo, że Nowak postanowiła podsumować wydatki podczas jednego dnia spędzonego na popularnej wśród turystów wyspie Phuket. – Transfer z lotniska był w cenie hotelu, który wybraliśmy na pierwsze dni – były to takie wille z prywatnym basenem. Cena w szczycie sezonu, w którym jesteśmy, to 2,4 tys. zł za noc – zaczęła. – Room service do pokoju, czyli pad thai, dream curry, mango sticky rice i kawki – kosztował ok. 130 zł – wylicza influencerka. Dodatkowy koszt to wycieczka po pobliskich wysepkach. – Pięciogodzinna wycieczka skuterami wodnymi z prywatnym przewodnikiem po dziewięciu wyspach kosztowała nas 1,5 tys. zł – zrelacjonowała. – Wieczór spędziliśmy w hotelu i zamówiliśmy różaną kąpiel za 80 zł – dodała Ola Nowak. Polscy celebryci nie będą chodzić na piechotę. – Skuter do przemieszczania się to tu totalny must have. Cena to ok. 60 zł za dzień. Szybki pad thai po drodze za 20 zł. Czterogodzinny pakiet dla dwóch osób w jednym z najbardziej polecanych spa kosztował 650 zł. Udało mi się skorzystać z noworocznej promocji. Normalnie kosztuje to 1,2 tys. zł. Ale nawet w tej cenie mega warto – podkreśla Ola. Mega, mega. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w tym tygodniu przypadają dni osób płodzących waszych osób płodzących, czyli prościej mówiąc – do czego też stosuje się w większości zaściankowe polskie społeczeństwo – Dzień Babci oraz Dzień Dziadka.

Jest to of kors święto stygmatyzujące i kultywujące tradycyjne role płciowe. Babcia i dziadek są tak nazywani z uwagi na płeć biologiczną, a nie ze względu na swoją prawdziwą tożsamość, która niestety przez wiele lat mogła być ukrywana. Założymy się, iż raczej nikt z was nigdy nie zapytał swojej osoby płodzącej osoby płodzącej, jakie są jej/jego zaimki, jak chce być nazywana i czy etykietka, którą nosiła przez całe życie, jej nie ciąży.

Może pamiętacie, jak kiedyś lewicowe postępowe organizacje proponowały nowoczesną narrację, iżby obchodzić również Dzień Dziabka, czyli osoby niebinarnej będącej rodzicem rodzica? Zachęcamy do tego, aby wrócić do tego zwyczaju. Zwłaszcza że jeśli my tego nie zrobimy, to kto? W sytuacji, kiedy w przedszkolach i szkołach nadal dominuje tradycyjne podejście do tematu.

Dlatego też składamy serdeczne życzenia wszystkim dziabkom: wszystkiego neutralnego z okazji waszego świecka!

Mamy dobre wieści z pogranicza lifestyle'u i gospodarki. Otósh Polacy jedzą podobno coraz mniej ziemniaków. Bardzo nas to cieszy, ponieważ jedzenie ziemniaków nieodparcie kojarzy nam się z podkarpacką chatą krytą strzechą i niedzielnym obiadem po kościele, gdzie do ziemniaków serwuje się kotlet schabowy, kapustę zasmażaną, pół litra wódki i łzy uciemiężonej waginoosoby, która to wszystko musiała samodzielnie przygotować.

Wyobrażacie sobie w ogóle poważnego człowieka jedzącego ziemniaki? Na przykład: macie spotkanie biznesowe w korpo, zapraszacie klienta na lunch, a wy idziecie z nim do baru mlecznego na młode ziemniaki z kefirem. Albo wychodzicie wieczorem pobawić się na mieście i wybieracie lokal, w którym drinki można przegryźć tłuczonymi ziemniakami. No litości...

Na Zachodzie dania z ziemniaków mają przynajmniej jakieś ciekawie brzmiące nazwy, jak gratin czy purée. A u nas ziemniaki albo młode, albo tłuczone, ewentualnie frytki, co zresztą nie jest nawet polskim wynalazkiem. Jak więc widzicie, niestety Polakom wciąż brakuje wyobraźni kulinarnej, mimo że jedzą te ziemniaki od czasów prasłowiańskich, odkąd tylko skończyli gonić mamuty i zajęli się uprawą roli.

Miejmy więc nadzieję, iż nie jest to tylko chwilowy trend, ale trwalsza zmiana postawy, która sprawi, iż zaczniemy się odżywiać nowocześniej i bardziej światowo, zwłaszcza że wegański ramen można w zasadzie kupić już niemal na każdej ulicy.

To znaczy of kors nie mamy złudzeń, iż nagle ziemniaki znikną z podkarpackiej diety – elektorat prawicy nadal pożera je tonami. Jest natomiast szansa, iż w większych ośrodkach, wśród osób, które zobaczyły i posmakowały więcej świata, ziemniaki odejdą w niepamięć jako symbol patriarchalnej opresji, nieodparcie kojarzącej się z tradycyjną ludową obrzędowością. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Gaśnica wyborcza

Ja się tobie, Sławek, nie muszę z niczego tłumaczyć. Ale mogę ci pokazać logo mojej kampanii, bo już mam gotowe.
Czyli od dawna się przygotowywałeś, Grzegorz?

Nie, tutaj na korytarzu szybko nakreśliłem.
I wydrukować zdążyłeś?

Mam w teczce drukarkę podręczną. Ładne?
Co to jest?

Gaśnica. I gadżety również mam już gotowe. Zobacz, jakie ładne.
Też gaśnice?

Takie miniaturowe. Ale najlepsze, że działają. O!
Co ty wyprawiasz?! Nowy garnitur!

Ja wtedy swój w sprawie polskiej poświęciłem i się nie mazałem.

©℗ *Łukasz Warzecha*

OD RZECZY

„[...] jest możliwość wyrzucenia człowieka z pracy".

DR KATARZYNA BĄKOWICZ, *medioznawca z SWPS, ekspertka ONZ, członek rządowej komisji do spraw badania rosyjskich wpływów kierowanej przez Jarosława Stróżyka, w Polsat News o tym, jak się karze w Niemczech i jak się powinno karać w Polsce za szerzenie w mediach społecznościowych „mowy nienawiści", kłamstwa lub dezinformacji*

eprasa.pl 3bd2b0f672

WRESZCIE PRZEŁOM W STREFIE GAZY?

Przedstawiciele Izraela i Hamasu zaakceptowali warunki zawieszenia broni. Porozumienie w tej sprawie udało się zawrzeć po trwających od ponad roku negocjacjach, prowadzonych za pośrednictwem Kataru, Egiptu oraz innych państw (w tym członków administracji ustępującego Joe Bidena oraz zespołu powołanego przez prezydenta elekta Donalda Trumpa).

Celem porozumienia, które formalnie miało wejść w życie w niedzielę 19 stycznia (dzień przed inauguracją prezydenta Trumpa), ma być uwolnienie przetrzymywanych przez Hamas zakładników oraz wycofanie sił izraelskich ze Strefy Gazy. Palestyńska obrona cywilna poinformowała, że od 15 stycznia, gdy Katar ogłosił publicznie informację o zawieszeniu broni, Izrael zintensyfikował ataki na terytorium Strefy Gazy. Według telewizji Al-Dżazira tylko od 15 do 17 stycznia izraelscy żołnierze zabili co najmniej 101 Palestyńczyków, w tym 27 dzieci oraz 31 kobiet. Od czasu rozpoczęcia zmasowanej operacji w Strefie Gazy w izraelskich atakach zginęło co najmniej 46 tys. Palestyńczyków.

Według raportu Organizacji Narodów Zjednoczonych bombardowanie Gazy przez Izrael wyrządziło tak poważne szkody, że odbudowa infrastruktury cywilnej zajmie co najmniej dekadę.

Krwawa ofensywa Izraela na Strefę Gazy była odpowiedzią na atak Hamasu na ten kraj. 7 października 2023 r. palestyńscy bojownicy zabili ok. 1,2 tys. osób, w większości cywilów. Terroryści pod przywództwem Hamasu porwali również z Izraela 251 zakładników. W pierwszym etapie porozumienia z rąk Hamasu ma zostać uwolnionych ok. 30 zakładników, a z izraelskich więzień kilkaset Palestyńczyków.

(jap) © ℗

FOT. MATEM KHALED / REUTERS / FORUM

reprasa.pl

dwaj panowie g

Witamy, serdecznie witamy! Skoro inauguracja, to oficjalnie jest już z nami jako nowy prezydent Donald John Trump, znany dotąd jako poprzedni prezydent. Niektórych zdziwił fakt, że tuż przed inauguracją wielu z zapowiedzianych zagranicznych gości zrezygnowało z przyjazdu do Waszyngtonu. Wyjaśniamy: nie ma to nic wspólnego z kwestiami drażliwymi, za to wiele z kwestiami technicznymi. Okazało się bowiem, że nawet ten czy inny importowany prezydent albo premier nie miał gwarantowanego miejsca na głównych uroczystościach, lecz najwyżej na imprezach towarzyszących.

Powyższa sytuacja sprawiła, że do Dobrego Donalda z Waszyngtonu nie wybierali się już ani Viktor Orbán, ani Andrzej Sebastian Duda, ani nawet Patryk Jaki. Ale byli i tacy, którzy zacisnęli usta i postanowili wziąć, co Amerykanie dają. Na przykład Dominik Tarczyński albo różne eurodepy z Cypru i Grecji, nie mówiąc już o prawicowym kandydacie na prezydenta Rumunii, George'u Simionie. I my to rozumiemy. Też najbardziej lubimy imprezy towarzyszące.

Inaugurację Dobrego Donalda z Waszyngtonu zbojkotowała była pierwsza dama, czyli Michelle Obama. Jak mówią osoby z jej otoczenia, uważa to za „akt oporu". Taki ruch oporu to my rozumiemy! Mamy propozycję dla Silnych Razem i innych ośmiogwiazdkowców – możecie w wyborach dokonać aktu oporu, zostając w domach. Serdecznie zachęcamy.

Ruch nad Atlantykiem będzie spory w kolejnych tygodniach, bo zbliża się zapowiedziana przez nas impreza w Brukseli, czyli MEGA. Na zlocie Make Europe Great Again ma być obecnych coś ok. pół tysiąca liderów prawicy z całego świata, to znaczy z Europy i obu Ameryk. W sumie można by więc rozwijać skrót jako Make Everything Great Again. Libki i komuszki z Brukseli zgrzytają zębami, bo zaplanowana na 28–29 stycznia MEGA będzie miała też prawicową konkurencję, czyli imprezkę ugrupowania Patrioci za Europą. Oznacza to, że przez kilka dni nie będzie można spokojnie spacerować ulicami postępowej Brukseli, nie nadziewając się na jakichś wsteczników i w ogóle czarną sotnię.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jeszcze o Waszyngtonie. Na do widzenia wujek Joe Biden podjął decyzję o ograniczeniu eksportu amerykańskich zaawansowanych chipów. Pełny dostęp będą mieli sprawdzeni sojusznicy – to koszyk pierwszy. Żadnego dostępu nie będą mieli wrogowie, czyli Chiny, Rosja, Iran, Korea Północna itd. – czyli koszyk trzeci. Pomiędzy nimi jest jeszcze koszyk drugi, takich niby-sojuszników, ale niepewnych. Polska dolosowana została właśnie do drugiego koszyka. Premierowi Tuskowi gratulujemy. Ledwie rok jego rządów wystarczył, by przekonać Amerykę, że polską demokrację dzieli równy dystans od, powiedzmy, Francji i Korei Północnej.

Choć Boże Narodzenie za nami, to nadal trwa radosne oczekiwanie. Oczekiwanie, aż Krzysztof Stanowski ogłosi, że kandyduje na prezydenta

Jeszcze o chipach do sztucznej inteligencji, bo info o dolosowaniu Polski do drugiego koszyka mocno rozgrzało część opinii publicznej. Otóż tu i ówdzie w długich rozmowach w tę i we w tę roztrząsano przyczyny. Ale znajoma wiewiórka ujawniła nam, o co chodzi.

eprasa.pl 3bd2b0f672

Otóż Amerykany mają jeden bardzo konkretny problem. Tak się składa, że główny człowiek w naszej administracji odpowiedzialny za AI podaje, iż doświadczenie w tej dziedzinie zdobywał w Azji. To prawda. Jednak nie był to Singapur. Ani Korea Południowa. Ani Japonia. Tylko, niestety, Chiny Ludowe.

Tymczasem w Polsce. Choć Boże Narodzenie za nami, to nadal trwa radosne oczekiwanie. Jest to oczekiwanie, aż Krzysztof Stanowski ogłosi oficjalnie, że kandyduje na prezydenta. A ma ogłosić, gdyż jest dobrym biznesmenem i wie, że to doskonała okazja, żeby promować swe główne przedsięwzięcie, czyli Kanał Zero. W popłoch wprawiło to sztaby Szymona Franciszka Hołowni i Sławomira Jerzego Mentzena. Ale bardziej tego ostatniego. Stanowski żywił się bowiem będzie elektoratem antysystemowym.

Skoro o kandydatach antysystemowych – korki od szampana strzelają w sztabie Karola Tadeusza Nawrockiego po informacji, że kandydował będzie Grzegorz Michał Braun. Oznacza to bowiem, że po pierwsze Mentzen zgarnie mniej, a po drugie, że więcej ludzi pójdzie na wybory, bo Grzegorz Michał Braun zaktywizuje tych, którzy chcą tylko jego. A to parę procent. Braun, podobnie jak Stanowski, też jest wytrawnym biznesmenem i też wie, że wybory to świetna okazja, żeby promować swoje główne przedsięwzięcie. To przedsięwzięcie nazywa się Grzegorz Michał Braun.

Jeszcze chwila o kalkulacjach związanych z Mentzenem – sztab PiS ponoć z radością wita w wyścigu i Brauna, i Stanowskiego, bo myśli już o przyszłym rządzie i trudnych negocjacjach. „Jakby Mentzen zdobył kilkanaście procent w wyborach prezydenckich… – mówi nam pewna wiewiórka – … to chciałby w koalicji stanowiska premiera albo minimum marszałka Sejmu". Stąd oczekiwania, żeby poszło mu dobrze, ale nie za dobrze. A Stanowskiemu i Braunowi nie za dobrze, ale jednak dobrze.

Premierowi Tuskowi gratulujemy. Ledwie rok jego rządów wystarczył, by przekonać Amerykę, że polską demokrację dzieli równy dystans od, powiedzmy, Francji i Korei Północnej

Pytacie nas, co sądzimy o Rafciu Trzaskowskim pod słupkiem. No cóż, lepiej pod słupkiem niż np. pod latarnią. Dla niewiedzących: Rafcio Trzaskowski oddawał hołd śp. Pawłowi Adamowiczowi, zapalając znicz pod słupkiem z nazwą placyku, który nazwano, by upamiętnić prezydenta Gdańska. Przypomniało to nam stary rysunek Andrzeja Mleczki. Gość stojący przy słupku mówi do reportera TV: „Jestem kontrolerem. Kontroluję wszystko w promieniu stu metrów od tego słupka". Pytanie o to, kto kontroluje kampanię Rafała Kazimierza Trzaskowskiego, pozostaje bez odpowiedzi.

Generalnie jest tak, że jak się komuś oddaje pośmiertnie cześć, to zwykle na jego grobie. Otóż ważna wiadomość: Paweł Adamowicz nie jest pochowany pod słupkiem na skwerze w Warszawie, tylko w bazylice Mariackiej w Gdańsku. Domyślamy się jednak, jak wielkim problemem byłoby oddanie hołdu właśnie tam. Nie dość, że Rafcio Kazimierz musiałby pojechać do Gdańska wraz z całą świtą, to jeszcze ekipy telewizyjne też. A tu droga daleka i pogoda nędzna. No i jeszcze ta bazylika. Nazwa niby świecka, coś jak bazyliszek, ale jednak w rzeczywistości po prostu kościół. Rafcio udaje wprawdzie konserwatystę, no ale nie do tego stopnia, żeby się zaraz dać fotografować w kościele. Brrr!

Dyplomacja. Na czele polskiej placówki w Wilnie stanie niejaki Grzegorz Kozłowski. Litwini nie są tym faktem zachwyceni. Raz, że facet nie będzie pełnoprawnym ambasadorem, tylko niby-ambasadorem. A dwa, że zastąpi pełnoprawnego ambasadora Radziwiłła. Litwini zaś, odkąd wymarli Jagiellonowie i Pacowie, szanują Radziwiłłów jako jedyny ród litewski rozpoznawalny na całym świecie. Ambasador Kozłowski będzie urzędował w Pałacu Paców. Powstrzymamy się od cytowania najbardziej znanego bon motu o Pacach.

Haj lajf. Ujawniamy historię najkrótszego bojkotu w dziejach mediów polskich. Było tak: w okresie laby świąteczno-noworocznej telewizja wPolsce zaprosiła romansujących (ale tylko platonicznie, katolicko i bezpartyjnie) Przemka Czarneckiego i Mariannę Schreiber na urocze pogaduszki o miłości oraz Polsce. Doprowadziło to do szału sztab Karola Tadeusza Nawrockiego. Sztab wygenerował więc nieoficjalne info, że będzie bojkot wPolsce, skoro zamiast Nawrockiego pokazuje się tam Mariannę. Bracia mniejsi wykazali się jednak zdrowym rozsądkiem i sami wytknęli – równie nieoficjalnie – sztabowi pewne potknięcia. No i bojkot odwołano.

Haj lajf 2 (lepszy, bo zagraniczny). My tu gadu-gadu, a tam, znaczy na Zachodzie, znana aktywistka noblistka Tokarczuk osiąga nowe poziomy sławy. Brytyjsko-albańska szansonistka Dua Lipa przeprowadziła z nią wywiad. Pani Lipa bardzo pochwaliła np. aktywistkę Tokarczuk za wątki astrologiczne w kryminale. Rzadko nie wiemy, co powiedzieć, ale teraz właśnie jest ta chwila.

Z cyklu drobne, ludzkie sprawy. Senator Wadim Tyszkiewicz miał nieprzyjemność na stacji benzynowej w mieście, którym kiedyś władał jako samorządowy prezydent. A konkretnie to nawrzucał mu elektorat, który na owej stacji właśnie zatankował. Elektorat co prawda nie używał słów uznanych powszechnie za obelżywe, ale i tak było gorąco. Dodajmy: Tyszkiewicz nie jest nawet członkiem Platformy. Wystarczył sam fakt, że zdobył mandat z tzw. paktu senackiego wspieranego przez PO. Nie rozumiemy. To na tej stacji nie było benzyny po 5 zł? ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Z byłym premierem Leszkiem Millerem
rozmawia Paweł Zdziarski

Nie ma żadnego przełomu

PAWEŁ ZDZIARSKI: Czuje się pan zawiedziony po wizycie Wołodymyra Zełenskiego w Polsce? Prezydent Ukrainy nie przeprosił za ludobójstwo na Wołyniu, choć oczekiwała tego część opinii publicznej. Nie padły również żadne konkrety, jeżeli chodzi o ekshumacje.

LESZEK MILLER: Przyznam, że spodziewałem się czegoś bardziej konkretnego, ale najwyraźniej temat rzezi wołyńskiej jest tak trudny dla ukraińskich elit, że nawet prezydent Ukrainy woli milczeć na ten temat. To źle rokuje w kontekście zapowiedzi różnych przełomów i likwidacji przeszkód na drodze ekshumacji.

Nie otrzymaliśmy nawet przeprosin za tragedię w Przewodowie, gdzie zginęło dwóch polskich obywateli...

No właśnie. Ukraiński pocisk obrony powietrznej zabił tam dwóch Polaków. Ukraińcy nie tylko nie przeprosili, lecz także odmówili współpracy i nie udostępnili Polsce żadnych materiałów, również w ramach pomocy prawnej. Nie przyjęli też propozycji wspólnego zespołu śledczego, który uruchomiłby współpracę między prokuratorami Polski i Ukrainy. Od początku kłamali, próbując obciążyć Rosję. To pokazuje, jak będą wyglądać ekshumacje – jeśli do nich dojdzie. A przecież chodzi tylko o dwie ofiary, a nie tysiące.

Od dawna nie podzielał pan entuzjazmu wobec zapowiedzi ekshumacji ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Tymczasem okrzyknięto przełom w tej kwestii. Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski podczas wspólnej konferencji prasowej z szefem MSZ Ukrainy Andrijem Sybihą przekazał: „Ukraina potwierdza, że nie ma żadnych przeszkód do prowadzenia prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych na jej terytorium". Nie przekonało to pana?

Oprócz oświadczenia szefów MSZ Polski i Ukrainy biorę pod uwagę fakty, które są bezpośrednią interpretacją tego, jak ma wyglądać realizacja tego oświadczenia. Byłem zresztą zdumiony, że jedno kluczowe zdanie zawarte w komunikacie ministrów zostało praktycznie pominięte w mediach. Chodzi o fragment mówiący o tym, że ekshumacje będą odbywać się zgodnie z ustawodawstwem ukraińskim. To oznacza, że muszą przebiegać zgodnie z ustawą z 2015 r. o statusie prawnym i upamiętnieniu bojowników o niezależność Ukrainy w XX w. Ona gloryfikuje Ukraińską Powstańczą Armię i Organizację Ukraińskich Nacjonalistów. Należy

eprasa.pl 3bd2b0f672

również wziąć pod uwagę to, jak zapowiedź odblokowania ekshumacji zinterpretował szef ukraińskiego IPN Anton Drobowycz. Według niego mają to być ekshumacje, ale bez upamiętnienia, czyli bez wskazania sprawców ludobójstwa.

Czyli wynika z tego, że nie dowiemy się prawdy o zbrodniach?

Mówiąc wprost, można byłoby sobie wyobrazić, że na tablicach w Katyniu jest napisane: „Tu spoczywa ponad cztery tysiące polskich oficerów zamordowanych wiosną 1940 roku przez nieznanych sprawców". Albo na pomniku na warszawskiej Woli: „Tu między 5 a 12 sierpnia 1944 roku z nieznanych przyczyn zginęło 15 tysięcy Polaków". Jeżeli zatem dojdzie do ekshumacji, co samo w sobie jest bardzo wątpliwe, to będzie kolejna próba zamazania tej tragedii. Wiele wskazuje na to, że już znacznie wcześniej miejsca wskazywane przez polski IPN, np. zasypane studnie, w których znajdowały się kości polskich obywateli, były odkopywane i wywożone w niewiadomym kierunku. Może się więc okazać, że niektóre pola śmierci zostały „uporządkowane" w taki właśnie sposób.

Wspomniany przełom w relacjach polsko-ukraińskich obwieściło wielu czołowych polityków koalicji rządzącej, jak Donald Tusk czy Rafał Trzaskowski. Prezydent Warszawy napisał na swoim profilu w serwisie X, że „na ten moment czekały pokolenia Polek i Polaków". Jak to się ma do przypomnianych przez pana faktów? Czy to tylko „gra pod publikę" w związku ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi?

Trzeba zadać sobie pytanie, na czym ma polegać przełom. Czy ma on polegać na tym, że dwóch ministrów spraw zagranicznych opublikowało tekst, który sami nazwali komunikatem? Jaką to posiada moc prawną wobec ukraińskich władz, które mają uprawnienia decyzyjne? Sprawa ekshumacji na Wołyniu może wybuchnąć w kampanii prezydenckiej i – jak pisał – „Newsweek" będzie miała „piorunującą siłę rażenia". Przedsmak tego, co nas czeka, widzieliśmy po wypowiedzi Karola Nawrockiego w sprawie uzależnienia członkostwa Ukrainy w UE i NATO od rozliczenia się z ludobójstwa i nacjonalizmu. Nawrocki stwierdził, że nie może być częścią międzynarodowych sojuszy państwo, które nie jest w stanie rozliczyć się z bardzo brutalnej zbrodni na 120 tys. swoich sąsiadów i które robi kolejne uniki. Ukraińskie MSZ od razu odpaliło działo wielkiego kalibru, uznając, że są to twierdzenia tendencyjne i manipulacyjne oraz że kandydat na prezydenta stawia doraźne interesy wyżej niż strategiczne interesy własnego kraju i dobrosąsiedzkie relacje ukraińsko-polskie.

Przedsmak tego, co nas czeka, widzieliśmy po wypowiedzi Karola Nawrockiego w sprawie uzależnienia członkostwa Ukrainy w UE i NATO od rozliczenia się z ludobójstwa i nacjonalizmu. Nawrocki stwierdził, że nie może być częścią międzynarodowych sojuszy państwo, które nie jest w stanie rozliczyć się z bardzo brutalnej zbrodni na 120 tys. swoich sąsiadów i które robi kolejne uniki. Ukraińskie MSZ od razu odpaliło działo wielkiego kalibru, uznając, że są to twierdzenia tendencyjne i manipulacyjne oraz że kandydat na prezydenta stawia doraźne interesy wyżej niż strategiczne interesy własnego kraju i dobrosąsiedzkie relacje ukraińsko-polskie

Jak zatem powinien zachowywać się rząd Donalda Tuska w zderzeniu z tą rzeczywistością?

Nie nabierać się na piękne słówka i rozumieć ich prawdziwe znaczenie. Po wpisie Donalda Tuska na platformie X o osiągniętym przełomie i decyzji o pierwszych ekshumacjach polskich ofiar UPA oraz podziękowaniach ministrom kultury Polski i Ukrainy za dobrą współpracę odezwał się Andrij Nadżos, wiceminister kultury Ukrainy. Pan minister oświadczył, że „Ukraina i Polska wymieniły się listami miejsc do poszukiwań szczątków wzajemnych konfliktów historycznych". Nie ma tu żadnego słowa o ekshumacjach, a równie ważne jest co innego. To lapidarne zdanie ukazuje strategię władz ukraińskich, gdzie nie używa się słowa „ludobójstwo" i sprowadza rzeź wołyńską do symetrycznego konfliktu o podłożu historycznym, a nie etnicznym. Kijów liczy, że wymiana informacji o miejscach kaźni Polaków i pochówkach zbrodniarzy z UPA zostanie przez zachwyconych Polaków potraktowana jako przełom, i się nie myli. Egzaltowane panie i przejęci panowie są rzeczywiście zachwyceni, choć zapewne nie znają szczegółów przeprowadzenia ekshumacji podanych przez Drobowycza. Szef ukraińskiego IPN oznajmił, że Ukraina samodzielnie zbada miejsca pochówku oraz okoliczności śmierci ofiar, a dopiero potem przeprowadzi ekshumacje. Dodał, że Ukraińcy mogą zaprosić stronę polską na miejsce badań, ale w roli obserwatora, i to w drodze wyjątku. Innymi słowy, Ukraińcy będą wydobywać i zbierać kości pomordowanych Polaków walające się po polach, łąkach, lasach i studniach, po czym pochowają je w jakimś dowolnym miejscu. Nie będzie jednak żadnych informacji wskazujących na to, kto dopuścił się tych zbrodni. Przecież to jest szczyt cynizmu i bezczelności.

Skoro polska dyplomacja zgadza się na takie warunki, to należałoby zadać pytanie, czy my w ogóle mamy jeszcze dyplomację.

Polska dyplomacja przez długi czas nie chciała wykorzystywać sytuacji, w której znalazła się Ukraina po napaści Rosji. Ciągle słyszę, że nie można im teraz wiercić dziury w brzuchu, bo są w stanie wojny itd. Tyle że to właśnie teraz jest właściwy moment. Sami Ukraińcy przeżywają traumę z powodu śmierci swoich bliskich i też mają problemy z ich pochowaniem. Wydaje mi się, że w tej sytuacji powinni lepiej rozumieć odczucia Polaków. Należy ich namawiać i wywierać presję, żeby ekshumacje na Wołyniu mogły się odbyć. Tym bardziej że jeżeli chodzi o żołnierzy Wermachtu i innych niemieckich formacji, to na Ukrainie są prowadzone ekshumacje bez żadnych przeszkód.

Z czego wynika ta różnica w podejściu Ukraińców do Niemców i Polaków?

Kiedy otwiera się groby niemieckich żołnierzy, można zauważyć, że ginęli oni od kul karabinów lub eksplozji, czyli

eprasa.pl 3bd2b0f672

tak, jak to bywa na wojnie. Natomiast w przypadku grobów Polaków widać ogromną liczbę zamordowanych kobiet i dzieci. W dodatku można dostrzec, że zginęli oni okrutną śmiercią. I to jest problem dla Ukraińców. Gdy zgodzą się na prawdziwe ekshumacje, to świat zobaczy niewyobrażalne okrucieństwo i będzie musiał zrewidować wiele swoich opinii na ich temat. Dlatego prawdziwych ekshumacji nie ma i nie będzie, przynajmniej dopóty, dopóki na Ukrainie rządzą te elity, które wykrystalizowały się po Majdanie.

Wspomniał pan o wywieraniu presji na Ukraińców. Co konkretnie możemy zrobić w tym kierunku?

Mamy jeden konkretny instrument nacisku. Wiadomo, że Ukraińcy bardzo chcą się znaleźć w Unii Europejskiej, gdzie nie toleruje się nacjonalizmu, ludobójstwa i czystek etnicznych. Chorwacja miała szalone problemy, żeby dostać się do Unii, kiedy broniła generałów dopuszczających się zbrodni ludobójstwa w czasie wojny na Bałkanach. Na Ukrainie kult Bandery, Szuchewycza i im podobnych trwa w najlepsze. Powinno się zatem jasno powiedzieć, że dopóki Ukraina oficjalnie nobilituje zbrodniarzy kierujących się ideologią czystek etnicznych i stawia im pomniki, dopóty droga do Unii Europejskiej jest zamknięta. O tym, że „Ukraińcy nie wejdą do UE i NATO z kultem Bandery", mówiło wielu polityków, w tym zarówno premier Jarosław Kaczyński, jak i prezydent Lech Kaczyński, minister Władysław Kosiniak-Kamysz, a także pośrednio premier Donald Tusk, podkreślając, że „Ukraina nie będzie członkiem UE bez polskiej zgody" oraz że Kijów musi spełniać nie tylko standardy prawne czy handlowe, lecz także te związane z polityczną kulturą i historycznym pojednaniem.

Czy to samo dotyczy członkostwa w NATO, do którego również Ukraina próbuje aspirować?

Kluczowe w tej kwestii jest podejście do wartości, które mają wspólny fundament, zwłaszcza jeśli chodzi o wolność, demokrację, praworządność i prawa człowieka. W tych wartościach nie ma miejsca na nacjonalizm. Poza tym przyjęcie zarówno do NATO, jak i UE wymaga pełnej akceptacji tych wartości i jednomyślności wszystkich członków. Tymczasem w tej chwili siedem krajów jest przeciwnych przyjęciu Ukrainy do NATO. W ten sposób opowiedziały się m.in. Stany Zjednoczone, Niemcy, Węgry i Słowacja. W związku z tym dyskusja o członkostwie Ukrainy w NATO jest moim zdaniem bezprzedmiotowa. Podobnie rzecz się ma z Unią Europejską, gdzie też nie ma jednomyślności.

Z kolei polskie władze podkreślają często, że popierają akces Ukrainy zarówno do struktur NATO, jak i Unii Europejskiej, co zresztą potwierdził Tusk podczas wspólnej konferencji z Zełenskim w Warszawie. Z czego to wynika?

Popierają, ale nie przedstawiają daty akcesji. Słusznie, jako że Ukraina nie spełnia warunków konwergencji [na drodze do UE – przyp. red.] i nie wiadomo, kiedy spełni. Zdaje się, że nasze władze nie mówią Ukraińcom wprost, że nie ma skróconej ścieżki akcesji. Rozszerzenie UE jest oparte na faktach i konkretach i nie ma wśród nich zasług wojennych. Poza tym w tej samej kolejce co Ukraina stoi osiem państw, i to już znacznie dłużej. Rozszerzenie Unii Europejskiej przebiega dla wszystkich na tych samych zasadach. Bezwarunkowe poparcie dla Ukrainy ze strony Polski do struktur euroatlantyckich bierze się także z wiary w moc tzw. doktryny Giedroycia, a w rzeczywistości w trafność słów Ignacego Daszyńskiego wypowiedzianych w 1920 r. w warszawskiej restauracji Polonia na spotkaniu z delegacją ukraińską: „Nie może być wolnej Polski bez wolnej Ukrainy ani wolnej Ukrainy bez wolnej Polski". Bez wątpienia 105 lat temu tak było, ale dziś głównym gwarantem niepodległości Polski jest pakt północnoatlantycki, który trzeba umacniać, a nie sugerować, że jest papierowym tygrysem.

Znowu wracamy do tematu słabości lub wręcz braku polskiej dyplomacji...

Otwarcie mówiąc, Europa bez USA nie jest w stanie zagwarantować Ukrainie żadnego rozejmu. Inaczej mówiąc, będzie tak, jak będą chciały Stany Zjednoczone. W tej chwili w Waszyngtonie krystalizuje się koncepcja, że mniej więcej w tym miejscu, w którym przebiega front, zostanie wytyczona linia demarkacyjna, a pomiędzy Rosją i Ukrainą powstanie strefa buforowa z obecnością sił pokojowych. Wejście do NATO zostanie odroczone na ok. 20 lat. Chciałbym wiedzieć, jakie zdanie na ten temat ma rząd w Warszawie. Polska zyskałaby dużo na arenie międzynarodowej, gdyby wystąpiła z jakimś konkretnym planem pokojowym.

Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz zapewnił, że na ten moment nie ma mowy o wysłaniu polskich żołnierzy na Ukrainę. Sprzeciwił się też używaniu broni dostarczonej przez państwa NATO na terytorium Rosji. Czy to znaczy, że możemy liczyć na zdrowy rozsądek ze strony rządu?

Trzeba przyznać, że Kosiniak-Kamysz wypowiadał się również w wyraźny sposób w kwestii ekshumacji na Wołyniu. Natomiast na temat, że „na ten moment" nie przewiduje się wysłania polskich żołnierzy na wojnę, wypowiedział się też premier Donald Tusk. To dosyć miękka postawa. Uważam, że w żadnym wypadku polscy żołnierze nie powinni się tam pojawić. Zacznijmy od tego, że gdyby na Ukrainie miał stacjonować jakiś korpus pokojowy, to pod egidą ONZ albo OBWE i musiałby uzyskać zgodę zarówno Kijowa, jak i Moskwy. Tymczasem do Polski przyjeżdża prezydent Francji i zaczyna rozmawiać o jakiejś ekspedycji. A na jakiej podstawie? Kto go do tego upoważnił? W czyim imieniu on działa? Niemniej, gdyby nawet znalazłaby się jakaś podstawa prawna, to Polacy powinni trzymać się od tego z daleka. Mamy wspólną granicę z Rosją, a z drugiej strony nadal nierozwiązany problem Wołynia. Niech inni tworzą siły pokojowe, ale bez Polaków. Często słyszę, że jeśli Rosjanie pokonają Ukraińców, to rosyjskie czołgi szybko znajdą się na naszej granicy. Tyle że od dawna już tam są. Przecież graniczymy z Rosją poprzez obwód kaliningradzki. Trzeba też pamiętać, że w tej sprawie Ukraińcy mają swój interes, a my – swój. Ukraińskim interesem jest jak najszersze umiędzynarodowienie konfliktu. Nic dziwnego, że Kijów stara się przedstawiać działania militarne jako początek trzeciej wojny światowej. Ale to nie jest nasz interes.

Będąc we Lwowie w połowie grudnia, premier Donald Tusk obiecał odbudowę kamienic zniszczonych w wyniku rosyjskiego ataku. Spacerował m.in. ulicą Andrija Melnyka, zbrodniarza i jednego z inicjatorów SS-Galizien. Czy pańskim zdaniem Polska skorzysta na tej wizycie czy wręcz przeciwnie?

Premier i tak nie trafił najgorzej. Gospodarze mogli przecież zaprosić go na spacer ulicą Bohaterów UPA, Stepana Bandery albo Romana Szuchewycza. Mógł

eprasa.pl 3bd2b0f672

Po wpisie Donalda Tuska na platformie X o osiągniętym przełomie i decyzji o pierwszych ekshumacjach polskich ofiar UPA oraz podziękowaniach ministrom kultury Polski i Ukrainy za dobrą współpracę odezwał się Andrij Nadżos, wiceminister kultury Ukrainy. Pan minister oświadczył, że „Ukraina i Polska wymieniły się listami miejsc do poszukiwań szczątków wzajemnych konfliktów historycznych". Nie ma tu żadnego słowa o ekshumacjach, a równie ważne jest co innego. To lapidarne zdanie ukazuje strategię władz ukraińskich, gdzie nie używa się słowa „ludobójstwo" i sprowadza rzeź wołyńską do symetrycznego konfliktu o podłożu historycznym, a nie etnicznym

też usłyszeć propozycję przechadzki ulicą Jewhena Konowalca, założyciela i pierwszego dowódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która odegrała kluczową rolę w kształtowaniu ukraińskiego nacjonalizmu w XX w. Nie wątpię w dobre intencje premiera, ale jego zdjęcia ze Lwowa nałożyły się na medialne relacje z Dolnego Śląska, gdzie setki powodzian pozostają w dramatycznej sytuacji, próbując odbudować swoje siedziby. Dla Tuska to było bardzo niefortunne.

Premier wysłał też „do piekła" tych, którzy „wyciągają historię". Nie zwrócił jednak uwagi, że robią to sami Ukraińcy. Kilka dni po wizycie okazało się, że na dostarczonych przez Polskę ukraińskiej armii transporterach opancerzonych Rosomak powiewają banderowskie flagi. To pańskim zdaniem celowa prowokacja?

Przecież nikt z dowódców ukraińskich nie może nie wiedzieć, co oznacza czerwono-czarna flaga. Tak jak dobrze wiedzą, co oznaczają symbole lwa galicyjskiego czy balkenkreuza. Nawiasem mówiąc, Sąd Najwyższy Ukrainy podtrzymał decyzję sądu niższej instancji, że symbole grenadierów SS-Galizien nie są nazistowskie, a tym samym nie podlegają zakazowi rozpowszechniania i publicznego używania. W sprawie splamienia naszych rosomaków banderowskimi barwami zaprotestował jedynie wicepremier i minister obrony narodowej Kosiniak-Kamysz.

Rok temu, 1 stycznia, a więc w dniu, w którym na Ukrainie hucznie obchodzona jest rocznica urodzin Stepana Bandery, spłonęło muzeum Romana Szuchewycza. Mer Lwowa Andrij Sadowy i wielu ukraińskich polityków zapowiadają odbudowę obiektu, a sam Szuchewycz wkrótce będzie miał w tym mieście postawiony pomnik. Jak należy postrzegać to wszystko w kontekście polskiego wsparcia dla Lwowa?

Władze Lwowa od dawna gloryfikują UPA i służących w jej szeregach zbrodniarzy. Nie ma na to żadnej reakcji ze strony Polski (np. zerwania współpracy miast partnerskich). Strona polska z oczywistych powodów mocno reaguje na przypadki wojny informacyjnej prowadzonej przez Rosję czy chronienia przez Węgry przestępców z Polski, ale nie dostrzega wyczynów Ukraińców. Pod okazałym pomnikiem Bandery, pod którym 1 stycznia br. odbyły się uroczyste obchody rocznicy urodzin wodza, mer Lwowa Andrij Sadowy poinformował, że władze miasta przekażą środki na odbudowę zniszczonego przez rosyjski dron Muzeum Szuchewycza – zbrodniarza wojennego, który wydał rozkaz etnicznego oczyszczenia Wołynia. Nie zdziwię się, jeżeli w dużej części będą to środki europejskie. Ten sam Sadowy w przemówieniu poświęconym gloryfikacji Bandery oświadczył, że „na jego przykładzie wyrosło nowe pokolenie".

Co do wsparcia militarnego wymowna jest reakcja ukraińskich polityków, w tym prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, którzy dziękują za okazaną pomoc USA, Niemcom i innym krajom zachodnim, często pomijając Polskę. Przekazaliśmy Ukraińcom ogromną ilość sprzętu wojskowego, nie wspominając o wyjątkowym wsparciu dla uchodźców. Czy pańskim zdaniem było warto? A może powinniśmy oczekiwać czegoś w zamian?

Pierwsza umowa, która została podjęta w kwestii pomocy dla Ukrainy, pochodzi z 2 grudnia 2016 r., kiedy ministrem obrony narodowej był Macierewicz. Została opublikowana dopiero w styczniu 2019 r. Była rażąco niesymetryczna i umożliwiła de facto rozbrojenie naszego kraju. Drugim aktem prawnym, również niesymetrycznym, było porozumienie o współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa między Polską a Ukrainą podpisane przez Tuska i Zełenskiego. Porozumienie ma znacznie szerszy zakres i stanowi, że Polska dostarczy kolejne pakiety pomocy wojskowej znacznej wartości i będzie kontynuować udzielanie mocnego wsparcia w ciągu dekady. Reakcja ukraińskich polityków jest również niesymetryczna. Im większa pomoc z Polski, tym chłodniejsze reakcje.

Jeżeli chodzi o wspomniany przez pana symetryzm, to wydaje się, że strona ukraińska próbuje go stosować w odniesieniu do historii ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Niestety, ta retoryka przenika również do naszego kraju. Dwudziestu czterech polskich i ukraińskich historyków podpisało II komunikat polsko-ukraiński. Unikają w nim określenia ukraińskich zbrodni mianem „ludobójstwa". Używają także terminu „konflikt polsko-ukraiński", co sugeruje równorzędność stron. Czy polska polityka historyczna skapitulowała przed ukraińską?

To prawda, przeczytałem ten komunikat z ogromnym zdumieniem. Nie mogłem uwierzyć, że tam są nazwiska polskich historyków. Konflikt zakłada pewną symetryczną walkę. Tymczasem tutaj mamy do czynienia z ludobójstwem na cywilnej ludności, a zatem czymś zdecydowanie niesymetrycznym. To pokazuje, że są podejmowane różne działania, które mają zamazać prawdę o tych zbrodniach. Chyba że chodzi o „konflikt" polskich noworodków i dzieci z ukraińskimi siekierami i widłami, na które były nabijane. Dziwię się polskim historykom, że mogli posunąć się do takiej podłości. Miałbym do nich pytanie: Czy Holokaust to był konflikt niemiecko-żydowski?

Symetryzm przekłada się na oskarżenia kierowane wobec żołnierzy polskiego podziemia o zbrodnie na ludności ukraińskiej, a także na traktowanie operacji „Wisła" jako czystki etnicznej. Czy to sposób na wybielanie ludobójstwa na Wołyniu?

eprasa.pl 3bd2b0f672

– Podstawy naszej przyjaźni i współpracy są oczywiste i bezwarunkowe, one nie ulegną zmianie – powiedział Donald Tusk po spotkaniu z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, który przyjechał do Warszawy 15 stycznia br. FOT. FACEBOOK/KPRM

Ten wątek pojawił się podczas konferencji Kułeby i Sikorskiego. Szef ukraińskiego MSZ powiedział wtedy, że należy zrównać polskie ofiary ludobójstwa na Wołyniu z ofiarami akcji odwetowych i Ukraińcami przesiedlonymi w ramach operacji „Wisła", a najlepiej byłoby zostawić historię historykom, bo to wszystko są rosyjskie prowokacje. W żadnym wypadku nie można zgodzić się na symetryzm. Ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA było celowym wyniszczeniem polskiej ludności ze względu na jej przynależność etniczną. Chodziło o utworzenie „czystego etnicznie" narodowego państwa Ukraińców. Koncept tego państwa zakładał, że mogą w nim żyć tylko Ukraińcy. Wszyscy inni powinni zostać wymordowani albo wypędzeni. Operacja oczyszczania z niepożądanych elementów cechowała się niezwykłą brutalnością. Akcje odwetowe były reakcją na ludobójstwo, często chaotyczną i spontaniczną. Nie można tych rzeczy porównywać – zarówno co do skali, jak i intencji. Były prezydent Juszczenko, przemawiając w Warszawie, posunął się tak daleko, że postawił znak równości między UPA i Armią Krajową. Niedawno Ukraińska Niezależna Agencja Informacyjna nazwała masakrę wołyńską „zbrojnymi starciami między ukraińskimi i polskimi partyzantami". To są przykłady wyjątkowego zuchwalstwa i tupetu. Operacja „Wisła" miała na celu rozproszenie ludności ukraińskiej i odcięcie UPA od jej zaplecza, a nie jej fizyczną eliminację, a więc takie porównania nie mają żadnego sensu.

Pewnego rodzaju symetryzm dotyczy również ekshumacji i upamiętnień. Według doniesień „Newsweeka" rząd Donalda Tuska tworzy dokładny spis wszystkich grobów Ukraińców z UPA i ich pomników znajdujących się na polskim terytorium. Czy obawia się pan, że ukraińska zgoda na ekshumacje Polaków zamordowanych na Wołyniu będzie wiązała się z tym, że na terytorium Polski powstaną pomniki sprawców ludobójstwa?

Owszem, obawiam się. Gdyby tak się stało, mamy gotowy ostry konflikt wywołany przez władze, jako że wszystkie badania społeczne pokazują, że sprawy historyczne, w tym upamiętnienie ofiar rzezi wołyńskiej, są bardzo ważne dla Polaków w kontekście relacji z Ukrainą. Ciągle rośnie świadomość Polaków, że zdecydowana większość ofiar tego ludobójstwa nie ma godnego pochówka, a na miejscu dołów śmierci nie ma pomników ani krzyży, są za to wysypiska śmieci. W Polsce mało kto rozumie, dlaczego Ukraińcy tak bardzo bronią się przed ekshumacjami ofiar. Dlaczego tak się dzieje, mówiłem wcześniej. Przed wyborami prezydenckimi nikt nie będzie ryzykował takich decyzji. Później jednak może być różnie. Piąta kolumna banderowska ma w Polsce wiele do powiedzenia.

Kto należy do tej kolumny?

Politycy, ludzie nauki, dziennikarze i inne środowiska. Przecież w ostatnich latach nie wszyscy ukraińscy uciekinierzy przybyli tu jako neutralni politycznie. W relacji do ludności ukraińskiej jako takiej nie można mieć pretensji. Mówię natomiast o elitach, które są jawnie probanderowskie. Na Ukrainie pomniki zbrodniarzy, nazwy ulic i stadionów nie wzięły się znikąd. To jest świadoma polityka władz ukraińskich, żeby fundament państwowości budować na tradycjach OUN-UPA. Chcę wyraźnie podkreślić, że w polsko-ukraińskich relacjach nie chodzi jedynie o ekshumacje, lecz także o to, jakie wzorce będą naszym sąsiadom towarzyszyć w przyszłości. Nadzieje, że nowi bohaterowie wojny z Rosją zastąpią Banderę i Szuchewycza, się nie spełniły. Gdyby w zamian za pochówki niewinnych ofiar ludobójstwa na Wołyniu Polska zgodziła się na renowację pomników zbirów z UPA, to byłby ogromny błąd. To byłoby spełnienie zasadniczego celu strony ukraińskiej, czyli doprowadzenia do symetrii. A to nie jest żadna symetria, bo w Polsce leżą bandyci z UPA, którzy polegli w walce z bronią w ręku w starciach z polskim wojskiem, a po tamtej stronie kobiety, dzieci, okrutnie pomordowani i bezbronni. W filmie „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego pada sentencja, że „Kresowian zabito dwukrotnie: raz przez ciosy siekierą, a drugi raz przez przemilczenie".

To cytat z pamiętnika Jana Zaleskiego, świadka zagłady wsi Korościatyn koło Monasterzysk, ojca ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

I właśnie na naszych oczach dokonuje się trzeci akt martyrologii Wołyniaków. To próba relatywizowania i zrównania morderców z ofiarami. Zatem „Kresowian zabito trzykrotnie".

Czy ta sprawa może być języczkiem u wagi podczas kampanii prezydenckiej w Polsce? Politycy, którzy jeszcze niedawno nie dostrzegali sprawy Wołynia, zaczęli mówić o ekshumacjach i prawdzie historycznej. Czy dzieje się tak tylko na potrzeby wyborów?

Mam nadzieję, że nie tylko, ale to jest oczywiście dobry znak. To świadczy o pewnym opamiętaniu i wsłuchaniu się w głos Polaków. Oby to było trwałe, a nie tylko koniunkturalne. Kampania dopiero się zaczyna i ten problem na pewno będzie odgrywał ważną rolę, zwłaszcza u pana Nawrockiego, który wielokrotnie jako szef IPN wypowiadał się w tych sprawach. Z kolei jeśli Trzaskowski będzie ten temat relatywizował i symetryzował, to będzie mu ubywało wyborców. Według najnowszego sondażu pracowni Opinia24 w ciągu miesiąca jego poparcie spadło o prawie 9 punktów procentowych.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości poszli o krok dalej i chcą penalizacji banderyzmu w Polsce. Czy to pańskim zdaniem słuszny postulat?

eprasa.pl 3bd2b0f672

To bardzo dobry pomysł. Warto jednak pamiętać, że była już jedna taka próba. Prezydent Andrzej Duda skierował wówczas ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, który uchylił ten zapis. Ukraińcy już dawno zrobili coś podobnego, ale w przeciwną stronę. Kiedy prezydent Komorowski przemawiał w Radzie Najwyższej Ukrainy, zaledwie kilka godzin później ta sama Rada przyjęła pakiet ustaw gloryfikujących OUN-UPA. W jednej z ustaw został zawarty zapis, że jeśli ktoś nie odnosi się do tych „bohaterów" z należytym szacunkiem, to grozi mu nawet kara więzienia.

Czy to nie jest tak, że polityczna poprawność na ten temat dotyczy całego okresu III Rzeczypospolitej, niezależnie od tego, kto w danym momencie rządzi? Czy polscy politycy zapomnieli o tej tragicznej historii i ogólnie o Kresach?

Dalsze losy pomordowanych na Wołyniu w największym stopniu będą zależały od postaw i poglądów władz ukraińskich. W moim odczuciu elita kierownicza wykreowana po Majdanie z powodów już wyłuszczonych nie będzie zainteresowana w uczciwym rozliczeniu wołyńskiej zbrodni. Aby zmieniła się sytuacja wokół ekshumacji, muszą rządzić ci, którzy nie wybrali banderyzmu jako swojej podpory ideowej. W Polsce nastąpiło zbyt daleko idące zmiękczenie postawy państwa wobec zbrodni na Wołyniu. Jeszcze w 2010 r. podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego Mariusz Handzlik oświadczył, że z „konsternacją przyjęliśmy decyzję o przyznaniu pośmiertnie przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) Stepanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy". Liczyliśmy w tej kwestii na większą ostrożność i delikatność naszych ukraińskich partnerów – powiedział Handzlik. Podobne stanowisko zajął Parlament Europejski, przyjmując 25 lutego 2010 r. rezolucję, w której wyraził „głębokie ubolewanie" z powodu decyzji ówczesnego prezydenta Ukrainy, Wiktora Juszczenki, o nadaniu Banderze tytułu Bohatera Ukrainy.

Mówił pan też, że obecny czas jest najlepszy, aby wyegzekwować coś od Ukrainy. Czy zatem wojna to kolejny pretekst? Wcześniej były pomarańczowa rewolucja, Euro 2012 i Majdan. Nigdy nie było właściwego czasu...

Najlepszy czas był za Wiktora Janukowycza, kiedy stosunki między Polską a Ukrainą w kwestii ekshumacji były relatywnie bardziej przyjazne. Wówczas polskie zespoły archeologiczne i badawcze miały możliwość prowadzenia prac na terenie Ukrainy, a także przeprowadzania ekshumacji ofiar. Rzecz jasna, występowały napięcia związane z różnicami w interpretacji historii, ale Janukowycz nie blokował prac polskich badaczy. Później było już gorzej.

Jak pan ocenia plan polskiej prezydencji w Radzie Europejskiej, gdzie znajduje się dużo odniesień do Ukrainy? Podobała się panu uroczystość w Teatrze Wielkim?

W czasie mojej obecności w Parlamencie Europejskim uczestniczyłem w pracach 10 prezydencji. Najważniejszym wydarzeniem było każdorazowe wystąpienie na plenarnych obradach PE premiera z kraju pełniącego prezydencję. Szefowie rządów prezentują wówczas plan i priorytety przewodnictwa, odpowiadają na pytania eurodeputowanych i uczestniczą w dyskusji, często bardzo ostrej. Nie wiem oczywiście, co powie premier Tusk, ale byłoby dobrze, aby oprócz reakcji na świeżo zaprzysiężonego prezydenta USA skorzystał z raportu Maria Draghiego, byłego premiera Włoch. To bardzo solidny dokument opracowany na zlecenie Komisji Europejskiej, w którym Draghi ostrzega przed degradacją europejskiej gospodarki w obliczu rosnącej konkurencji z Chin i USA. Autor opracowania podkreśla, że od ćwierć wieku wzrost wydajności pracy w USA jest dwa razy szybszy niż w UE, a udział Europy w globalnym PKB spadł z 30 do 14 proc. i w 2050 r. będzie wynosił 10 proc. Aby temu zaradzić, potrzeba nowoczesnych technologii, taniej, ale ekologicznej energii i większej gospodarczej niezależności. Niestety, nie mogę nic powiedzieć na temat inauguracji w Teatrze Wielkim, gdyż byłem tam nieobecny. Nie otrzymałem zaproszenia.

Czy spotyka się pan czasami z zarzutem o bycie antyukraińskim?

Rzadko, ale nie mam zamiaru mówić tego, czego inni ode mnie oczekują. Nie interesuje mnie, czy to się komuś podoba czy nie. Przez całe lata starałem się nie powiedzieć i nie zrobić niczego, co zaszkodziłoby Polsce i mojej formacji. Także dziś w moich zachowaniach politycznych staram się postępować zgodnie z polską racją stanu, tak jak ją rozumiem. Kwestia Wołynia niewątpliwie mieści się w pojęciu polskiej racji stanu. Chciałbym podkreślić, że dostrzegam wśród Ukraińców różne postawy i poglądy także inne od oficjalnych. Moja wnuczka jest pół-Ukrainką, a jej mama pochodzi z Kamieńca Podolskiego i od prawie 30 lat ma polskie obywatelstwo. Rodzice mojej synowej po agresji Rosji sprzedali cały swój dobytek i przyjechali na stałe do Polski. Podobnie dalsi krewni. Pozostaję z nimi w serdecznych stosunkach. Wiktor Poliszczuk, historyk i autor wielu książek, pisał, że „nie ma zbrodniczych narodów, ale są zbrodnicze ideologie i organizacje o zbrodniczych planach działania". Przypominał, że oprócz wielu tysięcy Żydów i Polaków zamordowanych przez UPA wśród ofiar byli również Ukraińcy, którzy odmówili zgładzenia swoich żydowskich i polskich sąsiadów. Zamiast tego próbowali ich ratować. Ponieśli za to największą ofiarę. Ofiarę życia. O nich trzeba pamiętać na równi z pomordowanymi Polakami.

Ukraina nie spełnia warunków konwergencji [na drodze do UE – przyp. red.] i nie wiadomo, kiedy spełni. Zdaje się, że nasze władze nie mówią Ukraińcom wprost, że nie ma skróconej ścieżki akcesji. Rozszerzenie UE jest oparte na faktach i konkretach i nie ma wśród nich zasług wojennych. Poza tym w tej samej kolejce co Ukraina stoi osiem państw, i to już znacznie dłużej. Rozszerzenie Unii Europejskiej przebiega dla wszystkich na tych samych zasadach

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOTWOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Zamordyzm w demokratycznej skórze

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Granice tego, co jest uznawane za „obronę demokracji", są sukcesywnie przesuwane. Zamordystom marzy się odwoływanie wyborów oraz zamykanie niewygodnych politycznie mediów

Przepraszam, bo już teraz idę bardzo daleko i tworzę taki piętrowy scenariusz. To może w tej sytuacji, żeby uniknąć tej awantury, przeczekać do 6 sierpnia? Wtedy władzę przejmuje marszałek Szymon Hołownia jako druga osoba w państwie, wtedy składana jest ustawa rozwiązująca problem Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych – zaproponowała dziennikarka Kamila Biedrzycka, która zarówno prowadzi programy internetowe dla „Super Expressu", jak i pracuje w Telewizji Polskiej. – Nie robić wyborów? – wyraźnie zdziwił się rozmawiający z nią senator PO Grzegorz Schetyna. – Ja nie wiem... robić, a potem mieć awanturę, dwóch zwaśnionych prezydentów, zwaśnione strony... – wskazała Biedrzycka w „SE".

Były szef Platformy odrzucił pomysł prowadzącej. – Lepsze jest wrogiem dobrego. Nie szukałbym konstrukcji kosmicznych. Trzeba ogłosić te wybory – powiedział, jednak dziennikarka nie odpuszczała. Kamila Biedrzycka próbowała przekonywać, że to „konstrukcja przewidziana konstytucją". – Jesteśmy w bycie pozaprawnym. Przez osiem lat stworzono konstrukcję równoległą. Czy w Prokuraturze Generalnej, czy w Prokuraturze Krajowej, czy tutaj w wariancie legislacji, czy w Sądzie Najwyższym. Wszystko może być podważane. Na tym będzie polegała polityka PiS, rozsadzania praworządnego państwa, które staramy się odbudowywać. Jeśli się poddamy, cofniemy, to pokażemy naszą skuteczność – podsumował Grzegorz Schetyna.

Dialog dotyczył tzw. ustawy incydentalnej przedstawionej przez Szymona Hołownię, która miałaby rozwiązać impas wokół uznania ważności najbliższych wyborów prezydenckich. Zgodnie z projektem o ważności wyborów oraz w sprawach protestów wyborczych orzekać miałyby trzy izby Sądu Najwyższego: Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, Karna i Cywilna. Obecnie wszystkie te sprawy rozstrzyga Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, jednak strona rządowa i wielu sprzyjających jej prawników i komentatorów twierdzą, że Izba nie istnieje.

Biedrzycka poszła w swoich rozważaniach o krok dalej niż wielu polityków – zaproponowała wprost, żeby wybory po prostu się nie odbyły. W imię demokracji rzecz jasna. Przedstawicielka TVP rozwinęła twórczo wizję marszałka Sejmu, który już w listopadzie kreślił scenariusz możliwych wydarzeń. – Chyba nie muszę państwu mówić, co będzie, jeśli prezydent nie będzie mógł złożyć przysięgi. Kto będzie wtedy wykonywał jego funkcję w zastępstwie prezydenta – całkiem wprost Szymon Hołownia zapowiedział możliwość zignorowania demokratycznego wyboru Polaków (a to, w przypadku pikujących słupków poparcia w kolejnych sondażach, wydaje się dla lidera Polski 2050 jedyną szansą na objęcie prezydentury).

Pomysł Hołowni podchwycił minister sprawiedliwości. – Można np. uznać, że skoro Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych nie istnieje, bo nie składa się z legalnie działających sędziów, to można de facto wszystko oddać w ręce marszałka Sejmu – mówił w grudniu Adam Bodnar.

ZNÓW CHCĄ PRZECIĄĆ KABEL

Drugi oddech dla zamordystycznych pomysłów tych, którzy mienią się obrońcami wartości demokratycznych, dał zbliżający się 33. finał Wielkiej Orkie-

eprasa.pl 3bd2b0f672

stry Świątecznej Pomocy. Jerzy Owsiak poinformował w sieci, że do biura jego fundacji zadzwonił człowiek i formułował pod jego adresem groźby śmierci. Według Owsiaka to efekt prowadzonej przez Telewizję Republika akcji, w której ramach zachęcano widzów, aby zamiast wpłacać pieniądze na WOŚP, przekazywali je na rozwój stacji.

Do działania natychmiast ruszył cały aparat państwa z szefem MSWiA Tomaszem Siemoniakiem na czele. Człowieka odpowiedzialnego za groźby szybko zatrzymano, jednak natychmiast ruszyła antywolnościowa machina. Wicepremier, minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski z Lewicy stwierdził, że TV Republika powinna zostać pozbawiona koncesji na nadawanie. Na antenie TVN24 zapewnił, że nie może być „żadnej tolerancji dla hejtu" ani „ludzi, którzy to robią". – Konsekwencje powinny być mocne, a na pewno w przypadku Telewizji Republika – powiedział Gawkowski. Wyjaśnił, że „takie zachowania wprost wskazują, że powinniśmy mówić o cofnięciu koncesji". – Osoba, która szczuła [...], powiedziała, że była zainspirowana tym, co usłyszała w Telewizji Republika – podkreślił minister. W jego ocenie doszło do naruszenia ustawy i „trzeba będzie to rozliczyć".

W podobnym tonie wypowiedziała się partyjna koleżanka Gawkowskiego, minister do spraw równości Katarzyna Kotula. W jednym z wywiadów oceniła, że TV Republika to „szczujnia, która będzie podżegała ludzi do tego, żeby popełniać przestępstwa na tle nienawiści różnego rodzaju osób". Po zapowiedzi pozwu ze strony szefa TVR Tomasza Sakiewicza minister z Lewicy nie zmieniła zdania. „Ja nie myślałam tylko o przypadku Jurka Owsiaka, tylko o tej telewizji w szerszym kontekście, także wobec tematu równego traktowania społeczności LGBT+. To jest grupa osób, na którą Republika szczuła i szczuje nadal" – dodała.

Czy propozycja odebrania koncesji największej obecnie stacji konserwatywnej, która stanowi ważny ośrodek przekazu opozycji, spotkała się ze sprzeciwem przedstawicieli „wolnych mediów"? Cytowana wcześniej Kamila Biedrzycka przekonuje, że „wyszliśmy dawno z normalnej sytuacji", a więc „trzeba dobierać narzędzia do sytuacji, w której się znajdujemy". – A znajdujemy się w takiej, że ta spirala hejtu zaczyna się wymykać spod jakiejkolwiek kontroli, to tylko eskaluje, bo wiadomo, że to pomysł na bycie. Trzeba pewne rzeczy, chyba, tak mnie się wydaje, nazywać po imieniu. Tu jest atak na fundację, regularne kłamstwo. To nieprawda. Zacznijmy mówić o tym, że to kłamstwa. W USA stacja CNN wyłączała konferencje Donalda Trumpa, bo on jawnie kłamał – mówiła dziennikarka.

Choć jej goście – Agata Szczęśniak z OKO.press i Roch Kowalski z Polskiego Radia – zgodnie odparli, że odebranie koncesji to może zbyt wiele, to jednak co do zasady zapanowała zgoda. – Nie uważam pracowników Telewizji Republika za dziennikarzy. Mnie to nieco przeraża, że dzisiaj to jest Gawkowski, ale za trzy lata to może być inny polityk, który będzie rozstrzygał. To nie jest zadanie dla polityków. To jest zadanie dla sądów, dla opinii publicznej, dla organów ścigania. Dla prokuratury także, żeby sprawdzała, czy na antenie nie dochodzi… Normalnie to byłoby zadanie dla KRRiT, ale to kolejny organ, który nie funkcjonuje. Potrzebna jest deeskalacja – stwierdził Kowalski.

Ministerstwo Cyfryzacji proponuje projekt, który zakłada, że prezes UKE będzie wydawał nakazy blokowania treści w Internecie

Tymczasem zasięgi TVR stale rosną. „Firma Nielsen, mierząca oglądalność telewizji i streamingu, udostępniła nowy raport, pokazujący TOP 10 grup mediowych z największym udziałem w oglądalności wśród dystrybutorów treści wideo w Polsce. Wyniki obejmują zarówno oglądalność kanałów TV, jak i serwisów na żądanie. Liderem okazała się grupa Warner Bros. Discovery przed Telewizją Polską i Grupą Polsat. Netflix był dopiero ósmy, wyżej znalazła się Telewizja Republika" – poinformował niedawno portal Wirtualne Media.

CENZURA INTERNETU

Trzeba przyznać, że chęć zamknięcia niewygodnej dla władzy Telewizji Republika wydaje się i tak mało radykalna przy tym, co proponuje Dorota Wysocka-Schnepf. Gwiazda „odzyskanej TVP" chciałaby bowiem… zamknięcia portalu X. Co prawda, jak zapewnia, tylko na czas kampanii prezydenckiej. Prorządowa propagandystka mówiła o tym w swoim programie „Niebezpieczne związki". – Żyjemy w sytuacji, w której dezinformacja może do nas przychodzić nie tylko ze Wschodu, lecz także Zachód może nas zatruć treściami, które nie będą miały nic wspólnego z prawdą. Jesteśmy w takiej sytuacji, coraz więcej krajów zapowiada zamknięcie TikToka w obawie przed chińską propagandą, to czy my powinniśmy poważnie pomyśleć, że może X powinien być zamknięty na czas kampanii wyborczej – zaproponowała Wysocka-Schnepf.

– My wiemy, że są zorganizowane grupy przestępcze, które sieją dezinformację. To nie są tylko Rosja czy Chiny. Musimy pamiętać o tym, że dezinformacja stała się elementem walki politycznej. To, co robią Elon Musk i Mark Zuckerberg, który się przyłączył, to jest otworzenie puszki Pandory. To nazywanie weryfikatorów treści cenzorami – odparła goszcząca w programie dr Katarzyna Bąkowicz z SWPS. Bąkowicz oceniła, że zamykanie X to „bardzo radykalne rozwiązanie", jednak „trzeba pomyśleć nad uregulowaniem tej sfery".

Ta sama dr Bąkowicz o krok dalej poszła na antenie Polsat News. – Problem jest w odpowiedzialności i odwadze. I podam przykład. W Niemczech za opublikowanie komentarza – dam przykład komentarza na platformach społecznościowych – który jest albo mową nienawiści, albo jest kłamstwem, albo jest dezinformacją, jest możliwość wyrzucenia człowieka z pracy – powiedziała. – Niemcy potrafią sobie zbiurokratyzować wszystko, to też sobie zbiurokratyzowali – pochwaliła naszych sąsiadów. – I niestety, będąc ekspertką ONZ, zaproponowałam takie rozwiązanie w polskim biznesie. Nie zdecydowała się na to ani jedna firma, bo się firmy boją – narzekała medioznawczyni.

Już teraz Ministerstwo Cyfryzacji proponuje projekt, który zakłada, że prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej będzie wydawał nakazy blokowania treści w Internecie. Decyzje mają być podejmowane bez udziału sądu. Opozycja obwołała propozycję mianem ACTA3.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, prezesem Ruchu Narodowego, jednym z liderów Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Byle nie Trzaskowski

RYSZARD GROMADZKI: Grzegorz Braun ogłosił start w wyborach prezydenckich. Czy ta decyzja oznacza koniec Konfederacji w obecnej formule?

KRZYSZTOF BOSAK: Decyzja Grzegorza Brauna oznacza zakończenie naszej całkiem owocnej współpracy. Do sądu partyjnego trafił wniosek w sprawie Grzegorza Brauna. To, jak zachowają się działacze z nim sympatyzujący, będzie zapewne zależało od indywidualnych decyzji. Konfederacja będzie pracować normalnie. Na pewno dla każdego działacza, który w nią inwestował swój czas, z nią się utożsamia, w Konfederacji jest miejsce. Jest to projekt, który się rozwija, zyskuje na popularności. Zależy nam na tym, żeby być jednością i żeby ci, którzy z nami dotychczas pracowali, mogli kontynuować wspólną pracę polityczną.

Czy start Grzegorza Brauna zaszkodzi szansom Sławomira Mentzena w wyborach?

Do rywalizacji wyborczej dobrze jest podchodzić z pokorą. Uważam, że ci, którzy popierają Sławomira Mentzena, nie cofną swojego poparcia dla niego ze względu na zapowiedź startu Grzegorza Brauna. Nie oceniamy jego ruchu jako zagrożenia dla kampanii kandydata Konfederacji.

FOT. PAWEŁ SUPERNIAK

W niedawnym wywiadzie telewizyjnym powiedział pan, odnosząc się do rozstrzygnięć w zbliżających się wyborach prezydenckich, że ich zwycięzcą może być ktokolwiek, byle nie Rafał Trzaskowski. Jakie konsekwencje miałby wybór Trzaskowskiego na prezydenta Polski?

Dwojakie. Po pierwsze, Rafał Trzaskowski jest lojalnym i przekonanym członkiem Platformy Obywatelskiej, a więc jego wybór oznaczałby pełną współpracę z obecnym rządem, co miałoby wymiar ustrojowy. Jak widzimy, rząd Tuska nie szanuje konstytucji, przejmując bezprawnie kolejne instytucje. W wypadku wyboru Trzaskowskiego ten styl działania, czyli zmienianie porządku ustrojowego środkami politycznymi, zostałby podniesiony na wyższy poziom – pełnej władzy w państwie. Zniknęłyby ostatnie hamulce dla bezprawnego, zamordystycznego sposobu sprawowania władzy przez obecny liberalno-lewicowy rząd. Po drugie, trzeba wziąć pod uwagę poglądy i powiązania Rafała Trzaskowskiego, wyjątkowo radykalne nawet jak na Platformę Obywatelską. Postrzegam Trzaskowskiego jako przedstawiciela szczególnie niebezpiecznego nurtu programowego i ideowego w Platformie. Składa się na to mieszanka agresywnego progresywizmu z demonstracyjnym poparciem dla środowiska LGBT i powiązaniami globalistycznymi. Trzaskowski afiszuje się znajomością z synem George'a Sorosa, uczestniczy w międzynarodowych sieciach na rzecz klimatyzmu, jak sieć miast C40. Jest tam, gdzie w mojej ocenie mamy do czynienia z destrukcyjnymi wątkami w polityce międzynarodowej. Oceniam Trzaskowskiego jako polityka niebezpiecznego z powodów ustrojowych i ideowych.

Pańska ocena implikuje też inne wnioski. Czy w sytuacji, kiedy w drugiej turze wyborów zmierzą się Rafał Trzaskowski i popierany przez PiS Karol Nawrocki, Konfederacja poprze kandydata PiS? Czy taki ruch polityczny byłby inwestycją pod ewentualną „wielką koalicję" z PiS w przyszłości?

Nie wiemy, kto wejdzie do drugiej tury. My walczymy o to, by znalazł się w niej kandydat Konfe-

eprasa.pl 3bd2b0f672

deracji – Sławomir Mentzen. Ktokolwiek znaczy ktokolwiek. Każdy wariant jest lepszy niż ten z Trzaskowskim.

Nawet wariant z Adrianem Zandbergiem?

Uważam, że nawet kandydat lewicy byłby lepszy niż Rafał Trzaskowski, z tego prostego powodu, że byłby spoza Platformy Obywatelskiej. Tym samym tendencje do budowania monowładzy Donalda Tuska zostałyby powściągnięte. Moja wypowiedź nie jest więc zawoalowaną formą poparcia kandydata PiS i proszę jej tak nie odczytywać. Dyskusja o drugiej turze wyborów będzie wtedy, kiedy poznamy wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich. Nie przeskakujmy tego etapu. Przed nami jeszcze rejestracja kandydatów, kampania przed I turą wyborów, rozstrzygnięcie I tury. Dopiero to stworzy sytuację wyjściową, która przybliży zwycięstwo w II turze wyborów prezydenckich.

Nie odpowiedział pan na pytanie dotyczące perspektywy ewentualnej koalicji Konfederacji z PiS. Mam wrażenie, że przejęcie władzy przez obóz Tuska i praktyka jej sprawowania spowodowały pewne ostudzenie konfliktu na prawicy.

To nie jest dobry czas na komentarze dotyczące przyszłych koalicji. Z pewnością warunkiem, który jest absolutnie niezbędny do jakichkolwiek rozważań w tej sprawie, są wyniki wyborów dające twardy grunt do budowy arytmetycznej większości. Konfederacja z taką liczbą mandatów, jaką obecnie ma w Sejmie, nie była elementem możliwej większości. Tym, którzy czasami formułują pod naszym adresem pretensje, że z powodu braku woli do współpracy z PiS do władzy doszedł Tusk, zwracam uwagę, że suma mandatów Konfederacji i PiS w obecnym Sejmie nie daje większości, a opowieści o tym, że PSL zmieni front, zawsze pozostawały myśleniem życzeniowym. Nie znam żadnej nieoficjalnej rozmowy, w której politycy PSL deklarowaliby takie zamiary. Więcej – nie znam żadnego pojedynczego posła PSL, który byłby tym zainteresowany. Uważam, że mówienie o takim scenariuszu było mydleniem oczu wyborcom i sobie. A to jeszcze gorzej, bo świadczy o braku poczucia realizmu, jeżeli ktoś w Pałacu Prezydenckim czy przywództwie PiS wierzył w taki scenariusz. Co będzie po następnych wyborach, nikt z nas nie wie, natomiast gdyby niektóre z sondaży się potwierdziły i byłaby możliwa prawicowa większość w Sejmie, to jest oczywiste, że powinny się odbyć negocjacje. Myślę, że to jest wszystko, co na tym etapie mogę powiedzieć.

Wydaje się, że wybory prezydenckie w USA, w których zwyciężył Donald Trump, zmieniły koniunkturę polityczną. Wiatr zmian wieje teraz z prawej strony.

Pamiętajmy, że wcześniej wybory parlamentarne w Austrii i we Francji wygrały partie bardziej zbliżone profilem do Konfederacji niż do centroprawicy. Podobnie było w wyborach w niektórych krajach związkowych w Niemczech. Dodajmy do tego zestawu Włochy. Partie konserwatywno-suwerennościowo-wolnościowe są na fali.

W USA i części krajów Europy możemy więc mówić o symptomach konserwatywnego zwrotu. W Polsce jest inaczej. Dlaczego?

Uważam, że to fałszywa diagnoza. W mojej ocenie lewica jest w Polsce głęboko niepopularna. Twierdzenie, że rząd Donalda Tuska ma lewicowy charakter, nie do końca odpowiada prawdzie. Oczywiście jest w nim wielu polityków lewicowych. Ale po pierwsze, rząd Tuska jest niepopularny jak na standardy polskiej sceny politycznej. Po drugie, jest to rząd raczej centrowy.

Centrowy? Z taką agendą?

Centrowy z odchyleniem w lewo. Absolutnie nie mam zamiaru bronić tego rządu, ale proszę zwrócić uwagę, że lewica jest bardzo silnie rozczarowana osiągnięciami swojej reprezentacji parlamentarnej.

Mówi pan o środowisku partii Razem?

Nie tylko. Myślę też o środowiskach lewicowych ideologów i publicystów. Oni uważają, że lewica, która jest w rządzie, nie osiągnęła do tego momentu prawie nic. I mają rację. Większość lansowanych przez nich postulatów zatrzymuje się na etapie zapowiedzi, debaty medialnej. Nie jest wprowadzana w życie. Oni oczywiście zgłaszają w Sejmie swoje projekty, lecz ich skuteczność jest niewielka i to nie tylko dlatego, że nie podpisuje ich prezydent Andrzej Duda. Część tych projektów nie wychodzi z Sejmu albo nie uzyskuje poparcia dlatego, że w koalicji rządzącej są także partie centrowe. Uważam, że tym, co pozwala obecnie rządzącej w Polsce koalicji na dość duże poparcie, jest to, że jest tam wielu polityków centrowych. Zwróćmy uwagę, że nie tylko przepisy legalizujące aborcję nie uzyskały poparcia, lecz także nie przeszły przepisy wymierzone w środowisko myśliwych czy łowiectwo, a niekorzystne przepisy skierowane przeciw myśliwym były przegłosowane wcześniej przez PiS. To charakterystyczne, że dość konserwatywne środowisko łowieckie dostało po plecach od rządu PiS, a na razie uderzające w nie przepisy zostały zablokowane właśnie w obecnej koalicji rządzącej. W mojej ocenie, w odbiorze społecznym, rząd Tuska jest rządem centrowo-lewicowym. To, że zachowuje on poparcie, nie jest zasługą lewicy. Jestem zdania, że obecny rząd traci popularność przez natężenie lewicowych akcentów, przez różne feministki i różne radykalne pomysły, tak jak edukacja zdrowotna, która jeszcze nie weszła do szkół, a teraz jest suflowane, że ma być dobrowolna. Tak jakby nie można było zacząć od tego, że będzie to przedmiot dobrowolny. Wtedy byłaby to zupełnie inna dyskusja. Powtórzę jeszcze raz: poparcie dla rządu Tuska zapewniają centryści. Polskie społeczeństwo jest w dużej mierze centrowe, co znaczy, że nie oczekuje żadnej wyrazistej agendy ideologicznej.

Uważam, że ci, którzy popierają Sławomira Mentzena, nie cofną swojego poparcia dla niego ze względu na zapowiedź startu Grzegorza Brauna

Skoro Polacy są raczej centrystami, to dlaczego pokazali „czerwoną kartkę" PiS, który jest chyba bardziej centrowy niż koalicja pod przywództwem Tuska?

Wśród wielu Polaków wciąż żywe jest poczucie chaosu, arogancji, niegospodarności i nadużyć, które towarzyszyły rządom PiS. Nic w postawie polityków PiS nie wskazuje na wyciągnięcie przez nich wniosków i uporządkowanie swoich szeregów, tak żeby patologiczne zjawiska, które miały miejsce podczas ich rządów, się nie powtórzyły. W obecnym stanie

eprasa.pl 3bd2b0f672

kadrowym i poziomie refleksji w PiS trudno mi sobie wyobrazić ich powrót do władzy. Może rządy Tuska są beznadziejne, ale druga kadencja Morawieckiego była przeciwko nam. Tak myślą ludzie, którzy prowadzą działalność gospodarczą, tak myśli spora część rolników, która prowadzi hodowlę zwierząt, tak myślą środowiska łowieckie.

Dodajmy do tego wszystkich dotkniętych skutkami covidowego zamordyzmu, który firmował rząd Morawieckiego.

Dokładnie. Tak myślą środowiska dotknięte sanitaryzmem czy środowiska obronne i promilitarne. Przez osiem lat rządów PiS nie został wykonany żaden gest dotyczący prawa do posiadania broni. Jest wiele grup społecznych, które jeszcze długo będą pamiętały rządy PiS ze złej strony. Nikt w przywództwie PiS nie wyciągnął wniosków z błędów ich rządów. Może z jednym wyjątkiem. Mam na myśli prof. Czarnka, który w swoich wypowiedziach przyznaje, że błędy były, i potrafi je nazwać po imieniu. Ale już były premier Mateusz Morawiecki idzie całkowicie w zaparte.

Daje pan wiarę zaklęciom Morawieckiego, że walczył jak lew, żeby uchronić Polskę przed skutkami Zielonego Ładu?

Uważam, że premier Morawiecki w wypowiedziach publicznych w bardzo przemyślany sposób manipuluje albo wręcz kłamie po to, żeby wybielić swoje rządy i stworzyć zmanipulowany obraz swojej rzekomo twardej postawy wobec Unii Europejskiej. Wszystko, co złe i niekorzystne dla Polski, zdarzyło się wbrew jego woli i przy jego sprzeciwie. Niestety, jest to po prostu nieprawda.

Nasza rozmowa zbiega się w czasie z inauguracją prezydentury Donalda Trumpa. Czego spodziewa się pan w relacjach polsko-amerykańskich po administracji Trumpa?

To, czego należałoby oczekiwać na początek, to ambasadora, który nie będzie antypolski czy skłaniający się ku lewej stronie.

Czyli kogoś zupełnie innego typu niż ostatni amerykańscy ambasadorzy w Polsce, Georgette Mosbacher czy Mark Brzezinski.

Warto zwrócić uwagę, że na razie takiej gwarancji nie mamy. Nazwiska nowych ambasadorów USA w wielu państwach zostały już ogłoszone. W Polsce jak dotąd nie i nie wiemy, co tym razem maszyna losująca nam wyrzuci. Wiemy przecież, że Polska nie jest krajem pierwszoplanowym ani dla prezydenta Trumpa, ani dla Stanów Zjednoczonych. Możemy dostać profesjonalnego dyplomatę z establishmentu Departamentu Stanu, co nie będzie dla nas dobrą wiadomością, bo nie są to ludzie, którzy byliby jakoś szczególnie bliscy prawicy. Możemy też dostać kogoś z polityczno-biznesowego zaplecza prezydenta Trumpa i też niekoniecznie musi to być ktoś bliski nam światopoglądowo. Do Warszawy może też trafić konserwatysta z krwi i kości, z którym politykę mógłby robić nie tylko rząd Donalda Tuska, lecz także przedstawiciele sił prawicowych i konserwatywnych. To pierwsza rzecz, której bym sobie życzył w relacjach USA z Polską. Drugą jest to, żeby nasz region nie został przehandlowany z Rosją w zamian za pokój na Ukrainie. Uważam, że takie ryzyko niestety istnieje.

Jeżeli Waszyngton chce uzyskać od Moskwy pokój na Ukrainie, to w zamian musi coś jej dać. Pytanie brzmi: Co?

Liczy się pan z „drugą Jałtą"?

To za mocne porównanie, natomiast nikt nie ma gwarancji co do tego, co się wydarzy. Wiadomo, że zakończenie wojny na Ukrainie jest celem Donalda Trumpa. Prezydent USA wielokrotnie dawał wyraz przekonaniu, że ta wojna jest zła i niepotrzebna, a jej wybuch był następstwem błędów jego poprzednika Joe Bidena. Tylko jeżeli Waszyngton chce uzyskać od Moskwy pokój na Ukrainie, to w zamian musi coś jej dać. Pytanie brzmi: Co?

Ceną pokoju na Ukrainie, oprócz zablokowania członkostwa Kijowa w NATO, może być wycofanie amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa dla państw wschodniej flanki sojuszu?

Jestem pewien, że oficjalnie nikt nie zrobi takiego kroku. Musimy jednak pamiętać, że Zachód był w stanie w sprawach Europy Środkowo-Wschodniej dogadywać się z Rosją zakulisowo. Działo się tak wielokrotnie. Do dziś akt stanowiący NATO-Rosja nie został wypowiedziany mimo zabiegów czy to polskiego prezydenta, czy to naszej dyplomacji. To daje do myślenia.

Prezydent Duda na wyścigi z premierem Tuskiem zapewnili izraelskiego premiera Netanjahu, że nie zostanie aresztowany w Polsce, gdyby zdecydował się wziąć udział w obchodach 80. rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Przypomnijmy, że w listopadzie Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał nakaz aresztowania Netanjahu za zbrodnie wojenne popełnione przez Izrael wobec ludności cywilnej w Strefie Gazy. Czy gdyby Netanjahu jednak przyjechał na obchody w Auschwitz, polskie władze powinny go aresztować?

Do takiej sytuacji nie dojdzie. To wariant czysto hipotetyczny. W mojej ocenie premier Netanjahu, nie mając ryzyka zredukowanego do zera, poprzez odpowiednie dyplomatyczne zapewnienia ze strony polskiego rządu, nie pojawi się w Polsce. Jak rozumiem, prezydent Duda występując z taką inicjatywą wobec rządu, chciał, żeby państwo polskie oficjalnie dołączyło do tej koalicji, która lekceważy postanowienie Międzynarodowego Trybunału Karnego. Tak też się stało po oświadczeniu rządu Tuska, dającym Netanjahu gwarancje bezpieczeństwa w Polsce. Jednak tym samym polskie państwo potwierdziło, że nie przywiązuje wagi do zbrodni wojennych popełnianych przez Izrael w Strefie Gazy. Brutalnych zbrodni zasługujących na potępienie. Poprzez te kroki Polska oficjalnie włączyła się w koalicję amerykańsko-izraelską, która gwarantuje premierowi Izraela bezkarność pomimo popełnionych pod jego kierownictwem zbrodni przeciw cywilnej ludności w Strefie Gazy. Nie jestem przekonany, że leży to w interesie państwa polskiego. Chciałbym poznać argumenty prezydenta i rządu w tej sprawie. Osobiście uważam, że nie powinniśmy być kojarzeni z wyrozumiałością dla zbrodni wojennych czy tolerancją dla polityki czystek etnicznych. To nie są nasze wartości. Polska jest krajem chrześcijańskim i powinna stać na straży podstawowych praw człowieka, jak prawo do wolnego życia na własnej ziemi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Wielka frustra: nie dowieźli i nie dowiozą

Rafał A. Ziemkiewicz

Rządy Tuska wchodzą w fazę, którą Włodzimierz Czarzasty określił kiedyś, w czasach, gdy rozpadała się władza jego formacji, formułą „jak nie idzie, to już nie idzie". Czegokolwiek się tknąć, rozpada się, po prostu, jak to śpiewano w przedwojennym kabarecie, „z każdej strony swąd"

Rośnie koszt obsługi zadłużenia, a więc także deficyt budżetowy, i ministerstwo finansów po raz pierwszy od czasu paniki covidowej w 2020 r. musi sprzedawać krótkoterminowe bony skarbowe na 5,5 proc. rocznie. Dla rynków finansowych taki sygnał to jak krew dla piranii – koszty obsługi długu muszą wzrosnąć jeszcze bardziej. W efekcie elektorat władzy co i raz słyszy, że na realizację obietnic, w które uwierzył, nie ma pieniędzy, i to – mówiąc stylem Kubusia Puchatka – im bardziej się ich szuka, tym bardziej ich nie ma. Nie ma także pieniędzy z KPO: w ostatnich dniach gruchnęła wieść, że Warszawa nie dostanie od Unii obiecanych ponad 200 mln zł na nowe tramwaje, bo… źle wypełniono wnioski (!). Wcześniej podobne odmowy zaliczyły Częstochowa i Gdańsk (a Poznań poszedł „po taniości" i kupił używane 30-letnie tramwaje niemieckie). Ale ta sama sytuacja w Warszawie, rządzonej nieprzerwanie przez PO od prawie już 20 lat, a obecnie wizytówce jej kandydata na prezydenta, to problem większy, niż mogłoby się wydawać. Głównym argumentem, którym przekonano do głosowania na obecną koalicję masy „prostych Polaków", było właśnie KPO: wiara, że Tusk „załatwi w Unii" te pieniądze, których PiS-owcom nie chcą dać. Jeśli PO tego nie potrafi, to co właściwie potrafi?

PAN DA, PANIE TUSK

Na pewno nie potrafi „dowieźć" poprawy w służbie zdrowia, we wszystkich badaniach wskazywanej przez Polaków jako problem numer jeden: przysłowiowe już stały się „miliardy na onkologię dziecięcą", które obiecywał Tusk znaleźć w TVP, ale je tam, po przejęciu władzy nad mediami państwowymi, zostawił i teraz zwolennicy władzy muszą zebrać je sami i wrzucić je do puszek Owsiakowi. Minister Leszczyna miota się w swych zapowiedziach i oskarżeniach – a to demaskuje lekarzy, że zarabiają powyżej 200 tys. miesięcznie, a to zamyka „zbędne" oddziały w szpitalach, żeby po kolejnym rytualnym spektaklu „Donald się wściekł" zapewniać, iż o żadnym zamykaniu nie ma mowy – i, co najciekawsze, nie jest wcale wśród ministrów tego rządu żadnym wyjątkiem. Życzliwa rządowi politolog w życzliwym mu Radiu TOK FM zapewniała ostatnio, że „to nieprawda, że ten rząd nie ma sukcesów; ma, tylko nie umie się nimi pochwalić" – niestety, żadnego przekonującego sukcesu, którym rząd mógłby się pochwalić, gdyby umiał, nie potrafiła wskazać. Chyba że sukcesami nazwać można „zrzucanie z planów" kolejnych umieszczonych tam przez poprzedników inwestycji (nie tylko wielkich, jak CPK i atom, lecz także ważnych dla różnych lokalnych społeczności stopni wodnych, brakujących odcinków autostrad, nabrzeży portowych etc.).

Jak by nie wydzielać segmentów elektoratu, który w październiku 2023 r. zadecydował o odsunięciu PiS od władzy, żaden z nich nie ma powodów do zadowolenia. Krótko po zmianie władzy Marcin Duma z IBRiS omawiał w wywiadzie dla gazeta.pl wyniki fokusów przeprowadzonych wśród zwolenników obecnej koalicji. Pokazały one dominujące oczekiwania materialne, formułowane zresztą dość prymitywnie: PiS dawał swoim (wsi i biedocie), wybraliśmy PO, żeby teraz dawała nam – „młodym, wykształconym, z większych ośrodków". W tym kontekście grobowo brzmią dla Tuska lamenty oddanych mu mediów (jak ostatnio w „Newsweeku"), że „klasa średnia ubożeje, musi oszczędzać nawet na jedzeniu".

Zawarty w tym i wielu innych podobnych tytułach idiotyzm jest niezwykle charakterystyczny: ktoś, kto musi oszczędzać na jedzeniu, wydatku najbardziej podstawowym, z definicji przecież nie jest klasą średnią, tylko po prostu „bidą". W istocie ta „klasa średnia", nad którą z taką troską pochylają się media Springera czy Agory, to dowartościowujący konstrukt lewicowo-liberalnej propagandy, w którym odżyła przedrozbiorowa tradycja „szlachty nieposesjonatów", czyli, dosadniej, „szlacheckiej gołoty": dziury na zadku, po uszy w długach, ale szabelka u boku (dziś: dyplom, praca w korpo, przeniesienie się do metropolii i inne oznaki przynależności do „elity") dają bezbrzeżne poczucie wyższości nad wiochą i obciachem, czyli „PiS-owską hołotą". Szlachta bez majątków ze swej

eprasa.pl 3bd2b0f672

natury wiesza się u klamek magnatów w zamian za gorliwe gardłowanie na ich rzecz po sejmikach i „zajeżdżanie" magnackich wrogów. Ale cóż to za magnat z Tuska, skoro uwieszonym u niego przestaje wystarczać na oliwę i parmezan?

W KLESZCZACH OBŁĘDU ROZLICZEŃ

Nie ma też powodu do zadowolenia „szlachta" inteligencka, ta z naukowymi tytułami, które zastąpiły gładko tytuły arystokratyczne (co wymownie pokazuje np. uporczywe podkreślanie w mediach Tuska „MAGISTER Przyłębska" i odmawianie przez stosowną heroldię profesorskiej rekomendacji Andrzejowi Zybertowiczowi, przy jednoczesnym uporczywym nazywaniu „profesorem" magistra Jerzego Stępnia). Warto tu sięgnąć po artykuł, który ukazał się niedawno w należącym do Agory serwisie gazeta.pl – autor, Grzegorz Sroczyński, co prawda od dawna funkcjonuje tam na statusie „symetrysty" mającego rzadką licencję na wygłaszanie herezji, ale tak daleko ani on, ani nikt inny jeszcze się nie posunął. Pozwolę sobie na obszerny cytat:

„Ciężko patrzeć, jak ludzie z naukowym dorobkiem, zasłużeni dla III RP, która mimo wszystkich swoich wad była polskim sukcesem, pogrążają się w odmętach antykaczyzmu, odbierającego im rozum i rzetelność ocen. Ostatnie występy medialne panów Zolla, Rzeplińskiego, Safiana, Tulei, Hermelińskiego – »Nie wypłacać dotacji!«, »Nie uznawać wyroków!«, »Ten sąd jest nieistniejący i każdy to wie!«, »Ten wyrok jest nieistniejący i to oczywiste!« – nie mówią nam niczego o faktycznym stanie prawnym, natomiast mówią wszystko o antypisowskich emocjach szanownej profesury. Nasi »eksperci« i nasze »autorytety« […] stali się tanimi fachurami od cięcia blatu wyrzynarką. Profesura w Polsce uprawia już tylko prostą dychotomię niemal z Orwella: Kaczyński nie drukuje wyroków TK – źle, Tusk nie drukuje – dobrze, Kaczyński nie uznaje wyroków SN – źle, Tusk nie uznaje – dobrze. Gdyby Platforma wpadła jutro na pomysł, że wszyscy PiS-owcy powinni nosić żółte opaski, też zapewne znajdzie profesora z wielkim nazwiskiem, który wprost z konstytucji taką rzecz wywiedzie »w sposób oczywisty«. Krzysztof Bosak mówi, że prawnicze elity się obecnie prostytuują, i wypada się z nim zgodzić".

Sroczyński bezlitośnie diagnozuje obłęd „rozliczeń", w którym zakleszczyła się formacja Tuska, i jego efekt – nawet jeśli istotnie było co rozliczać, to pod presją, by robić to szybciej, bardziej brutalnie i spektakularnie; wszystkie prokuratorskie zarzuty i wnioski sejmowych komisji spaprano tak, że żaden uczciwy sąd, a tym bardziej żadna z instancji międzynarodowych, jak TSUE czy Komisja Wenecka, których opiniami tak usilnie legitymizowała się była rządząca dziś formacja w opozycji, nie może tego „klepnąć".

Może aktywność premiera na odcinku „formatu bałtyckiego" kryć ma zabieganie u Norwegów o azyl polityczny

Bez satysfakcji odnotuję, że herezje Sroczyńskiego potwierdzają w całej rozciągłości moje przewidywania – wygłoszone jeszcze przed wyborami – że jeśli PO wygra, to zniszczy ją to, co nazwałem „efektem Rasputina" (odwoływałem się bowiem do przykładu rosyjskiego rewolucyjnego Rządu Tymczasowego Kiereńskiego, który nie mogąc spełnić żadnego z oczekiwań głodnego i znękanego ludu, brnął w kolejne komisje ogłaszające bezmiar moralnego zepsucia na carskim dworze, aż w końcu, kiedy garstka bolszewików przegoniła Kiereńskiego z Pałacu Zimowego, nie ujął się za nim nawet pies z kulawą nogą). Oczywiście to nie są już czasy, gdy jedna publikacja mogła, niczym swego czasu „Poemat dla dorosłych", wstrząsnąć partią i jej zwolennikami, tym bardziej że Sroczyński jednak nie chce zrywać z własnym obozem i próbuje łagodzić swe herezje demonstracyjnym nienaruszaniem „pryncypiów" – nie posuwa się do stwierdzenia, że rzekome „zbrodnie PiS", które tak nieudolnie i bez sensu rozlicza Bodnar, zostały od początku do końca zmyślone, a winę za zapędzenie się w obłęd antykaczyzmu przypisuje jakimś grupom oszalałych radykałów od Giertycha, których zakładnikami stali się jakoby rządzący, podczas gdy źródłem wszystkich krytykowanych przez Sroczyńskiego obsesji i szaleństw jest przecież osobiście Donald Tusk.

Tak czy owak, segment antypisowskich radykałów też jest sfrustrowany, że „oni wszyscy jeszcze nie siedzą", że „neosędziowie" wciąż nie zostali pousuwani ze stanu sędziowskiego, a w Trybunale Konstytucyjnym, Sądzie Najwyższym i NBP wciąż

eprasa.pl 3bd2b0f672

Po roku rząd Tuska (na zdjęciu: posiedzenie rządu z 10 grudnia 2024 r.) ma tak marne notowania, jak „tymczasowy" rząd Morawieckiego w listopadzie 2024 r. FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

nie pojawili się, by przejąć je siłą, jak TVP i PAP, obiecani przez Tuska przed wyborami „silni ludzie". Niedawne słowa Adama Bodnara w TVN24: „Nie możemy nagle twierdzić, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jest sądem" brzmią raczej rozpaczliwie niż buńczucznie, zdają się wskazywać, że były Rzecznik Praw Obywatelskich, który zaprzedawszy się Tuskowi, drastycznie zaprzeczył całemu swojemu wcześniejszemu dorobkowi, rozumie, do jakiego stopnia się zapędził w bagno i miota się rozpaczliwie między „wściekającym się" premierem, który straszy go „wsadzeniem na plecy" jako wiceministra (czy raczej: resortowego oficera politycznego) Giertycha, a świadomością, że kiedyś zostanie, ze wszystkimi tego konsekwencjami, rozjechany przez TSUE, który w kwestii niedopuszczalności kwestionowania statusu sędziów wypowiedział się już dawno i bardzo jednoznacznie.

ZAWÓD TĘCZOWYM RAFAŁEM

Dodajmy do tego najmniejszy segment protuskowego elektoratu – tych, dla których najważniejsze są aborcja, „związki partnerskie" i reszta lewicowej obyczajówki. On też jest sfrustrowany. Za brak stosownych sejmowych projektów winić można było PSL. Ale zracjonalizować sobie zdradę „tęczowego Rafała", który jako kandydat koalicji nagle stał się nagle Rafałem „ja wam wszystko zaśpiewam", epatującym „patriotyzmem gospodarczym" i przyjmującym w darze od wyborców obraz ze św. Florianem?

Patrząc, według reguł politycznego marketingu, na oczekiwania poszczególnych grup wyborców, to, co Sroczyński pokazuje jako klęskę – fakt, że po roku rząd Tuska ma tak marne notowania, jak „tymczasowy" rząd Morawieckiego w listopadzie 2023 r. – wypada uznać za swoisty sukces i opatrzyć te wyniki słowem „wciąż". Co w tej sytuacji zamierza Tusk? Wierzy jeszcze, że pomysły administracyjnego usuwania niewłaściwych treści z Internetu, raport Piątka-Stróżyka czy kolejna zapowiadana lista „200 afer PiS" odwrócą niekorzystne trendy? A może aktywność premiera na odcinku „formatu bałtyckiego" kryć ma zabieganie u Norwegów o azyl polityczny, skoro udzielili go kiedyś Rafałowi Gawłowi? Bo na Węgrzech liczyć na to Tusk raczej nie może.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

SERIA
FENOMENY LUDZKOŚCI
Od erotycznych rozgrywek władców, przez tragiczne losy ludzi wystawionych na pokaz, do genialnych talentów umysłu.

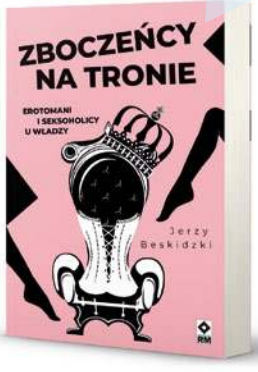

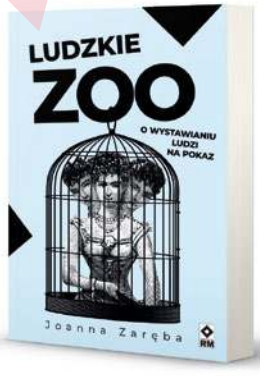

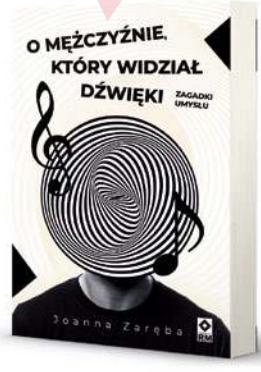

WYDAWNICTWO RM

eprasa.pl 3bd2b0f672

Problemy Świętego Jurasa

Łukasz Warzecha

Być może ten rok sygnalizuje wyraźną zmianę atmosfery wokół WOŚP, skoro osoby przez lata broniące tego przedsięwzięcia zaczynają deklarować swój dystans wobec niego. Winny jest temu sam Owsiak, któremu coraz gorzej szło maskowanie własnego politycznego zaangażowania

Jeżeli chcę to [co się wokół nas działo] do czegoś porównywać, to niestety muszę to porównywać do zapachu komór gazowych, do języka nazistowskiego, komunistycznego, do słów, które mogły padać w Katyniu, mogły padać w Auschwitz. To jest ten rodzaj retoryki, który się dzieje wokół także nas". Proszę sobie wyobrazić, że te słowa wypowiada działacz konserwatywnego stowarzyszenia czy ugrupowania. Jakież larum by się podniosło?! Słusznie zresztą, bo porównywanie jakiegokolwiek hejtu w dzisiejszych czasach do tego, co się działo tam, gdzie dokonywano ludobójstwa, jest świadectwem kompletnego zatracenia miar. Albo chorobliwego egotyzmu.

Tutaj jednak powszechnego oburzenia nie było, gdyż autorem tych wypowiedzianych 7 lutego 2014 r. słów był świecki święty – Jerzy Owsiak. Znany ze swojego narcyzmu i właśnie patologicznego wręcz egotyzmu, całkowicie pozbawiony odporności na krytykę i reagujący na nią wręcz neurastenicznie, w ten sposób komentował atmosferę wokół WOŚP w filmie na kanale Kręcioła.tv na YouTube, w którym oznajmiał, że złożył rezygnację „ze wszystkiego". Tamto nagranie dziś jest już nie do odnalezienia. Z kanału Kręcioła.tv niepostrzeżenie zniknęło.

Cóż wtedy tak straszliwie wzburzyło Jurka? Otóż – nic nadzwyczajnego. Po prostu postulaty zwiększenia transparentności WOŚP oraz krytyka imprezy i politycznego zaangażowania jej dyrygenta. Był to czas wojenek św. Jurasa od Złotego Melona z Telewizją Republika. W przeciwieństwie do wspomnianego wcześniej filmu na Kręcioła.tv można wciąż znaleźć głupawą parodię tejże stacji, zaprezentowanej jako „Pe.Publika". To w styczniu 2014 r. w odpowiedzi na normalne pytanie dziennikarza o przejrzystość działań Fundacji WOŚP Jerzy wlazł na stół i histerycznie krzyczał: „Gdzie jest mój słoik z pieniędzmi?!". Nie był to pierwszy ani ostatni raz, gdy odpowiedzią na rzeczowe pytanie o finanse, naturalne w przypadku takiego przedsięwzięcia, był wybuch nienormalnych emocji jego lidera.

CZŁOWIEK NIETYKALNY

Pionierem dociskania WOŚP i Owsiaka w sprawach finansowych był Piotr Wielgucki, znany jako „Matka Kurka", który zapłacił za to zresztą wysoką osobistą cenę, stając kilkakrotnie przed sądem. Sam zresztą również wytaczał przeciwko Owsiakowi prawne działa – i wygrywał, choć o tym mało kto wiedział. W 2019 r. Owsiak został zmuszony wyrokiem sądu do zamieszczenia w sieci nagrania, w którym przepraszał za naruszenie – pięć lat wcześniej – dóbr osobistych Wielguckiego. W 2017 r. na swoim blogu „Matka Kurka" opisał – na podstawie dokumentów sądu i wydanego orzeczenia – porażkę, której doznała WOŚP w sprawie, którą sama rozpoczęła oskarżeniem prywatnym wobec Piotra Wielguckiego. Szczególnie istotny jest tam wątek poważnych wątpliwości dotyczących przedstawionych sądowi przez WOŚP dokumentów rozliczeniowych.

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Obrońcy i fani Owsiaka uważają, że ostatecznym dowodem, iż w WOŚP wszystko gra, jest to, że przez osiem lat rządów PiS nie było żadnego postępowania przeciwko fundacji. Jest to jednak dowód słaby.

Po pierwsze – poprzednia władza pewnych spraw po prostu bała się ruszać. Święty Juras ma w III RP status nadzwyczajny i jego naruszenie za czasów PiS polegało jedynie na tym, że z WOŚP przestała wtedy współpracować telewizja państwowa. Nic poza tym się nie zmieniło – zasada nietykalności św. Jurasa była nadal w mocy. Wszak prezydent Andrzej Duda karnie co roku przekazywał na finałową licytację kolejne fanty, nawet wówczas, gdy był przez Owsiaka obrażany. Co, nawiasem mówiąc, bardzo wiele mówi o samej prezydenturze Dudy.

Po drugie – wątpliwości niekoniecznie dotyczą tego, co jest wymagane z punktu widzenia regulacji prawnych ze strony organizacji pożytku publicznego i fundacji. Sprawozdania finansowe WOŚP mogą być formalnie w porządku, ale przecież nie tego dotyczyły zastrzeżenia Piotra Wielguckiego. Odrębnym zagadnieniem są pytania dotyczące zakupów sprzętu – na jakich warunkach jest nabywany, jak wyszukiwani są jego dostawcy.

Przede wszystkim zaś – na co sam wskazuję od lat – wątpliwości budzą oficjalnie podawane w sprawozdaniach sumy. Nie dlatego, że miałyby być nieprawdziwe, ale z powodu swojej wysokości. Przyjrzyjmy się dwóm wartościom: stosunek pieniędzy ze zbiórki ulicznej do pieniędzy pozyskiwanych w inny sposób oraz koszty organizacji finałów WOŚP. Na portalu zbiórek publicznych takie dane dostępne są od 2014 do 2023 r. (sprawozdanie za 32. finał nie jest jeszcze udostępnione).

DLACZEGO BIZNES WSPIERA WOŚP

O popularności Orkiestry i stosunku obywateli do niej świadczy przede wszystkim gotowość do wrzucania pieniędzy do puszek, a szerzej – do darowizn od osób prywatnych. Czym innym natomiast są licytacje oraz wpłaty od firm, które także biorą udział w licytacjach. Firmy kierują się inną logiką niż szeregowi wspierający na ulicy. O ile w przypadku tych ostatnich chęć wpłacenia pieniędzy na WOŚP jest pochodną ich stosunku do tej imprezy, o tyle dla firm jest to metoda na robienie sobie PR i działanie, które można dopisać do obowiązkowej rubryki CSR, czyli Corporate Social Responsibility – społeczna odpowiedzialność biznesu. CSR to jeden z wątków poprawności politycznej obecnych w biznesie. Jazda obowiązkowa, którą zwłaszcza wielkie firmy odwalają rutynowo, prowadząc różne absurdalne programy „inkluzywności", „równości", sadzenia drzewek i podobne. WOŚP mieści się w tym idealnie. Obowiązuje tutaj również logika stada: jeśli na WOŚP daje odpowiednio duża grupa firm, to kolejne muszą to również robić, ponieważ brak udziału w akcji będzie odczytywany jako deklaracja polityczna. A świat korporacyjny jest zdominowany przez owczy pęd i polityczną poprawność. Dla wielu prywatnych przedsiębiorstw jest to również sposób na podlizanie się władzy (poza okresem rządów PiS, gdy jednak udział w WOŚP nie był dyskwalifikujący w relacjach z rządem – po prostu nie pomagał, a także nie szkodził).

Do WOŚP dołączają również firmy państwowe czy z udziałem Skarbu Państwa. W tym roku zasilają ją Orlen, Poczta Polska, PZU. Tutaj w ogóle już nie ma mowy o swobodzie decyzji – jako że WOŚP to impreza jednoznacznie zdefiniowana politycznie, spółki Skarbu Państwa po prostu muszą brać w niej udział, jeżeli rządzi formacja przychylna św. Jurasowi.

Taka sytuacja jest oczywiście kompletnym absurdem. Znacznie efektywniejsze byłoby, gdyby te firmy – jeśli już uznalibyśmy, że faktycznie NFZ tak bardzo potrzebuje jakiejś zewnętrznej pomocy – kupowały sprzęt medyczny bezpośrednio, zamiast przepuszczać kasę przez fundację Owsiaka, co oznacza, że w części ich pieniądze pokrywają koszty własne finału.

Co więcej, jako że na WOŚP robi sobie PR ogromna liczba firm, oznacza to, że bardzo wielu Polaków wspiera Owsiakową hucpę – czy tego chcą czy nie. Nie da się po prostu uniknąć korzystania z usług czy kupowania towarów którejś z marek uczestniczących w WOŚP. Co jest szczególnie oburzające w przypadku firm państwowych.

Niestety, nie dowiemy się ze sprawozdań fundacji, która część pieniędzy pochodzi od darczyńców prywatnych, a która od firm, w tym z uwzględnieniem spółek z udziałem Skarbu Państwa. Wpłaty z finałowej zbiórki rozbite są bowiem jedynie na dwie pozycje: zbiórka uliczna oraz pozostałe, a więc wpłaty na konto, licytacje, płatności kartami. Jak kształtują się te dwie pozycje w ciągu dziewięciu lat – od 2014 do 2023 r. (w milionach złotych)?

Rok	Zbiórka uliczna (w mln zł)	Pozostałe wpłaty (w mln zł)
2014	39,2	13
2015	50,9	21
2016	68,5	36,3
2017	71,1	54,5
2018	88,8	86
2019	116,7	68,8
2020	75,5	133,8
2021	95,1	127,7
2022	129	113,4
2023	157,3	123,5

eprasa.pl 3bd2b0f672

Z tego zestawienia widać, że coraz bardziej wyrównuje się relacja zbiórki ulicznej do pozostałych sposobów wsparcia. O ile w 2014 r. te drugie stanowiły trochę ponad jedną trzecią tych pierwszych, o tyle w 2023 r. było to już 78,5 proc.

Jeszcze ciekawsze są dane o kosztach finału podawane przez WOŚP. Przy czym uwaga: są to tylko koszty bezpośrednio ponoszone przez fundację. Podaję je w milionach złotych. Druga rubryka to koszt reklamy.

Rok	Koszt finału podawany przez WOŚP (w mln zł)	Koszt reklamy (w mln zł)
2014	2,1	0,8
2015	2,2	0,45
2016	4	0,72
2017	3,3	1,3
2018	2,9	1,2
2019	4,9	2,0
2020	8,5	4,9
2021	9,1	4,1
2022	11,4	3,2
2023	14,3	3,3

Jak widać, począwszy od 2020 r. następuje radykalny wzrost bezpośredniego kosztu finału, a od roku 2014 do roku 2023 wynosi on aż 580 proc.! Przekracza to wielokrotnie skumulowaną inflację w tym okresie, która wyniosła ok. 50 proc. Gdyby w 2023 r. koszt organizacji finału miał być po prostu odbiciem inflacji, mógłby wynieść 3,5 mln zł. Powiedzmy z górką, że nawet i 5 mln. Ale nie ponad 14 mln zł! Skąd takie wartości – nie wiadomo. WOŚP tego nie tłumaczy.

Nie jest to oczywiście faktyczny koszt organizacji Owsiakowej imprezy. Trzeba bowiem do tego doliczyć czas antenowy telewizji państwowej i prywatnych, różnego rodzaju świadczenia rzeczowe ze strony państwowych instytucji, a przede wszystkim koszty ponoszone przez samorządy. Te zaś są szantażem moralnym przymuszane do partycypacji w finałach, a samorządowcy, którzy ośmielili się odmówić, byli natychmiast piętnowani jako czarne owce.

Tych sumarycznych kosztów nie znamy. Samorządy udostępniają je tylko na życzenie. Wiemy np., że Wrocław dopłaca od lat do finału WOŚP po ok. 40 tys. zł, nie licząc udostępnienia miejsca czy zabezpieczenia imprezy. Znacznie mniejsza Oława ponosi koszt rzędu 30 tys. zł (dwie trzecie pokrywają urząd miasta, starostwo i sponsorzy). W tym roku lokalnych finałów ma być trochę ponad 120. Niech średnio każdy z nich kosztuje – liczmy bardzo umiarkowanie – 25 tys. zł. Daje to ok. 3 mln zł dodatkowych kosztów. A jest to szacunek bardzo ostrożny.

Niedawno kandydat KO na prezydenta, Rafał Trzaskowski, oznajmił, że „żaden szpital w Polsce nie mógłby tak dobrze funkcjonować, gdyby nie Jurek Owsiak". Gdyby wziąć stwierdzenie prezydenta Warszawy na poważnie, trzeba by uznać, że polskie państwo w trzeciej dekadzie XXI w. i po ponad roku rządów PO całą swoją służbę zdrowia opiera na jednej akcji dobroczynnej. To oczywisty nonsens. O ile wkład WOŚP mógł mieć jakieś znaczenie jeszcze dwie dekady temu, o tyle dzisiaj jest całkowicie pomijalny, a akcja ma już wyłącznie propagandowe znaczenie. Miałaby być może jakiś sens, gdyby wspierała potrzebujących tam, gdzie państwo umywa ręce – np. w przypadkach ciężkiego i niefinansowanego przez NFZ specjalistycznego leczenia. Tyle że to byłoby znacznie trudniejsze do propagandowego wykorzystania, bo kilku czy nawet kilkunastu wyleczonych osób nie da się przecież okleić serduszkami tak jak urządzeń medycznych.

ZMIANA ATMOSFERY WOKÓŁ WOŚP

Być może ten rok sygnalizuje wyraźną zmianę atmosfery wokół WOŚP, skoro osoby przez lata broniące tego przedsięwzięcia – jak Krzysztof Stanowski – zaczynają deklarować swój dystans wobec niego. Winny jest temu sam Owsiak, któremu coraz gorzej szło maskowanie własnego politycznego zaangażowania. Otwartym zagraniem na nosie ludziom jeszcze wierzącym naiwnie w dystans Owsiaka do bieżącej polityki była kampania billboardowa z października 2023 r., której tylko ślepy mógłby nie uznać za wsparcie ówczesnej opozycji w wyborach. W całym kraju zawisło 1840 plakatów finansowanych przez WOŚP, z wielkim napisem „Wygramy!" i malutkim szarym dopiskiem: „z sepsą". Sprawozdanie finansowe z 31. finału WOŚP mówi, że koszt kampanii reklamowej wyniósł 3,2 mln zł. Zatem darczyńcy, chcąc nie chcąc, złożyli się po prostu na część kampanii reklamowej opozycji politycznej.

Jerzy Owsiak rozmienia się na drobne już od kilku lat, ale dopiero teraz w przestrzeni publicznej zaczęły się pojawiać stwierdzenia o poważnym kryzysie wizerunkowym Orkiestry

Jerzy Owsiak rozmienia się na drobne już od kilku lat, ale dopiero teraz w przestrzeni publicznej zaczęły się pojawiać stwierdzenia o poważnym kryzysie wizerunkowym Orkiestry. Takie są skutki oparcia całej imprezy na jednej osobie i ścisłego powiązania jej z nią. Co zresztą jest z gruntu sprzeczne z zasadami pracy charytatywnej, gdzie na pierwszym planie powinny być sprawa i ci, którym się pomaga, a nie osoba organizatora zbiórki. To jednak byłoby niemożliwe w przypadku człowieka o tak skrajnie rozdętym ego jak u Owsiaka.

W ten sposób kończy się użyteczność WOŚP i jej lidera dla obozu lewicowego jako ponadpolitycznego autorytetu – którym faktycznie Owsiak nigdy nie był, ale który mniej lub bardziej skutecznie udawał. Nie oznacza to jednak, że Wielka Orkiestra i jej „dyrygent" w ogóle przestają być dla tego środowiska użyteczni. W nowej odsłonie będą bowiem służyć jako narzędzie zwiększania polaryzacji tudzież jako jedno z uzasadnień wprowadzania cenzury, mającej postać polowania na „mowę nienawiści".

Kolegium redakcyjne Radia Poznań sporządziło niedawno list otwarty, w którym domaga się wyciągnięcia konsekwencji wobec Piotra Lisiewicza – publicysty mediów Tomasza Sakiewicza – który jest szefem rady programowej rozgłośni. Powodem ma być właśnie „mowa nienawiści" wobec Owsiaka. Przejawami tejże „mowy nienawiści" są stwierdzenia, że Jerzy Owsiak to „największy hejter", „bajkopisarz" oraz „świecki święty".

Może lepiej – na wszelki wypadek – po postawieniu kropki pod tym tekstem spakuję szczoteczkę do zębów. Paczki proszę wysyłać na adres aresztu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Z Michałem Kotem, socjologiem i matematykiem, ekspertem do spraw polityki rodzinnej i społecznej
rozmawia Radosław Wojtas

Za egoizm młodych odpowiada pokolenie ich rodziców

RADOSŁAW WOJTAS: „Jeśli chcielibyśmy scharakteryzować »zoomerów« przy pomocy kilku pojęć, to byłyby to: zła kondycja psychiczna, przemęczenie, brak czasu, życie w ciągłym biegu i napięciu, problemy z nawiązywaniem relacji" – czytamy w raporcie „Aspiracje życiowe młodych Polek i Polaków"*. Nie za bardzo narzekamy na „zetki"?

MICHAŁ KOT: Te stwierdzenia przewijały się w zasadzie we wszystkich rozmowach, które były prowadzone z przedstawicielami pokolenia Z. Oczywiście jest też wiele pozytywnych samoidentyfikacji, jest o tym mowa w raporcie, ale te trzy pojęcia pojawiają się najczęściej. Zła kondycja psychiczna jest czymś, co zostało już dość dobrze rozpoznane, zarówno na poziomie badań, jak i na poziomie czystych statystyk; problem widać jak na dłoni, chociażby w postaci kolejek do psychologów. Podobnie jest z problemami w nawiązywaniu relacji – to też znane, wielokrotnie opisywane zjawisko. Natomiast wskazywanie przez „zoomerów" na brak czasu jako na jeden z najważniejszych ich problemów jest pewnym zaskoczeniem i jednym z ważniejszych odkryć tego raportu.

Pokolenie Z deklaruje, że brak czasu jest jedną z najpoważniejszych przeszkód w budowaniu relacji. Ponadto wiele badań pokazuje, że młodzi dużo i coraz więcej czasu spędzają w Internecie, na portalach społecznościowych, w których ten czas przepalają. Czyli nie brak czasu, ale raczej sposób jego wykorzystania stanowi tu problem.

Młodzi ludzie coraz mniej czasu spędzają na nauce, pracy, spotkaniach ze znajomymi, wyjściach z domu. Jedynym działaniem, na które przeznaczają go coraz więcej, jest korzystanie z Internetu. Przedstawiciele pokolenia Z często dostrzegają problem, chcieliby ograniczyć czas spędzany w Internecie, ale brak im silnej woli. Nie potrafią sobie z tym poradzić. Tu pojawia się napięcie – z jednej strony chcieliby spędzać czas na innych aktywnościach, ale wirtualna rzeczywistość za bardzo ich wciąga. Później próbują nadrobić stracony czas – rzeczy, które chcą lub muszą zrobić, zaczynają robić szybciej, co oczywiście wywołuje napięcie, stres i wzmacnia takie problemy jak słaba kondycja psychiczna czy trudności z nawiązywaniem relacji. Chcieliby budować relacje szybko i intensywnie, bez poświęcania odpowiedniej ilości czasu, a tak po prostu się nie da.

Amerykańskie badania wskazują rok 2015 jako moment, w którym lawinowo zaczęły narastać problemy młodych ludzi. Od tego czasu bardzo szybko podnosi się odsetek młodych osób, które identyfikują się ze stwierdzeniami: „Nie potrafię nic robić dobrze", „Moje życie jest bezużyteczne", „Nie cieszę się z mojego życia". Amerykanie wskazują winnych – media społecznościowe. W tym tkwi problem?

Social media – takie, jak je dziś rozumiemy – zaczęły powstawać na początku pierwszej dekady XXI w. Popularność zyskały po roku 2010. Okolice roku 2015 to też moment, kiedy upowszechniły się smartfony. Ja jeszcze pamiętam świat bez nich, ale i tak mam wrażenie, że media społecznościowe i smartfony są z nami niemal od zawsze. A przecież pierwszy iPhone pojawił się na rynku w połowie 2007 r., niecałe 20 lat temu. Potrzebne było jeszcze kilka lat, by urządzenia te staniały i stały się powszechne. I właśnie od tego czasu obserwujemy bardzo dynamiczny wzrost wskaźników, które możemy nazwać syndromami depresyjnymi. Psychologowie mówią, że jeżeli człowiek identyfikuje się ze stwierdzeniami, które pan przytoczył, to ryzyko wystąpienia depresji jest dużo większe niż u osoby, która się z nimi nie identyfikuje. To poważny sygnał ostrzegawczy.

Zwłaszcza że niemal połowa badanych młodych ludzi deklaruje, iż „nie dziwią ich samobójstwa młodych ludzi i że wielu znajomych ma problemy z depresją".

To niepokojący wynik, który jest odbiciem tego, o czym mówiłem na początku naszej rozmowy – młodzi ludzie postrzegają swoje pokolenie jako osoby o słabej kondycji psychicznej. Kiedyś czas szkoły średniej i studiów był okresem, w którym oczywiście nie brakowało wyzwań i trudności, ale który był raczej czasem większej beztroski, a samobójstwa rówieśników w bliższym i szerszym otoczeniu prawie się nie zdarzały. Nie znało się takich osób i gdyby ktoś z naszego kręgu odebrał sobie życie, to byłoby to coś szokującego. Dziś młodzi ludzie zaczynają o tym mówić jak o czymś, co naturalnie występuje w ich otoczeniu.

eprasa.pl 3bd2b0f672

Ale z drugiej strony 59 proc. młodych ludzi deklaruje, że „ma dobre życie".

Często w debacie publicznej pokolenie Z jest postrzegane jako jednolita grupa, a tak naprawdę jest ono bardzo zróżnicowane. Kiedyś różnorodność wśród młodych była lepiej dostrzegalna za sprawą subkultur. Dziś, gdy ich prawie nie ma, można odnieść wrażenie, że wszyscy młodzi są tacy sami. Postanowiliśmy więc pokazać, jak wygląda ich świat, i spróbować wyjaśnić, z czego wynikają różnice dotyczące m.in. kondycji psychicznej, aspiracji życiowych, relacji z rodziną, ze znajomymi. Przy pomocy narzędzi statystycznych podzieliliśmy młodych ludzi na sześć grup. Najbardziej skrajne z punktu widzenia zadowolenia z życia segmenty to „rodzinni optymiści", stanowiący 24 proc. badanych, i „relacyjnie wycofani", stanowiący 9 proc. badanej próby. Różnice są ogromne. Poczucie odczuwania depresji w tej pierwszej grupie deklaruje 7 proc. osób, a w drugiej – aż 43 proc. Jeśli chodzi o identyfikowanie się ze stwierdzeniem „czasem tracę poczucie sensu", to jest to 11 proc. wobec 44 proc. Podobne są proporcje, jeśli chodzi o poczucie osamotnienia. Wreszcie: w grupie „rodzinnych optymistów" zdecydowana większość, bo aż 88 proc., mówi, że ma dobre życie, a w segmencie „relacyjnie wycofanych" – jedynie 13 proc.

Co w największym stopniu determinuje to, w której grupie znajdują się młodzi ludzie? A więc to, czy są szczęśliwi, czy mają poczucie sensu, aspiracje, wiarę w ich realizację itd.?

Przyglądaliśmy się różnym cechom i szukaliśmy zależności. Ponieważ młodzi ludzie często mówią, że nie mają czasu na budowanie relacji, że są przemęczeni, to pierwsza hipoteza była taka, że determinantą może być ilość wolnego czasu. Została ona obalona. Okazuje się, że to nie ilość wolnego czasu, ale raczej sposób jego zagospodarowania może być bardziej decydujący. Tym, co mocno różnicuje dwie skrajne grupy, jest liczba znajomych i przyjaciół. „Rodzinni optymiści" mają ich ponad pięć razy więcej niż osoby „relacyjnie wycofane", tj. średnio 3,8 wobec 0,7. Ci pierwsi są zdecydowanie bardziej zadowoleni z relacji, które mają ze znajomymi. Jeszcze bardziej różnicuje ich rodzina, z której się wywodzą. „Rodzinni optymiści" znacznie lepiej oceniają relacje między rodzicami – średnia 8,3 w skali od 1 do 10. W przypadku „relacyjnie wycofanych" średnia ocen to jedynie 4,9. Sprawdzaliśmy też relacje dzieci z rodzicami. O ile większość młodych ludzi ma dobre relacje z mamą, o tyle relacje z ojcem mocno ich różnicują. Jedynie połowa badanych deklaruje, że ma dobre relacje z tatą. I ten czynnik najbardziej różnicuje nasze segmenty. W grupie „rodzinnych optymistów" jest to 77 proc., a „relacyjnie wycofanych" – tylko 13 proc. I jeszcze jeden wskaźnik, który wiele wyjaśnia. Rodzice 87 proc. „rodzinnych optymistów" nadal są małżeństwem, natomiast ponad połowa „relacyjnie wycofanych" pochodzi z rodzin, w których małżeństwa albo się rozpadły, albo nigdy ich nie było.

Skąd te różnice między relacjami z matkami a relacjami z ojcami?

Między innymi stąd, że w Polsce w przypadku rozpadów małżeństw opieka nad dzieckiem najczęściej przyznawana jest matkom. Nie oceniam, czy to dobrze czy źle, tylko stwierdzam fakt. Jeśli ojciec nie mieszka z dziećmi, tylko widuje się z nimi w weekendy czy raz na jakiś czas, to po prostu bardzo trudno jest zbudować relację. Zdarza się też, że występuje zjawisko utrudniania ojcom kontaktu z dziećmi. Okazuje się, że brak relacji z ojcem bardzo szkodzi dzieciom i zmniejsza ich szanse na osiągnięcie sukcesu życiowego. Zwłaszcza wtedy, gdy małżeństwo rodziców się rozpadło.

Czyli silna, zdrowa, tradycyjna i pełna rodzina może być odtrutką na zagrożenia nowoczesności i choć nie gwarantuje, to mocno przyczynia się do zadowolenia z życia, dobrej kondycji psychicznej i odnoszenia sukcesów.

Okazuje się, że to, czy młodzi ludzie wchodzą w dorosłość z nastawieniem pełnym optymizmu czy pesymizmu, zdecydowanie najbardziej zależy od tego, z jakich rodzin pochodzą. Czy tam były dobre relacje, miłość, zrozumienie, poczucie, że można na najbliższych polegać. W dzisiejszym świecie rodzice często mają niewiele czasu dla dzieci i swoją obecność próbują zastąpić jakimiś substytutem, np. dobrej klasy smartfonem. Co jest najgorszym możliwym pomysłem, bo nie dość, że to w żaden sposób nie zastąpi rodziców, to jeszcze spowoduje więcej szkód niż sama ich nieobecność. Czas jest najlepszym prezentem, który rodzice mogą dziecku ofiarować.

To, czy młodzi ludzie wchodzą w dorosłość z nastawieniem pełnym optymizmu czy pesymizmu, zdecydowanie najbardziej zależy od tego, z jakich rodzin pochodzą. Czy były w nich dobre relacje, miłość, zrozumienie, poczucie, że można na najbliższych polegać FOT. ADOBE STOCK

Nie dziwi, że „rodzinni optymiści" są bardziej skłonni do tego, by założyć własne rodziny i mieć dzieci. Ale nie są oni wyjątkiem na tle rówieśników, bo – jak wynika z waszego raportu – większość z nich chce mieć rodzinę i potomstwo.

Czterech na pięciu młodych ludzi deklaruje, że chciałoby założyć rodzinę. Grupy, o których rozmawialiśmy, mocno różnią się także pod tym względem. „Rodzinni optymiści" deklarują, że chcieliby mieć więcej dzieci, średnio 2,2. „Relacyjnie wycofani" są mniej skłonni do zakładania rodziny i wychowywania potomstwa. Średnia odnośnie do liczby dzieci jest w ich wypadku istotnie niższa – 0,8.

Zawsze tak było i pewnie zawsze będzie, że dorośli narzekają na młodzież.

eprasa.pl 3bd2b0f672

Dziś często zarzuca się młodym ludziom, że są egoistycznie, indywidualistycznie nastawieni do życia, że myślą tylko o sobie, a nie o założeniu rodziny. Okazuje się, że jeśli tak jest, to jest to przede wszystkim nasza wina: dzisiejszych 40-, 50-latków. Rodziców obecnych nastolatków i młodych dorosłych. Jeśli rodzina kojarzy im się pozytywnie – z ciepłem, miłością i bliskością – to młody człowiek chciałby właśnie taką rodzinę założyć. Jeżeli natomiast wychował się w rodzinie, w której tego wszystkiego brakowało, to bardzo często nie chce tych wzorców powielać i nie zamierza zakładać rodziny. Chociaż nie ma tu na szczęście determinizmu – są i takie osoby, które mają złe wspomnienia z własnych rodzin, ale marzą o własnej, szczęśliwej rodzinie, która będzie inna – lepsza. Można jednak śmiało powiedzieć, że jeśli młodzi ludzie są egoistyczni, nie chcą mieć dzieci, to wina jest w nas 40-, 50-latkach, gdyż nie potrafiliśmy przekazać im odpowiednich wartości.

Deklaracje o chęci posiadania dzieci swoje, a demografia – niestety – swoje.

To wynika z barier, które napotykają później ci młodzi ludzie. Żeby powstała szczęśliwa rodzina, w której pojawią się dzieci, muszą zostać spełnione pewne warunki. Po pierwsze, młodzi ludzie muszą rzeczywiście tego chcieć. Rodzina musi być pewnego rodzaju aspiracją, musi być doceniana. Mówię tu o pewnych aspektach kulturowych, a kultura popularna w coraz mniejszym stopniu promuje rodzicielstwo. Rodzina wychodzi z mody, przestaje być synonimem sukcesu życiowego, ustępuje na tym polu miejsca pracy zawodowej i sukcesowi ekonomicznemu. Po drugie, jeśli młody człowiek jednak ma aspiracje rodzinne, to musi znaleźć drugą osobę, z którą tę rodzinę założy. Musi powstać związek, a świat, w którym żyjemy, w którym nie potrafimy budować relacji, nie sprzyja tworzeniu stałych związków i zawieraniu małżeństw, w których pojawią się dzieci. Kiedy te dwa warunki są spełnione, musi zostać spełniony jeszcze trzeci. Młodzi muszą mieć odpowiednią sytuację materialną, by zdecydować się na dzieci. Dziś barierą są chociażby wysokie ceny mieszkań. Między aspiracjami a pojawieniem się dzieci daleka droga. Jednak to, że dzieci się nie rodzą, nie oznacza, że młodym brak jest rodzinnych aspiracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Raport „Aspiracje życiowe młodych Polek i Polaków" powstał na podstawie badań przeprowadzonych w 2023 r. przez nieistniejący już Instytut Pokolenia (instytut powołany przez premiera Mateusza Morawieckiego w 2021 r. zajmował się działalnością badawczą, opiniującą, wydawniczą i popularyzatorską w obszarze demografii Polski; został zlikwidowany przez premiera Donalda Tuska w 2024 r.). W ramach projektu na temat szeroko rozumianych aspiracji młodych ludzi, przedstawicieli pokolenia Z w wieku 16–24 lata, przeprowadzone zostały badania jakościowe (analiza forów internetowych, dzienniczki internetowe, wywiady), a następnie na podstawie tych badań przygotowana została ankieta, za pomocą której przeprowadzone zostało badanie ilościowe na próbie N=866 respondentów poprzez panel internetowy z kontrolą rozkładów brzegowych ze względu na województwo i wielkość miejscowości zamieszkania respondentów. Wyniki tych badań zostały opracowane przez Fundację Instytut Pokolenia, która zaprezentowała wstępne wnioski, a obecnie trwa zbiórka pieniędzy na wydanie całego raportu.

***Michał Kot** – socjolog i matematyk, ekspert do spraw polityki rodzinnej i społecznej, doświadczony menedżer i doradca biznesowy. Były dyrektor Instytutu Pokolenia mąż i ojciec pięciorga dzieci. Współtwórca Fundacji Instytut Pokolenia, która zajmuje się badaniami społecznymi, zwłaszcza znajdowaniem odpowiedzi na pytanie, jak odwrócić negatywne trendy demograficzne.*

eprasa.pl 3bd2b0f672

Żulczyk zredukowany

Piotr Gociek

„Wzgórze psów" to bardzo słaby serial na podstawie bardzo dobrej powieści

FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

Pewnego razu śp. Maciej Parowski, redaktor tyleż genialny, co kochający swoich autorów, rzucił do jednego ze swoich szybko zdobywających sławę podopiecznych słowa: „Albo jesteś na serio, albo jesteś grepsiarzem". Nie ja byłem tym podopiecznym, ale owej rozmowy byłem świadkiem. Powieść Jakuba Żulczyka była na serio, miniseria Netflixa to dzieło grepsiarzy. Nad czym ubolewam, bo mam głębokie przeświadczenie, że Żulczyka tą produkcją skrzywdzono. A właściwie sam siebie skrzywdził, bo jest wymieniony jako współautor scenariusza (wraz z Piotrem Domalewskim).

„Wzgórze psów" to była powieść znakomita, którą z równym entuzjazmem recenzowali Andrzej Horubała w konserwatywnym „Do Rzeczy", jak i Zbigniew Jazieniecki w „Kulturze Liberalnej". Chyba najlepsza książka w dorobku pisarza, który dla wielu polskich widzów jest przede wszystkim nie autorem powieści, lecz panem od seriali. Popatrzmy: napisał pierwszy sezon „Belfra" dla Canal+ i „Warszawiankę", która ostatecznie trafiła do SkyShowtime. Oprócz tego trzy z jego powieści zamieniły się w seriale: „Ślepnąc od świateł" był hitem HBO, „Informacja zwrotna" przebojem Netflixa; dla tego ostatniego serwisu powstała też odcinkowa wersja „Wzgórza psów".

POCZTÓWKA Z PROWINCJI

Jest to wersja krótka, pięcioodcinkowa, przystrzyżona, dość nijaka. Mogę tylko snuć domysły na temat przyczyn. Może swoje wymogi miał Netflix, który specjalizuje się w produkcjach zestandardyzowanych i przez to nijakich – ale przecież „Informacja zwrotna" była świetna! Może nie zestroili się ze sobą współpracujący przy serialu reżyserzy, czyli Piotr Domalewski i Jacek Borcuch. A może wszyscy razem dali się unieść zwodniczej pewności, że w obszernej, ponad 850-stronicowej powieści jest tyle materiału, że cokolwiek się z niej pokaże, to będzie dobrze. Otóż nie, nie będzie. „Wzgórze psów" jest najsłabszym z dotychczasowych seriali wedle konceptów lub książek Żulczyka. Być może jest to książka na ekran nieprzekładalna.

Mikołaj, młody pisarz na odwyku, wraca do rodzinnego Zyborka. Towarzyszy mu żona Justyna, która pomogła Mikołajowi wyjść z picia. Powrót do łatwych nie należy – miejscowi są wściekli, że w swojej debiutanckiej powieści Mikołaj nieźle ich obsmarował. Ojciec pisarza, Tomasz, ma pretensje, że dzieciak porzucił rodzinę i nie przyjechał nawet na pogrzeb matki. Mikołaj z kolei nie może zapomnieć ojcu starych, złych czasów, bo pielęgnuje w pamięci wizerunek pijaka i przemocowca. Do tej skomplikowanej relacji rodzinnej dołożone są trzy wątki kryminalne. Po pierwsze, brutalnie zamordowany zostaje jeden z miejscowych, który stał na drodze niemieckiego dewelopera do budowy luksusowego hotelu. Po drugie, w miejscowym psychiatryku zamknięty jest kumpel Mikołaja z czasów szczenięcych, niejaki Gizmo, oskarżony o zamordowanie przed laty jego dziewczyny. Po trzecie, sam Mikołaj dostaje tajemnicze przesyłki, których anonimowy autor domaga się, by pisarz wyjawił prawdę o śmierci Julii.

„Rewelacyjny thriller" – pisał Horubała („Do Rzeczy" nr 19/2017) – thriller, w którym Żulczyk „postawił wstrząsającą diagnozę współczesnej Polski". Zbigniew Jazieniecki („Kultura Liberalna" nr 439) dodawał, że książka „przeraża swoją aktualnością" i że jest to „powieść o narastającej i szukającej ujścia społecznej

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

frustracji. Dotyczy ona tyleż mieszkańców wielkich ośrodków miejskich, co polskiej prowincji". Tak, po stokroć tak, myślę że „Wzgórze psów" to jedna z nielicznych powieści, które oddają lęki i frustracje generacji wychowanej i dorastającej w III RP, powieść generacyjna, powieść bezcennie szczera. Tyle że w serialu niewiele z tego zostaje.

A co jest? Pięknie fotografowana pocztówka z prowincji, wypruta z pracowicie zaszytych w książce lokalnych smaczków, bo Warmię i Mazury zamieniono beztrosko na Dolny Śląsk. Dłużąca się opowiastka kryminalna wykastrowana z jednego z najważniejszych wątków emocjonalnych literackiego oryginału – powieściowi Mikołaj i Justyna zostali w Zyborku nie dlatego, że tak jakoś wyszło, a żona dziennikarka szukała materiału, tylko dlatego, że życie „młodych wykształconych w wielkim ośrodku" im się zawaliło. Mieszkanie spłacane z gargantuicznego kredytu musieli odnająć Portugalczykom, żeby udźwignąć raty i mieć coś jeszcze na życie. Wątek ten był zresztą okazją do wygłoszenia przez ojca Mikołaja jednego z najlepszych monologów powieści (o obietnicach wolności i bankowej niewoli).

„Wzgórze psów" naładowane było zarówno frustracjami narastającymi w okresie tzw. transformacji ustrojowej, jak i rozczarowaniem nowym wspaniałym światem pierwszej dekady po wejściu Polski do Unii Europejskiej. W wersji serialowej robi wrażenie fabuły spóźnionej, niemal nostalgicznej, co potęguje jeszcze muzyka Daniela Blooma, która zamiast nastrój podkreślać lub współtworzyć, po prostu się od niego odbija. Jest zbyt nachalna, zbyt dosłowna, a czasem robiąca wrażenie słabej imitacji kompozycji Badalamentiego z „Miasteczka Twin Peaks". Robert Więckiewicz jako Tomasz Głowacki, ojciec Mikołaja i lider opozycji przeciw skorumpowanej pani burmistrz, kradnie cały show. Mateusz Kościukiewicz jako Mikołaj jest nijaki, Jaśmina Polak jako jego żona – ledwie poprawna. Absurdalnie wypada pompatyczne intro, które sugeruje jakieś etnomagiczne głębokie przesłania metafizyczne na miarę ostatniego sezonu „Detektywa" (szyderczy żart zamierzony). Może i chłopaki dobrze się bawiły, wymyślając ten kawałek, ale wyszła parodia. Podobnie jak wtedy, gdy uciekli w animację, kiedy w piątym odcinku chcieli nieszablonowo pokazać, co wydarzyło się z Gizmem.

Serial „Wzgórze psów" to Żulczyk zredukowany, to standardowa przypowiastka na temat lokalnego układu zamkniętego. Niby wątki się zgadzają – są zagubiony, zbuntowany syn i jego twardy ojciec, jest opór przeciw władzy zblatowanej z niemieckim inwestorem Kaltem. Ale wszystko to wątłe, bezjajeczne. Powieść była polifonią, wielogłosem, palimpsestem, każda postać mówiła osobnym głosem, zmieniały się punkty widzenia, żyły tętniły od emocji, serce pękało od żalu, flaki ściskał ból. To była jakże rzadka w polskiej literaturze XXI w. powieść świat, powieść skowyt. Brutalna, bezlitosna, podważająca fundamenty dobrego samopoczucia i samozadowolenia obywateli III RP niezależnie od tego, czy są z Zyborka czy z Warszawki.

SPÓŹNIENI DO ŻYCIA

Były w niej zmaganie ze złem i walka ze Złym, były w niej straszliwy żal i wściekłość, jakie to wszystko jest niesprawiedliwe i popieprzone – poczynając od tego, żeśmy słabymi, upadającymi ludźmi, a kończąc na tym, że gra jest ustawiona i że nic się nie zmienia, choć, niczym w piosence Leonarda Cohena, „everybody knows". Serial Netflixa to blady cień świetności książki, popsuty w dodatku robieniem z Justyny na siłę podręcznikowej netflixowej „strong female lead", która osobiście wygraża ministrowi sprawiedliwości. Żona Mikołaja była niesłychanie ważną postacią powieści, ale z zupełnie innego powodu – nie będę szczegółowo objaśniał, by nie psuć lektury tym, którzy jeszcze książki nie czytali.

Smutno mi z tym wszystkim, bo kibicuję serialowemu uniwersum Żulczyka, widząc, jak ze zbiorowego portretu jego bohaterów wyłania się tragiczna figura generacji kidultów. Spójrzcie na niby fajowego Czułego z „Warszawianki", przerośniętego dzieciaka, który się uczy, jak być dorosłym. Na Kubę ze „Ślepnąc od świateł", któremu wydaje się, że jeśli będzie udawał, że nie zauważa zła, to ono nie zwróci na niego uwagi. Na Kanię z „Informacji zwrotnej", którego dopiero szokująca myśl – że być może przyczynił się do śmierci własnego syna – wyrywa z samolubnego alkoholowego ciągu. Wreszcie na Mikołaja ze „Wzgórza psów", który musi dorosnąć do myśli, że jego ojciec nie jest jego największym wrogiem i że nie da się wyrwać z siebie miejsca, które go stworzyło.

Cała ta generacja uczy się podstaw odpowiedzialności dopiero w tej chwili swego życia, kiedy tak naprawdę powinna być już wzorem i opoką dla swoich dzieci. Spóźnieni do dorosłości, spóźnieni do życia, spóźnieni do wszystkiego. Ciekawe, czy zrozumieją kiedyś, że filarami systemu, który ich oszukał, wyzyskał i upupił, byli także wesołkowaci kolorowi pajace wołający „Róbta, co chceta" albo „Nie robimy polityki, budujemy mosty". Bo dopóki nie zrozumieją, dopóty Polski naprawić się nie da.

„WZGÓRZE PSÓW"
POLSKA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Wiara katolicka ukryta w świecie baśni

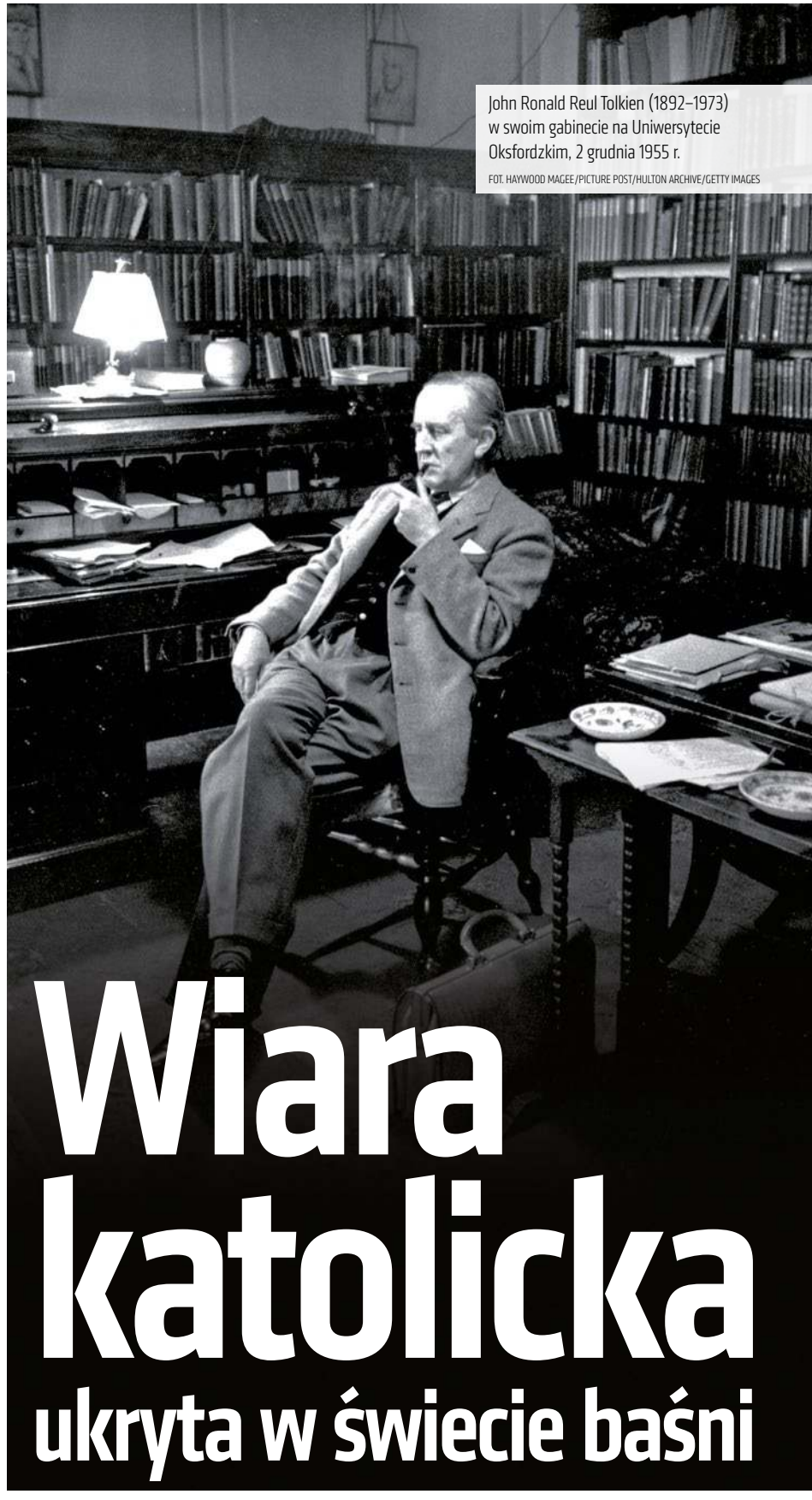

John Ronald Reul Tolkien (1892–1973) w swoim gabinecie na Uniwersytecie Oksfordzkim, 2 grudnia 1955 r.

FOT. HAYWOOD MAGEE/PICTURE POST/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

Łukasz Neubauer

Przeciętnemu odbiorcy kultury masowej nazwisko Tolkiena kojarzy się najczęściej z jego twórczością literacką, nierzadko przesianą przez popkulturowe sito, którego emblematycznym przykładem są adaptacje filmowe Petera Jacksona. To obraz nie tylko niepełny, lecz także w pewnej mierze zakłamany, nierzadko pomijający to, że nadrzędną miarą w jego życiu, a co za tym idzie – w pracy pisarskiej była wiara w Chrystusa Zmartwychwstałego. Życie duchowe Tolkiena prezentuje wystawa w turyńskim pałacu Reggia di Venaria Reale

Doskonałą egzemplifikacją takiego stanu rzeczy jest biograficzny film z 2019 r., w którym wyraźnych odniesień do chrześcijaństwa najzwyczajniej brak. Nie jest to zresztą nic nowego, ponieważ już w wydanej kilka lat po śmierci pisarza biografii pióra Humphreya Carpentera da się wyczuć jeżeli nie jednoznaczną niechęć, to przynajmniej spory dystans do duchowości Tolkiena (Carpenter zresztą, mimo że był synem anglikańskiego biskupa Oksfordu, większą część życia był mocno lewicującym ateistą).

CZŁOWIEK, PROFESOR, AUTOR

Sam J.R.R. Tolkien był naturalnie katolikiem, aczkolwiek na łono Kościoła przyjęty został jako kilkuletni chłopiec, razem z matką Mabel i bratem Hilarym. Wcześniej, w Bloemfontein, stolicy Wolnego Państwa Oranii, gdzie Tolkienowie mieszkali na początku lat 90. XIX stulecia, a przyszły pisarz przyszedł na świat, został on ochrzczony w obrządku anglikańskim. W pierwszych latach XX w. w Wielkiej Brytanii katolicy, a szczególnie katoliccy konwertyci, wciąż budzili

eprasa.pl 3bd2b0f672

silną niechęć, nie tylko wśród osób formalnie należących do Kościoła Anglii. Przekonał się o tym także Tolkien, który co prawda szybko zyskał uznanie jako badacz literatury średniowiecznej, ale we wczesnym dzieciństwie, osierocony przez oboje rodziców, na własnej skórze doświadczył ostracyzmu ze strony najbliższych krewnych. Animozje te były tak silne, że wychowania obydwu chłopców finalnie podjął się zaprzyjaźniony z Tolkienami o. Francis Morgan z Oratorium w Birmingham.

To właśnie dzięki jego osobistemu zaangażowaniu oraz nieustępliwości we wspieraniu ich nie tylko w formacji duchowej, lecz także nauce zdradzający już we wczesnym dzieciństwie niezwykły talent do języków John Ronald dostał się na wymarzone studia filologiczne w Oksfordzie. Ukończył je z najwyższym wyróżnieniem, aczkolwiek już w trakcie drugiego roku Tolkien porzucił filologię klasyczną na rzecz rodzimej literatury i języka, specjalizując się w tekstach wczesnośredniowiecznych. Karierę akademicką kontynuował z powodzeniem do lat 60., stając się w wieku 32 lat najmłodszym profesorem w historii Uniwersytetu w Leeds. Stąd przeniósł się na stałe do Oksfordu. Co prawda, nie opublikował on wielu tekstów o charakterze stricte naukowym, jednak niektóre z nich, przede wszystkim słynne eseje „Beowulf: Potwory i krytycy" czy „O baśniach", stanowią bezdyskusyjny wkład w badania nad jednym z najstarszych germańskich eposów oraz utworów z pogranicza świata realnego i magicznego.

W dużej mierze zagadnienia podjęte w tej drugiej publikacji uznać można za paradygmat literackiej twórczości Tolkiena, ontyczną podstawę świata, który – jak twierdził – jedynie „subkreował", za fizyczny i metafizyczny fundament niezmiennie biorąc rzeczywistość powołaną do istnienia przez Boga. W połączeniu z quasi-średniowiecznym entourage'em naśladującym świat „Beowulfa", germańskich i celtyckich mitów czy legendę o królu Arturze czytelnicy „Władcy Pierścieni" otrzymali wewnętrznie spójną, przedchrześcijańską imago mundi, w którym cnotliwi poganie (by użyć tutaj określenia z „Boskiej komedii" Dantego) zmagają się nie tylko z personifikacją zła w osobie Saurona, lecz także z własnymi słabościami i wątpliwościami. Zwieńczeniem tolkienowskich narracji jest zwykle tzw. eukatastrofa, definiowana przez pisarza jako „nagły szczęśliwy zwrot w opowieści, który przeszywa radością". Jest on według Tolkiena nieodzownym elementem każdej historii o charakterze mitopeicznym.

W efekcie „Władca Pierścieni" – powieść „fundamentalnie religijna i katolicka", jak określił ją pisarz w jednym ze swoich listów – stanowi egzemplifikację Euzebiańskiej koncepcji praeparatio evangelica. Zakłada ona obecność w innych wierzeniach i kulturach elementów wprowadzających w duchowość chrześcijańską, przygotowujących do zrozumienia prawdy zawartej w Ewangelii. Świat stworzony (czy raczej „subkreowany") przez Tolkiena, pełen chrześcijańskich toposów, symboli i archetypów, może być tego rodzaju przygotowaniem w dwójnasób. Z jednej strony, jak niejednokrotnie podkreślał sam autor, jest to de facto nasz własny świat w okresie „historycznym" niekoniecznie pokrywającym się z naszym wyobrażeniem na temat chronologii dziejów. Jest to jednak, podobnie jak w eposach Homera i Wergiliusza, świat przedchrześcijański, cały czas czekający na swego Odkupiciela.

Cnotliwymi poganami byłyby w nim zatem te postaci, które biorąc czynny udział w walce z Władcą Ciemności, w sposób anachroniczny w pewnej mierze upodabniają się do Chrystusa (Frodo, Aragorn, Gandalf) czy Szymona z Cyreny (Sam). Z drugiej strony, przygotowaniem do Ewangelii, tym razem z punktu widzenia dzisiejszego czytelnika, może być właśnie lektura „Władcy Pierścieni", powieści, która w niezwykle subtelny sposób przybliża nas do tak podstawowych prawd wiary jak odkupienie i miłosierdzie.

PRZEMILCZANA KWESTIA WIARY

Poprzednie wystawy dotyczące Tolkiena (a było ich w ostatnich latach niemało) w znacznej mierze koncentrowały się na tym, co namacalne, skwapliwie pomijając kwestię jego duchowości i zaangażowania w życie Kościoła. Dość powiedzieć, że w obszernym katalogu towarzyszącym oksfordzkiej ekspozycji „Tolkien: Maker of Middle-earth" z 2018 r. słowa „Christian" czy „Catholic" pojawiają się zaledwie kilkakrotnie, niemal wyłącznie we wprowadzającym do książki szkicu biograficznym (podobnie było w przypadku samej wystawy). Oczywiście trudno za to winić autorów poszczególnych tekstów. Można by jednakże oczekiwać, że jeszcze na poziomie koncepcyjnym, nie oglądając się na współcześnie panujące trendy, organizatorzy w większym stopniu wezmą pod uwagę to, co w życiu pisarza było faktycznie najważniejsze.

Wyraźnym wyłomem w dotychczasowych praktykach wystawienniczych był, w 2021 r., pokaz w ramach festiwalu Meeting Rimini. Łącząc elementy multimedialne z tradycyjną prezentacją eksponatów, ekspozycja „The Tree of Tales. Tolkien e la polifonia della creazione" (jak również towarzysząca jej publikacja książkowa) opowiedziała historię życia Tolkiena w zwięzłej, acz niejednowymiarowej formie, bynajmniej nie uciekając od kwestii wiary pisarza, a nawet wielokrotnie podkreślając chrześcijańskie podłoże jego wyobraźni. Mimo panujących wówczas restrykcji covidowych wystawę zwiedzić mogło nawet kilkadziesiąt tysięcy osób, aczkolwiek z punktu widzenia czytelników niemieszkających na co dzień w Italii wystawa przeszła niemalże bez echa.

WŁOSKI FENOMEN TOLKIENA

W pewnej mierze kontynuacją tego pokazu jest monumentalna ekspozycja „Tolkien. Uomo, Professore, Autore". Można ją było już zobaczyć w Rzymie i Neapolu. Do 16 lutego udostępniono ją zaś zwiedzającym turyński pałac Reggia di Venaria Reale. Odbywa się ona pod patronatem włoskiego Ministerstwa Kultury oraz przy osobistym zaangażowaniu premier Giorgii Meloni, która niejednokrotnie dała wyraz fascynacji pisarstwem Tolkiena. Jak twierdzi, będąc jeszcze nastolatką, brała udział w spotkaniach miłośników pisarza, przebierając się za hobbita i śpiewając inspirowane twórczością Tolkiena piosenki. 15 października 2023 r., kiedy to w towarzystwie kuratorów dokonała uroczystego otwarcia wystawy w rzymskim Muzeum Sztuki Współczesnej, premier Włoch nie zdecydowała się na modową ekstrawagancję rodem ze Śródziemia, ale z publikowanych w mediach fotografii widać, że bliski kontakt z prezentowanymi na wystawie obiektami sprawił jej dziecięcą niemal radość.

eprasa.pl 3bd2b0f672

Wystawa w turyńskim pałacu Reggia di Venaria Reale jest dowodem na niegasnącą popularność oksfordzkiego profesora FOT. ANDREA GUERMANI

Same eksponaty podzielić by można na kilka kategorii. Część z nich, będąca bez wątpienia trzonem wystawy, stanowiła niegdyś własność pisarza lub jego najbliższej rodziny. Należą do nich m.in. oryginalne zdjęcia, z których najstarsze, pochodzące z przełomu wieków XIX i XX, dokumentują dzieciństwo Tolkiena. Wydawać by się zatem mogło, że właśnie te najstarsze fotografie stanowić będą jedną z największych atrakcji wystawy, ale pod względem zainteresowania prawdopodobnie przebiły je pokazane po raz pierwszy publicznie zdjęcia wykonane przez samego pisarza i jego córkę Priscillę w trakcie ich pobytu we Włoszech w sierpniu 1955 r. Fotografie te są nie najlepszej jakości, często niewyraźne i prześwietlone, ale dla Włochów mają ogromną wartość historyczną, tym bardziej że Tolkien niejednokrotnie w entuzjastyczny sposób wypowiadał się na temat Italii, zapisując np. w prowadzonym na okoliczność podróży diariuszu, że w Asyżu, gdzie spędził blisko tydzień, czuł się niemal jak w domu.

Międzynarodową sławę zdobył on jednak jako pisarz, a zatem to jego twórczość literacka powinna stanowić fundament każdej poświęconej mu wystawy. Z tym niestety jest od zawsze spory kłopot. Większość rękopisów i maszynopisów Tolkiena przechowywana jest w bibliotece Uniwersytetu Marquette, pozostałe zaś znajdują się w Oksfordzie. Ponieważ instytucje te nie są skore do udostępniania swoich cennych zbiorów innym podmiotom, to przede wszystkim tam oglądać dziś można gros materiałów związanych z „Władcą Pierścieni" oraz konspekty wykładów profesora Tolkiena. Na szczęście sporo tolkienianów znajduje się w rękach prywatnych kolekcjonerów, w tym także zapalonych zbieraczy z Włoch, którzy zgodzili się udostępnić je na okoliczność organizowanej w ich kraju wystawy. Są to przede wszystkim listy Tolkiena oraz nieduża część jego rozproszonego dziś księgozbioru, jak również niezwykle rzadkie pierwsze wydania jego dzieł. Część eksponatów wypożyczona została też przez instytucje dysponujące czasem tylko kilkoma obiektami związanymi z osobą pisarza.

Brak najważniejszych rękopisów i maszynopisów w pewnej mierze rekompensuje zwiedzającym ogromna, licząca kilkaset pozycji kolekcja najważniejszych dzieł Tolkiena w kilkudziesięciu językach (wśród nich bez trudu wypatrzyć można polskie wydania „Hobbita" i „Władcy Pierścieni"). Jest to dowód na olbrzymią i, mimo upływu lat, niegasnącą popularność twórczości oksfordzkiego profesora. Niejako kontrapunktem dla takiej recepcji dzieł Tolkiena jest pokazany na wystawie, z dzisiejszej perspektywy zabawny list z 1955 r., w którym redaktor oficyny Arnoldo Mondadori Editore z żalem zawiadamia angielskiego wydawcę Tolkiena, firmę George Allen & Unwin, iż w jego ocenie „Władca Pierścieni" ma raczej niewielkie szanse, by zdobyć serca włoskich czytelników. Być może na ocenie redaktora zaważyło to, że zapoznał się z treścią jedynie dwóch pierwszych tomów powieści. Tak czy inaczej, w ten właśnie sposób, stracili Włosi okazję dokonania pionierskiego przekładu jednej z najważniejszych książek XX stulecia (wyprzedzili ich pod tym względem w 1957 r. Holendrzy; tłumaczenie Marii Skibniewskiej, jako trzecie na świecie, ukazało się w latach 1961–1963). Niewielkim być może pocieszeniem dla mieszkańców Italii może być to, że finalnie zajęli miejsce „tuż za podium" (1967–1970), wyprzedzając m.in. Niemców i Francuzów.

WIARA TOLKIENA NA NOWO ODKRYTA

A jak do katolicyzmu pisarza podeszli kuratorzy włoskiej wystawy? Odpowiedź jest bardziej złożona, niż mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać. Z jednej strony widać wyraźnie, że w Italii nie jest to z pewnością temat tabu. Fakt przynależności Tolkiena do Kościoła rzymskiego jest nie tylko wielokrotnie podkreślany, lecz także stanowi wyczuwalny punkt odniesienia dla jego pisarstwa i postawy życiowej. Dzięki temu, szczególnie w pierwszej części ekspozycji, na pierwszy plan wybijają się jego relacje ze wspomnianym już o. Francisem Xavierem Morganem czy C.S. Lewisem, chrześcijańskim apologetą i równocześnie przyjacielem z grupy tzw. Inklingów. Aby przybliżyć zwiedzającym czasy, w jakich przyszło żyć katolickiemu pisarzowi, a szczególnie pierwsze lata XX w., organizatorzy zdecydowali się pokazać również olbrzymi wpływ matki Tolkiena, która, mimo ciężkiej choroby i ostracyzmu niekatolickiej części rodziny, nie tylko zajmowała się edukacją synów, lecz także w początkowej fazie podjęła się trudu formacji swoich dzieci w duchu nauczania kard. Newmana.

Z drugiej strony, informacje na temat katolicyzmu Tolkiena, jego wiary oraz praktyk religijnych, trudno uznać za wiodący element włoskiej wystawy. Można raczej odnieść wrażenie, iż podobnie jak w przypadku twórczości pisarza, także tutaj pierwiastek religijny został niejako wchłonięty przez historię, którą zechcieli się z nami podzielić kuratorzy. Jest to zatem historia niezwykle barwna i ciekawa, a przy tym, podobnie jak największe dzieło Tolkiena, „fundamentalnie religijna i katolicka". Przy czym należy pamiętać, iż podobnie jak w przypadku każdego budynku, fundament zwykle znajduje się poza zasięgiem naszego wzroku, co jednak wcale nie oznacza jego nieobecności. To właśnie on zapewnia równomiernie rozłożenie ciężaru budynku oraz przeciwdziała osiadaniu konstrukcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jestem pracownikiem Instytutu Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego.

Wystawa „Tolkien. Uomo, Professore, Autore" w turyńskim pałacu Reggia di Venaria Reale czynna do 16 lutego 2025 r.

eprasa.pl 3bd2b0f672

„Czechowicz. 20 i 2", czyli tragikomiczny dramat muzyczny

FOT. TEATR IM. J. OSTERWY W LUBLINIE

Czechowicz odzyskany

Grzegorz Kondrasiuk

Znakomite sekwencje filmowe najpełniej oddają zwodniczą moc wyobraźni poetyckiej, pokazują równoległą przestrzeń, w której tytułowy bohater przebywał i która uniemożliwiała mu normalne życie

Ten dziwny, nieobecny Józef Czechowicz… Nie doczekaliśmy się dotąd w filmie wyrazistego Czechowicza. Nie korzystają z niego w reminiscencjach ani beletrystyka, ani literatura faktu, nie powstała popularna, dobra biografia poety. Błąka się gdzieś po marginesach lektur polonistycznych, przynależny do awangardy. No i kult jego – uprawiany w ciekawych, dalekich od brązownictwa formach – wciąż dobrze się ma w rodzinnym Lublinie. Do tego prawie zupełnie nieobecny był i w teatrze, i w filmie.

Użyłem czasu przeszłego, ponieważ Teatr im. Osterwy właśnie dokonał w tej kwestii znaczącej zmiany. Spektakl „Czechowicz. 20 i 2", według scenariusza Jarosława Cymermana i Marcina Wrońskiego i w reżyserii Łukasza Witt-Michałowskiego, jest jednak czymś więcej niż sceniczną biografią. Opatrzony tytułem „tragikomiczny dramat muzyczny" proponuje ryzykowną formułę, mieszając fantazje biograficzne z teatrem spoglądającym w stronę musicalu. Ryzyko się opłaciło – teatr odzyskał zapomnianego poetę. Aż zacząłem sobie wyobrażać, że po tego dziwaka i jego powikłaną biografię – a przy okazji i świetną poezję – mogłaby z sukcesem sięgnąć któraś z dużych serialowych platform cyfrowych.

W spektaklu na próżno szukać tych najbardziej znanych, rustykalnych kawałków związanych z miejscem urodzenia. A przecież jesteśmy w Lublinie, który „nad łąką przysiadł", bo „sam był, i cisza", gdzie „na wieży furgotał blaszany kogucik – na drugiej zegar nucił"… Sam scenariusz i użyte w nim wiersze do prostych nie należą, nie unikają brutalności i kontrowersji. Jeśli już jakieś frazy patronują temu przedsięwzięciu, to jest to linia z „autoportretu" „stanąłem na ziemi w Lublinie / tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga" oraz ta obecna w tytule, „liczę 22 piętra…". Punktem wyjścia stały się młodzieńcze pomysły literackie krążące wokół „Henryka", czyli obsesji na punkcie swojego tajemniczego sobowtóra, który mignął poecie gdzieś na ulicy. Ten właśnie Henryk został wywołany na scenę jako ciemna, niechciana, zazdrosna, sarkastyczna, ulegająca żądzom strona osobowości – która przejęła kontrolę.

Rzecz jest zatem o artyście, a może po prostu o skomplikowanym wewnętrznie człowieku, o meandrach jego psychiki, wreszcie – o rozpadzie osobowości. Jego ogromna, oryginalna wyobraźnia była zarazem siłą tworzącą i destrukcyjną, co reżyser oddał, powołując świat na pograniczu realnego i wyobrażonego. Za to obaj dramatopisarze ulegli pokusom psychoanalizowania twórcy, poszli tropem jego relacji z rodzicami i rodzeństwem czy trudności w nawiązywaniu związków.

Osobliwy to zatem wybór tematu i materiału na spektakl z piosenkami. To przedsięwzięcie miało sporo szans, aby nie wypalić. Stało się inaczej. Zaskakująco świetnie sprawdzają się na scenie wiersze – medium piosenki otworzyło je i uczytelniło. Kompozycje Piotra Bańki są nieźle zaśpiewane przez aktorów teatru i przez specjalnie do spektaklu zgromadzony, wieloosobowy chór. Nie brakuje też tu inscenizacyjnych atrakcji i niespodzianek, zmian akcji i nastrojów. Przewija się plejada rzeczywistych postaci międzywojennego Lublina, historia przenika się z dzisiaj, salon fryzjerski ze szpitalem psychiatrycznym (gdzie trafił ojciec artysty), a potem z „kliniką lalek" z wiersza i bajkowymi wizjami jak z Tima Burtona. Jednak spektakl spoczywa głównie na barkach Wojtka Rusina, w podwójnej roli Józefa/Henryka. Całość prowadzą jego niespokojna energia i szydercza ekspresja. Rusin potrafi być i groteskowy, i delikatny. Postać Henryka w czerwonym garniturze, jeszcze jedna emanacja Jokera, jest skontrastowana z wrażliwą osobowością i talentem artysty. Ten zagadkowy, nieobecny facet w przekrzywionym krawacie – komuś się w końcu udało ukazać Czechowicza bez popadania w klisze. A Henryk-konferansjer-doppelgänger – no cóż, dużo gada i robi wokół siebie zamieszanie, ale to tylko efektowna figura narracyjna…

Najmocniejsze sekundy spektaklu należą – nie jest to zresztą komplement dla twórców teatralnych – do medium filmowego. Znakomite sekwencje filmowe najpełniej oddają zwodniczą moc wyobraźni poetyckiej, pokazują równoległą przestrzeń, w której Czechowicz przebywał i która uniemożliwiała mu normalne życie. Jednak dobra poezja wymyka się prostym odpowiedziom. W finale Henryk okazuje się najmniej ciekawy, a dwoistość rozpada się na znacznie więcej aspektów, być może i na 22. ©℗

TEATR IM. J. OSTERWY W LUBLINIE
JAROSŁAW CYMERMAN, MARCIN WROŃSKI, „CZECHOWICZ. 20 I 2"
REŻYSERIA: ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI
MUZYKA: PIOTR BAŃKA
WIDEO: GRZEGORZ FILIPIAK
PREMIERA: 30 GRUDNIA 2024 R.

eprasa.pl 3bd2b0f672

Maciej Pieczyński

Dzieci lichych przemian

Serial kryminalny „Lichije" opowiada o „lichych latach 90."
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W Rosji zapanowała moda na lata 90. Ta epoka jest dziś wspominana – i przedstawiana we wciągających serialach kryminalnych – jako czas krwawego chaosu, gdy krajem rządziły gangi, a państwo jeszcze nie było w stanie zaprowadzić porządku. Renesans tej tematyki w popkulturze nie jest przypadkowy

Tajga w Kraju Chabarowskim, na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Rok 1991. Pszczelarz i myśliwy Pawieł Lichowcew uczy swojego syna Żenię, jak obchodzić się z pszczołami: „Spokojnie, one czują strach. Jak uciekniesz, to użądlą". Ta nauka „odwagi" przyda się w niedalekiej przyszłości. Rozpada się Związek Sowiecki, szaleje kryzys gospodarczy, a rodzina Lichowcewów ledwo wiąże koniec z końcem.

Ze swojej zapadłej wsi przenoszą się do Chabarowska, gdzie przyjaciel Jura załatwił Pawłowi dobrze płatną pracę – kierowcy, a potem zawodowego mordercy. Ojciec i syn Lichowcewowie wspólnie polowali na niedźwiedzie, a teraz wspólnie polują na ludzi. Dwunastoletni Żenia pomaga ojcu likwidować wrogów chabarowskiej mafii. Cierpi z powodu wyrzutów sumienia. Przyjmuje prawosławny chrzest, bo usłyszał, że tylko tak może zmyć swoje grzechy. W końcu jednak staje się niemal tak samo doskonałym zabójcą jak ojciec. I podobnie jak w przypadku ojca za gangsterską „karierę" w przyszłości płaci rozpadem rodziny.

Dorosły Żenia już w czasach nam współczesnych wychodzi z więzienia i porywa własnego syna, żeby go zmusić do kontynuacji „rodzinnej tradycji". Tak wygląda w skrócie fabuła serialu kryminalnego „Lichije" w reżyserii Jurija Bykowa. Tytuł odsyła do nazwiska głównych bohaterów, które z kolei symbolicznie nawiązuje do czasów, o których opowiada serial. „Lichije diewianostyje", czyli po rosyjsku „liche lata dziewięćdziesiąte", to popularne w Rosji określenie epoki, z którą kojarzą się dziś głównie kryzys gospodarczy, chaos, pseudodemokracja, pseudokapitalizm i rozkwit bandytyzmu.

SYBERYJSKI „OJCIEC CHRZESTNY"

Serial oparty jest na faktach. Prototyp Żeni, Jewgienij Diomin, jest już po odsiadce i w mediach otwarcie wspomina o przeszłości nastoletniego kilera. W podcaście znanej dziennikarki Kseni Sobczak opowiadał o tym, w jaki sposób ojciec namawiał go do zabijania. Dwunastolatek usłyszał, że muszą razem zrobić coś bardzo złego, żeby pomóc rodzinie. – Nie mieliśmy co jeść. Miałem wielką motywację i zero wątpliwości – twierdzi Diomin. I zapewnia, że jego ojciec był absolutnie normalnym człowiekiem.

Myśliwy pozostał myśliwym, bezwzględnym, twardym i zdecydowanym na wszystko, surowym wobec najbliższych. Zmienił się tylko gatunek zwierzyny. Zarówno w serialu, jak i w rzeczywistości ojciec i syn – zawodowi zabójcy – należeli do gangu Obszczak (ros. zrzutka). Było to największe terytorialnie imperium mafijne świata. Pod jego kontrolą znajdował się cały rosyjski Daleki Wschód, czyli ok. 4 mln km kw. (dla porównania: powierzchnia Polski to niecałe 323 tys. km kw.).

Na czele gangu stał Dżem (w tej roli świetny Artur Iwanow), który miał ambicje być prawdziwym ojcem chrzestnym. Nie tylko ściągał haracze i zlecał morderstwa, lecz także przyjmował interesantów – zwykłych mieszkańców, którym pomagał (nie za darmo oczywiście). Był filantropem, biznesmenem, pozował na regionalnego „ojca narodu". Skutecznie zresztą – nazywano go „Batią", czyli „Ojczulkiem". Daleki Wschód to od pokoleń ojczyzna byłych „zeków" (więźniów), więc popularność Dżema nie mogła dziwić. Syberyjski „ojciec chrzestny" założył nawet fundację pomocy „zekom". W jednej ze scen serialu z dumą opowiada o tej inicjatywie, występując wspólnie z władzami miasta i cytując Fiodora Dostojewskiego: „Dopiero na katordze poznałem siebie i Boga". Gwoli przypomnienia – autor „Zbrodni i kary" trafił za działalność socjalistyczną na Syberię, tam zaś zafascynował się przestępcami kryminalnymi i ta fascynacja uczyniła zeń pisarza chrześcijańskiego. To wiele mówi o korzeniach rosyjskiego konserwatyzmu.

„Lichije" to kolejny przykład zauważalnej od mniej więcej dwóch lat w Rosji mody na przełom lat 80. i 90. Wyemitowany w listopadzie 2024 r. serial ma mroczny, pesymistyczny, hiperrealistyczny klimat. Wciąż jednak niedoścignionym ideałem w tej kategorii jest wyemitowane równo rok wcześniej „Słowo pacana. Krew na asfalcie". Serial Żory Kryżownikowa opowiadał o młodzieżowych gangach grasujących w Kazaniu w okresie pierestrojki. Obraz apolityczny, ale przedstawiał świat, w którym jedyną moralnością jest nieograniczone prawo silniejszego do poniżania

eprasa.pl 3bd2b0f672

słabych, dlatego zdaniem części komentatorów niechcący opisywał ponadczasowe realia Rosji i sposób myślenia Rosjan o sobie i innych narodach.

Kolejnym popularnym serialem kryminalnym o epoce, który pojawił się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, są „Dzieci przemian" (ros. „Dieti pieriemien"). To opowieść o trzech młodych chłopakach: jeden uczy się w szkole, drugi jest młodym artystą, trzeci – gangsterem. Widać jednak, że jedynym pomysłem twórców było „nakręcić serial o latach 90. i powtórzyć sukces »Słowa pacana«", a w efekcie wyszło sztucznie, nieprzekonująco i nudnawo.

Moda na epokę przejawia się głównie w zainteresowaniu światem ówczesnych gangsterów, ale nie tylko. Jest także słyszalna w trendach muzycznych. Lata 2023–2024 w kulturze masowej przeszły pod znakiem nostalgii. Według danych rosyjskiego serwisu streamingowego Yandex Muzyka średnio cztero- lub nawet pięciokrotnie częściej niż wcześniej odtwarzane są przeboje lat 80. i 90. Na szczycie popularności znalazły się takie zespoły jak Łaskowyj Maj, Miraż czy Kombinacja. W ciągu trzech miesięcy utwór „Siedaja nocz" zespołu Łaskowyj Maj był odtwarzany 23 razy częściej niż wcześniej, „Nowyj gieroj" Kombinacji – 17 razy częściej. Obie piosenki znalazły się na ścieżce dźwiękowej „Słowa pacana". A o wspomnianym zespole Kombinacja powstał też serial pod taką właśnie nazwą. Akcja, zgodnie z faktami, rozgrywa się pod koniec lat 80. Aleksandr Szyszkin, romantyk i marzyciel z natury, zwalnia się z nielubianej pracy w milicji i zakłada zespół muzyczny – pierwszy w dziejach ZSRS popowy girlsband. Również w tym serialu pojawiają się bandyci – od kogo, jak nie od nich, Szyszkin może pożyczyć pieniądze, żeby zorganizować trasę koncertową w Stanach Zjednoczonych?

MNÓSTWO BRONI I ZŁOŚCI

„Liche lata 90." bywały przedmiotem ożywionego zainteresowania rosyjskiej kultury popularnej już wcześniej. Nie sposób nie wspomnieć o kultowych filmach „Brat" (1997) i „Brat 2" (2000) Aleksieja Bałabanowa czy o świetnym serialu „Brygada" (2002) Aleksieja Sidorowa. W obu przypadkach mamy jednak do czynienia w dużej mierze z romantyzacją bandytyzmu, obrazem szlachetnych gangsterów. Możliwe, że gdy kręcono te dzieła, wspomnienie koszmaru lat 90. było zbyt świeże, aby ten koszmar pokazywać widzom bez koloryzowania. Rosjanie woleli obejrzeć bajkę niż dokument. W latach 20. XXI w. czasu minęło już jednak wystarczająco, by Kryżownikow czy Bykow mogli odtworzyć epokę w całej jej brutalnej okazałości. Tamte czasy interpretowane były i są często w sposób upolityczniony. Albo jako „jelcynowska smuta", chaos, który szczęśliwie przezwyciężył Putin, zaprowadzając porządek. Albo jako czasy niedoskonałej, ale jednak wolności, którą niestety zdławił Putin. Tę pierwszą wersję prezentuje w serialu Bykowa młody i ambitny oficer FSB Igor Karmazow.

Deklarując walkę z mafią Dżema, wygłasza przemowę, którą można potraktować jako manifest putinizmu: „Z tym bardakiem trzeba skończyć. Nie tylko tutaj, ale w całym kraju. Ja oczywiście rozumiem: demokracja, kapitalizm, to wszystko jest potrzebne. Ale to (co dzieje się w Rosji) to nie jest ani demokracja, ani kapitalizm, tylko jedno wielkie bezprawie […]. Odzyskamy nasz kraj. Jest nas mało, mamy związane ręce, ale potrafimy czekać. I potrafimy pracować". I rzeczywiście, bandy (nie tylko serialowe, lecz także prawdziwe) w XXI w. przestały grasować na ulicach. Czekiści jednak nie tyle pokonali gangsterów, ile ich zwerbowali, oswoili. Ale też nie wszystkich. Trzydzieści lat po tym, jak obiecał rozprawę z mafią, serialowy Karmazow znów musi ścigać Lichowcewa. I zwracać się o pomoc do odsiadującego wyrok mafiosa Tunguza, który ostrzega: w kraju jest mnóstwo broni i złości, co oznacza, że nowy wybuch przemocy jest nieunikniony.

To jedno zdanie jest bodaj najważniejsze w całym serialu. Możliwe zatem, że moda na bandyckie lata 90. wynika z przeczucia nadciągającej katastrofy. Nie chodzi o mityczny rozpad Rosji, ale o perspektywę rozkwitu przestępczości. Powracający z frontu weterani, często byli więźniowie, swoje traumy mogą kanalizować na ulicach rosyjskich miast. Podobnie było po wojnach w Afganistanie i Czeczenii, choć wtedy frustrację potęgowała klęska w wojnie. Państwo oswoiło bandytyzm, ten jednak może jeszcze podnieść głowę, bo zamiłowanie do przemocy jest na Wschodzie immanentnym elementem mentalności.

Trudno nie wiązać renesansu popularności „lichych lat 90." z wojną, skoro seriale podbiły publikę po jej wybuchu (często również były kręcone już po 24 lutego). Inspiracją niekoniecznie musiały być wyłącznie złe przeczucia twórców, strach przed „nowym 1917 r." (w sensie agresji społecznej, ale nie samej rewolucji – tę trudno prognozować, bo państwo jest silniejsze niż u schyłku caratu). Czas wojny to czas, gdy wybór między siłą a słabością jest ważniejszy niż wybór między dobrem a złem. Podobnie było w „lichych 90.". Wojna z Ukrainą w sposób naturalny przypomina o wojnach gangów. „Specoperacja", jako wielki przełom w życiu Rosjan, mogła też natchnąć twórców do wysnucia opowieści o innym wielkim przełomie. Z chaosu lat 90. zrodził się nowy putinowski porządek. Wojna albo tym porządkiem zachwieje, albo wprowadzi go na wyższy poziom. Dzisiejsze „dzieci przemian" chętnie oglądają seriale o wczorajszych „dzieciach przemian" (a często o sobie samych z tamtych czasów). Co ciekawe, twórcy skupiają się głównie na portretowaniu chaosu, specyfiki epoki. Mniej jest wątków stricte politycznych, a przecież ówczesny przełom oznaczał przejście od komunizmu do pseudokapitalizmu. Dla twórców ważniejsze jest przejście od porządku (sowieckiego) do chaosu (postsowieckiego) i z powrotem, choć raczej w domyśle, do porządku putinowskiego.

Ponadto właśnie w tamtej epoce hartowała się stal dzisiejszej Rosji, rozpoczynały się kariery polityków, powstawały fortuny oligarchów. Lata 90., jak każdy okres przejściowy, pełne też były dramatyzmu, który jest niezbędnym warunkiem wykreowania wciągającej widza historii. A poza wszystkim czasy Gorbaczowa i Jelcyna to politycznie bezpieczny temat. Najważniejszym problemem współczesnych Rosjan jest wojna ze wszystkimi jej konsekwencjami. Jednak dziś w Rosji o „specoperacji" można mówić albo dobrze, albo wcale. Zatem nawet choćby w miarę niezależny artysta, nie chcąc brudzić sobie rąk propagandą, ale też chcąc brać dotacje od rosyjskich władz albo choćby tworzyć w kraju i nie narazić się cenzurze, musi szukać innych ciekawych tematów i znajduje „liche lata 90.". Niebawem jednak pewnie konwencja się wyczerpie, bo każda kolejna kopia „Słowa pacana" będzie coraz bardziej trącić fałszem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Zwierciadło diabła

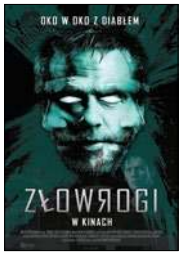

★★★★☆☆

REŻ. CHUCK KONZELMAN I CARY SOLOMON
„ZŁOWROGI" („NERFARIOUS")
USA 2024

wyst. Sean Patrick Flanery, Jordan Belfi

Wielki paradoks: filmy, którymi duża część konserwatywnej publiki pogardza z definicji – bo skoro horror, to bezsensowna przemoc i najtańsza z plebejskich rozrywek – okazują się ostatnim bastionem wiary. Wiary w co? W to, że Bóg istnieje. Dowodzą tego nie wprost, lecz uporczywie przypominając o istnieniu Nieprzyjaciela. No a skoro zło wcielone istnieje i w dodatku ustępuje przed mocą modlitwy oraz egzorcyzmami kapłana, oznacza to, że Siła Wyższa też istnieje. Inaczej i modlitwy, i egzorcyzmy miałyby tyle sensu, co machanie pałeczkami od chińszczyzny, żeby odgonić deszcz.

Film „Złowrogi" dokonuje więc rzeczy oczywistej, a rzadkiej: fuzji horroru z gatunkiem christian movies. To znaczy z jednej strony straszy, a z drugiej okazuje się lustrem, w którym przejrzeć się mogą wierzący. Jego twórcy mają w dorobku takie produkcje jak „Bóg nie umarł" czy „Nieplanowane". Popularne wśród chrześcijańskiej publiczności odrzucającej dziwactwa współczesnego Hollywood były jednocześnie miażdżone przez krytykę jako wątpliwa artystycznie propaganda. „Złowrogi" wymyka się z tej pułapki, bo można tę opowieść o opętaniu oglądać po prostu jako psychologiczny thriller, kolejną historię o wyjątkowo przebiegłym mordercy, który każdemu namiesza w głowie – nawet psychiatrze, który przyszedł go zbadać przed egzekucją.

Nie jest to film tak dobry, jak uważają jego bezkrytyczni apologeci, i nie tak oryginalny, jak myślą niektórzy, bo trzymających w napięciu filmów o opętaniu trochę już widzieliśmy (a ile opowiadań i powieści czytaliśmy), niemniej jest godny uwagi i nieźle nakręcony. Przypomniał mi trochę niektóre krótkie prozy Grahama Greene'a, a trochę zapomniane genialne opowiadanie Marka S. Huberatha „Kara większa". Twórcy natomiast powołują się na inspirację rozważaniami C.S. Lewisa. Im mniej o „Złowrogim" wiecie przed obejrzeniem, tym lepiej, niemniej odnotować chciałbym ciekawy chwyt zastosowany przez duet Konzelman-Solomon. Szatan jest księciem kłamstw – to wiemy. Ale jak wypadlibyśmy w starciu z jego potęgą, gdyby miał do powiedzenia kilka słów prawdy? Szczególnie wtedy, gdy pogrążeni w zadufaniu i pysze mamy się za bezgrzesznych. Nie bez powodu nieprzyjaciel z innego filmu – „Adwokat diabła" – powtarzał: „Pycha – mój ulubiony grzech". ©℗

GRA TYGODNIA: „DYNASTY WARRIORS: ORIGINS"

★★★★☆☆

Chiny w epoce Trzech Królestw. Drugi wiek naszej ery. Spiski, intrygi, walka o władzę. To już znamy z serii „Dynasty Warriors". Nowością jest brak grywalnych bohaterów (wcześniej niektórzy z nich byli wzorowani na autentycznych postaciach). Zamiast nich dostajemy kreator postaci i sami tworzymy naszego protagonistę. Dynamiczny slasher z elementami taktycznymi dostarcza widowiskowych starć na ogromną skalę. Ale nie tylko o siekanie wrogów chodzi, bo jest i jakaś fabuła. Lepiej bym się w niej odnalazł, grając jakimś ciekawym bohaterem. Postać z kreatora średnio tu pasuje. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Omega Force; Koei Tecmo*

eprasa.pl 3bd2b0f672

Żona dla Nepalczyka

KINO

★★★★☆☆
REŻ. ARUN BATTHARAI, DOROTTYA ZURBÓ
„AGENT SZCZĘŚCIA" („AGENT OF HAPPINESS")
BHUTAN/WĘGRY 2024

PKB jest przereklamowany, pora przejść na GNH, czyli Krajowy Indeks Szczęścia (brutto). Minęło już pół wieku, odkąd wprowadzono go w Bhutanie, i rezultaty są oszałamiające. Współczynnik zadowolenia z życia zbliża się tam do 100 proc. Nad fenomenem krainy, nazywanej ze względu na krajobraz i rozmiary azjatycką Szwajcarią, z pewnością warto się pochylić. Twórcy „Agenta szczęścia" pomysł mieli znakomity. Wybrali się na objazd Królestwa Grzmiącego Smoka w towarzystwie dwóch ankieterów, z woli oświeconego władcy zbierających dane do corocznego bilansu GNH. Każdy mieszkaniec Bhutanu musi odpowiedzieć na 148 pytań podzielonych na dziewięć kategorii. Liczy się wszystko: jakość snu, wykształcenie, posiadanie osła, traktora i odbiornika telewizyjnego. Akcji towarzyszą slogany o duchowej jedności narodu i rozwoju państwa, którego warunkiem jest dobre samopoczucie poddanych. Do miast dotarła już nowoczesność w postaci karaoke i mediów społecznościowych. Większość Bhutańczyków mieszka jednak na wsi, ciężko pracując na miskę ryżu. Paradoksalnie to oni są największymi optymistami. Wystarczy, że krowa się ocieli, by współczynnik satysfakcji osiągnął maksimum.

Nasi dokumentaliści szukają dziury w całym i oczywiście znajdują. W tym ziemskim raju zdarzają się rozwody, alkoholizm, przemoc domowa i najgorsza ze wszystkich: samotność. Bardziej wylewny z ankieterów posiada mieszkanie, samochód i motocykl, ale spuszcza nos na kwintę. Nie może wyjechać za granicę ani nawet znaleźć sobie żony, gdyż będąc z pochodzenia Nepalczykiem, ma ograniczone prawa obywatelskie. Przyszłość mężczyzny, uważającego się za kobietę, czy dziewczyny, której ojciec odszedł w siną dal, też rysuje się w ciemnych barwach. W pionie trzymają ich wiara w wędrówkę dusz (nagrodę za wytrwałość dostaną w następnym wcieleniu) oraz to, że żyją w kraju tak urodziwym. „Agent szczęścia" jest mniej bajkowy niż „Mnich i karabin". Kadry z modlitewnymi chorągiewkami, których łopot słychać aż w krainie zmarłych, są jednak czystą poezją. Zainteresowanych eksploracją Bhutanu ostrzegam: podejście do turystyki mają tam również specyficzne. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

CZERWONA WENUS

cda.pl

Hedy Lamarr miała rozum, urodę i przeciętny talent aktorski. Producenci powierzali więc jej role o charakterze dekoracyjnym. Dwudziestą piątą rocznicę śmierci pierwszej kobiety, która wystąpiła w filmie w stroju Ewy, można uczcić na wesoło: seansem „Towarzysza X". Na tle naiwnej „Ninoczki" z Gretą Garbo ta komedia zieje antykomunizmem. W Moskwie panują terror, złodziejstwo, donosicielstwo i alkoholizm. Za kołnierz nie wylewa też główny bohater, reporter z Ameryki, który wodzi za nos siepaczy Stalina. Przyparty do muru zgadza się uratować z czerwonego piekła ideową tramwajarkę, bo „piękna dziewczyna jest warta tyle, co wagon pełny intelektualistów". Gable jest w swoim żywiole, Lamarr dotrzymuje mu kroku. Rok później taki film już by nie powstał. USA i ZSRS zostaną sojusznikami, a potem podzielą się światem. Czas na powtórkę? ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. KING VIDOR
„TOWARZYSZ X" („COMRADE X")
USA 1940

wyst. Clark Gable, Hedy Lamarr, Felix Bressart

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malowanie światłem

Półwiecze dokonań jednego z najważniejszych warsztatów tworzących witraże i mozaiki, którego właścicielem od 1907 r. aż do śmierci w 1914 r. był Stanisław Gabriel Żeleński, brat Tadeusza Boya-Żeleńskiego, syn kompozytora Władysława Żeleńskiego. Na wystawie „Światłem Malowanie. Witraże i mozaiki z Krakowskiego Zakładu Witrażów S.G. Żeleński (1902–1952)" zgromadzono ponad 100 obiektów – projektów, fotografii archiwalnych i współczesnych fotogramów oraz oczywiście witraży, które nie wymagały demontażu z okien i są w odpowiednim formacie do prezentacji w muzealnej sali.

FOT. MACIEJ WALASZCZYK/MAW

Z zakładem na przestrzeni lat współpracowało ponad 150 autorów. Na wystawie pokazano prace ok. 30 z nich, m.in. Zofii Leśniak, Adama Bunscha, Henryka Uziembły, Stefana W. Matejki. Większość z prezentowanych dzieł nigdy nie była wystawiana. ©℗

GDZIE?
Muzeum Archidiecezji Warszawskiej
KIEDY?
do 13 kwietnia

eprasa.pl 3bd2b0f672

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Singerowski pępek świata

Do „Biblioteki Narodowej", najznakomitszej serii wydawniczej ukazującej się w Polsce, do edycji literackich arcydzieł trafiły utwory Isaaca Bashevisa Singera, pisarza mającego wyjątkowe związki z naszym krajem. Tom „Trzydzieści sześć opowiadań" opracowany został przez Monikę Adamczyk-Garbowską, autorkę m.in. książki „Polska Isaaca Bashevisa Singera: rozstanie i powrót", i Mariusza Lubyka, przygotowującego bibliografię tekstów twórcy „Dworu". Wszystkie znajdujące się tu opowiadania przetłumaczone zostały przez wyżej wymienionych oraz Michała Friedmana z jidysz, co należy podkreślić, gdyż proza Singera przez lata docierała do nas poprzez tłumaczenia jej przekładów na angielski.

A Singera czytać warto z mapą Polski w ręku, do czego zachęcam nie tylko dlatego, że od 20 lat mieszkam w mazowieckiej wiosce, niemal rzut beretem od Leoncina, gdzie Singer przyszedł na świat, prawdopodobnie w roku 1903. Dziś ma tam swoją ulicę i upamiętniający go obelisk, ale jest faktem, że pisarz znał tę wieś głównie z opowiadań rodzinnych, sam był bowiem jeszcze małym dzieckiem, gdy familia Zyngerów (w polskiej transkrypcji tak się powinno zapisywać jego nazwisko; Singer wziął się z języka angielskiego i przekładów na inne języki, on sam natomiast swoje pisane w jidysz utwory podpisywał jako Icchok Baszewis, biorąc przydomek od imienia matki) przeprowadziła się do Radzymina, a następnie do Warszawy, na ulicę Krochmalną.

Na tej ulicy właśnie dzieje się wiele z jego opowiadań, z tym że do niektórych opisów tego miejsca podchodzić należy z rezerwą. Na przykład tytułowa bohaterka opowiadania „Praczka" „mieszkała także na Krochmalnej, ale już na Woli". Krochmalna biegła wtedy inaczej niż dzisiaj, ale – zgódźmy się – Marszałkowską nie była i choć opisywana praczka, „malutka gojka, stara, pomarszczona", miała – jak się dowiadujemy – ponad 70 lat, to jednak wątpić należy, by droga z jednego domu do drugiego na tej samej ulicy „z pewnością zajmowała jej półtorej godziny". Podobnie próżno szukać w pobliżu Parczewa miasteczka o nazwie Łapczew, jak i na całej Lubelszczyźnie Laśnika, gdzie toczy się akcja opowiadania „Tajbełe i demon Hurmiza". Ale już kolejne miejscowości, z tzw. linii otwockiej, wymienione są (w opowiadaniu „Elke i Meir") bezbłędnie: „Samochód minął Wawer, wioskę pełną gojów i psów; potem Miedzeszyn, będący dopiero w trakcie budowy, Falenicę, do której przyjeżdżają na lato cadycy, chasydzi i zwykli bogobojni Żydzi. A jeszcze później Michalin, Józefów, Świder, gdzie zbierają się inteligenci: syjoniści, bundyści, komuniści i tacy, którzy nie chcą już mówić po żydowsku, tylko po polsku".

W latach 1917–1921 przyszły noblista (nagrodę przyznano mu w roku 1978) mieszkał w Biłgoraju, rodzinnym mieście matki, a następnie krążył między tym miasteczkiem a Warszawą. Na pewien czas przeniósł się też z rodzicami i młodszym bratem do Starego Dzikowa w powiecie lubaczowskim. Wreszcie w 1935 r. opuścił Polskę – na zawsze. Aby w Ameryce wciąż pisać o świecie, który pozostawił, a który już za kilka lat, po drugiej wojnie światowej i zagładzie jego narodu, przestanie istnieć.

Singerowi nie zawsze urządzano w Polsce festiwale i zachwycano się urodą jego opowiadań. Bywało, że obrażano się na niego nad Wisłą czy Sanem. Cóż, nie tylko Polakom nie podobał się ich wizerunek utrwalony przez Singera – Żydzi też wiele rzeczy mieli mu za złe. Powszechnie za to zgadzano się, że opowiadać umie jak mało kto. A czymże w końcu jest literatura?

„Już tyle lat minęło, odkąd opuściłem Frampol, ale gdy tylko zamknę oczy, jestem tam znowu" – powiada tytułowy bohater jednego z najlepiej znanych opowiadań Singera – „Gimpel Głupek". Krajan owego Gimpla – Aba Szuster, bohater „Małych szewców" – wprawdzie „wiedział o istnieniu dalekich miast i krajów i o tym, że Frampol nie jest niczym więcej na mapie świata niźli kropeczka w małym modlitewniku, lecz jemu zawsze się zdawało, że jego miasteczko to pępek świata, a dom rodzinny to sam środek tego pępka. Niejednokrotnie myślał, że kiedy przyjdzie Mesjasz i wszyscy Żydzi całymi gromadami wyruszą do Ziemi Izraela, on pozostanie we Frampolu. We własnym domku, na własnym wzgórzu. Tyle że w szabat i święta będzie siadał na chmurze i leciał do Jerozolimy…".

Doleciał jednak, jak wielu jego pobratymców, do Nowego Jorku. Tam, gdzie drugą połowę swego życia spędzi również autor „Małych szewców", który i w Ameryce pisać będzie o swoich Frampolach i Biłgorajach, Chełmach, Tyszowcach i o innych sztetlach, a także o wielkiej, jak mu się kiedyś zdawało, Warszawie. A o tej swojej odległej ojczyźnie opowiadał w jedynym języku, w jakim mógł to zrobić – jidysz. Pisał wszak: „Urodziłem się w Polsce, moi dziadowie i pradziadowie od stuleci zamieszkiwali ten kraj, jednak język polski był mi zupełnie obcy, tak jak obecnie hiszpański czy włoski". ©℗

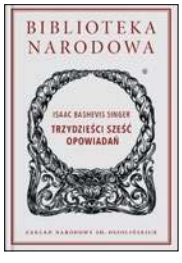

★★★★★☆

ISAAC BASHEVIS SINGER „TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ OPOWIADAŃ" ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH, WROCŁAW 2024

eprasa.pl 3bd2b0f672

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Koniec pewnej epoki

Alik umiera. Atrofia mięśni. W szpitalu powiedzieli, że nic nie da się już zrobić; lepiej, żeby zgasł w domu wśród swoich. I tak się dzieje: w lofcie rosyjskiego malarza emigranta są wraz z nim jego kochani, jego przyjaciele i zwykli znajomi, którzy po prostu dobrze się u niego czują. Na ścianach wiszą obrazy, w papierowych kubeczkach czeka wódka, za oknami gorący sierpień w Nowym Jorku. O duszę konającego walczą pop i rabin; tymczasem Alik chrzcić się nie chce. Jak powiada – woli umrzeć jako bezpartyjny.

Krótka powieść Ludmiły Ulickiej dociera do polskiego czytelnika ponad ćwierć wieku po premierze z 1997 r. Ulicka w tym czasie przeszła długą drogę: od ulubienicy kolorowych moskiewskich magazynów do przeciwniczki reżimu Putina, której książki wyrzucane są w Rosji z bibliotek. Od lat wymienia się ją także w gronie kandydatów do literackiego Nobla.

Świetnie napisane „Wesołe pożegnanie" to barwna opowieść o losie emigrantów, którzy przybyli do Ameryki z charakterystyczną dla europejskiej inteligencji pogardą (miejscowi umieją robić kanapki, ale o kulturze niczego nie wiedzą) i którzy wciąż stoją na rozdrożu. Zdają sobie sprawę z nieodwracalności wielkiej zmiany, a jednocześnie zamiast to zaakceptować, budują wokół siebie podróbkę dawnej ojczyzny. Tymczasem jest rok 1991, wybucha pucz Janajewa. Śmierć Alika staje się metaforą, bo zbiega się ze śmiercią starego świata. A jaki będzie ten nowy? „To już będzie zupełnie inny kraj" – mówi o Rosji jedna z bohaterek powieści. „Co jak co, ale spokoju nie będzie tam nigdy" – odpowiada druga.

Powieść Ulickiej się nie zestarzała, bo to świetna literatura, ale czytając ją dziś, siłą rzeczy zwracamy uwagę na inne znaczenia niż kiedyś. Bogatsi o niemal trzy dekady doświadczeń, pamiętając o otchłani, w którą stoczyła się Rosja, widzieć musimy w przytoczonej wymianie zdań rys tragiczny. Jak wtedy, gdy czytając „Moc truchleje" Głowackiego, docieramy do finałowych słów: „Teraz to już chyba jakoś pójdzie", wiedząc to, czego nie wiedzą bohaterowie powieści: że barwny, wolny sierpień roku 1980 zostanie wkrótce zmiażdżony przez ponury grudzień roku 1981. Klęska puczu Janajewa, któremu marzyła się dyktatura wojskowo-komunistyczna, miała być początkiem nowej drogi. Jak często bywa w historii Rosji, zło nie zostało pokonane – tylko trochę opóźnione. ©℗

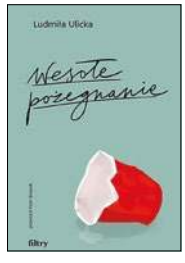

★★★★★☆
LUDMIŁA ULICKA „WESOŁE POŻEGNANIE" WYDAWNICTWO FILTRY 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Znany miłośnik historii i pisarz Jacek Komuda, specjalista od geopolityki Jacek Bartosiak oraz arcymistrz analiz strategicznych Marek Budzisz o porażkach, sukcesach i lekcjach z dziejów Polski sarmackiej. Inspirujące.

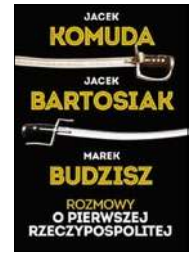

AUTORZY RÓŻNI „ROZMOWY O PIERWSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ" ZONA ZERO

Krótka „biografia pisma, które zmieniło świat", jest w istocie podróżą przez zmieniający się pejzaż amerykańskiej kultury i dziennikarstwa. Rzecz m.in. napisana na podstawie licznych wywiadów z redaktorami pisma.

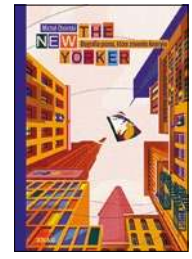

MICHAŁ CHOIŃSKI „THE NEW YORKER" WYDAWNICTWO ZNAK

Fantastyczna opowiastka, napisana przez autora „Hobbita" z myślą o frajdzie dla własnych dzieci, czekała na wydanie do roku 1982. Obecna edycja łączy tekst z oryginalnymi ilustracjami autora powstałymi w latach 30. XX w.

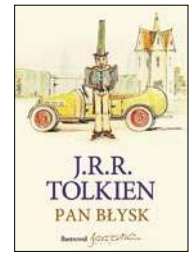

J.R.R. TOLKIEN „PAN BŁYSK" ZYSK I S-KA

Zręczna przeróbka głośnej opowieści Dickensa z prowokacyjną, ale chyba trafną tezą: Czy aby dziś Scrooge'em potrzebującym przypomnienia o tym, co naprawdę ważne, nie jest aby kapłan, który woli sławę od spowiedzi? ©℗

recenzuje Piotr Gociek

KRYSTIAN KRATIUK „OPOWIEŚĆ WIGILIJNA KS. SKRUCKIEGO" WYDAWNICTWO AA

KOMIKS TYGODNIA:
INACZEJ, NIŻ MYŚLISZ

Atmosfera jak z filmów Davida Lyncha, klimat paranoi niczym z powieści Dicka czy Williama S. Burroughsa, no i oczywiście koktajl gatunkowy: historia obyczajowa, thriller spiskowy, fantastyka.
Pierwsza amerykańska powieść graficzna w wydawniczym repertuarze oficyny Mandioca znanej dotąd z wybornych komiksów z hiszpańskiego obszaru językowego. ©℗

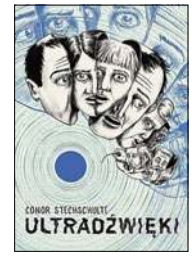

CONOR STECHSCHULTE „ULTRADŹWIĘKI" WYDAWNICTWO MANDIOCA

Piotr Gociek

eprasa.pl 3bd2b0f672

O rusofobii.

Przyczyna i skutek, czyli jak nie stawiać wozu przed koniem

Piotr Semka

Marcin Skalski sugeruje, że Polska powinna pójść po rozum do głowy i przestać myśleć o sobie w kategoriach Zachodu tak, by porzucić próby wpływania na narody leżące między Rosją a Polską. Problem w tym, że byłoby to powtórzeniem myślenia, które doprowadziło do ładu jałtańskiego. Skoro Jałta jest dla Polaków symbolem zdrady Zachodu, to jednocześnie odgrodzenie się Polski od aspiracji wolnościowych Białorusinów i Ukraińców byłoby dla naszych wschodnich sąsiadów taką samą zdradą

Upiorna czaszka ze strasznymi czerwonymi oczyma i paszczą pełną ostrych zębów wyłania się z flagi Federacji Rosyjskiej. Nad niepokojącą ilustracją widnieje tytuł: „Rusofobia – jak sterują strachem Polaków". Ten tekst Marcina Skalskiego z „Do Rzeczy" nr 51/2024 wzbudził moje wątpliwości już choćby samym tytułem. W artykule nie ma wprost wyjaśnienia, kim są według autora owi „oni", którzy rzekomo sterują strachem Polaków. Już to niedomówienie – służące bardzo wyraźnie tezie, że ulegając rusofobii, stajemy się igraszką obcych sił, które niekoniecznie są wyczulone na interes Polski – musi budzić dystans do tez autora. Bo ów tekst ukazuje się na łamach „Do Rzeczy" 17 lat po ostrym konflikcie Rosji z Gruzją, prawie 11 lat po zaborze Krymu i terenów wokół Ługańska i Doniecka i wreszcie – niedługo przed trzecią rocznicą pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę.

„Z KIM ROSJA GRANICZY? Z KIM CHCE"

Tak już w świecie jest, że kraje, które posługują się zbrojną napaścią, wywołują obawy. A jeśli to są bardzo duże państwa – to obawy są tym większe.

Zacznijmy więc od podstawowej kwestii. Co było najpierw: rusofobia czy też uzasadniony lęk przed agresywną praktyką ekipy Władimira Putina? Już samo budowanie osi tekstu na haśle rusofobii sugeruje reakcję irracjonalną, opartą na niewiedzy lub krzywdzących stereotypach. Używanie określenia „homofobia" czy „islamofobia" służy wbudowywaniu w dyskurs tezy (bardzo ułatwiającej sytuację autorowi wywodu) o irracjonalnym charakterze czyichś obaw. Marcin Skalski od razu łączy to z kolejnym bardzo zręcznym przesłaniem. Powołując się na socjologa, prof. Jarosława Załęckiego, i bliżej nieokreślone badania CBOS, stawia tezę, że w Polsce rusofobia jest w naturalny sposób powiązana z mitem Zachodu. I – jak pisze – z badań (znów nie wiadomo których) wynika, że główną zasadą podporządkowującą stosunek Polaków do innych narodów są dwa stereotypy. Pierwszy to stereotyp biednego i zapóźnionego cywilizacyjnie Wschodu oraz drugi stereotyp – bogatego, cywilizowanego Zachodu, który dla wielu Polaków stanowi pozytywną grupę odniesienia.

Nieco dalej Marcin Skalski posiłkuje się kolejną opinią socjologa – tym razem prof. Tomasza Zaryckiego – który ubolewa nad tym, że polskie poczucie wyższości wobec wschodnich sąsiadów łączy się z kompleksami w stosunku do Zachodu.

Wreszcie opinia politologa – prof. Stanisława Zapaśnika – który zauważa, że Rosjanom przypisujemy jako naród negatywnie wartościowane cechy „azjatyckie" i „chłopskie", jednocześnie – znów – pielęgnując swój kompleks wobec Zachodu.

Nienowa to teza, ale bynajmniej wcale nie trafna. Można ją przeczytać w wielu rosyjskich analizach polskiej duszy, która stawia dosyć obraźliwą dla Polaków tezę.

eprasa.pl 3bd2b0f672

fobia.
strachem Polaków

STOSUNKI POLSKO-ROSYJSKIE

FOT. JAN

Polacy w swojej mapie identyfikacji nie tylko jako cywilizacji konkretnego narodu. Inne także definiują się jako część Zachodu – opozycji do Wschodu. Na tej pierwszej widzą z podziwem i kompleksem niższości, na ten drugi – z pogardą, także ze strachem. Pogardą wobec despotyzmu, utożsamianego z despotyzmem, jednocześnie kate-

BY KOLCZ

Polskom odcinać się od wszystkiego, co stanęło pod dach. Z kolei strach przed Wschodem ma konkretne imię, a jest nim rosyjska – prawdziwa naszych kolejnych lęków.

POLSKI KOMPLEKS NIŻSZOŚCI

W 2017 r. socjolog prof. Jarosław Zajicki sformułował następującą diagnozę: „W polskim społeczeństwie wciąż zna-

Na Zachód Polacy spoglądają z podziwem i kompleksem niższości, na Wschód – z pogardą, a także ze strachem

zem pozytywnego wzorca dla tożsamości polskiej – źródłem aspiracji i ocen", a zarazem na być „wyrazem pewnych kompleksów w drodze do osiągnięcia tego wzorca". Będąc stawia też hipotezę, komentując wyniki badań z lat 2004 oraz 2009, że wciąż nie postrzegamy siebie w pełni jako część Zachodu ze względu zarówno na dystans dzielący nas od Europy Zachodniej, jak i na przeszłość odznaczającą się zdominowaniem przez wschodniego sąsiada. Według dr. Wysockiego wybór między Wschodem a Zachodem to z polskiej perspektywy przede wszystkim odniesienie do wartości rosyjskich bądź zachodnioeuropejskich. Podsumowując, bez wątpienia chcemy widzieć się jako uczestnik wspólnoty Zachodu, którego wciąż czujemy częścią. To właśnie Zachodowi, w przeciwieństwie do Wschodu, przypisujemy pozytywne cechy, z którymi chcemy być utożsamiani. W tym też upatrujemy szansy na upragniony dobrobyt i bezpieczeństwo, a co najważniejsze – na prestiż, który w toku dziejowych błędów utraciliśmy jako naród i państwo.

DALEKO OD ZACHODU

W studium nad różnymi odsłonami kultury polskiej zatytułowanym

57

Według niej Polska zawsze będzie ubogim krewnym Zachodu i lepiej by zrobiła, gdyby pogodziła się raczej z opcją wschodnią, czyli uznaniem, że w tym rejonie Europy Rosja jest główną siłą polityczną, moralną, duchową, a nawet religijną. Rosyjscy publicyści wysuwają niedwuznaczną propozycję. Po co wam ten Zachód, który tak naprawdę wami gardzi? Złóżcie ufną głowę na łonie wielkodusznej i wyrozumiałej Rusi. Sowieckie, a później rosyjskie pisma historyczne uwielbiają szkicować stereotyp nieroztropnej i reagującej emocjami Polski, która pcha się na Zachód, zapominając o swoim słowiańskim rodowodzie, który predestynuje ją raczej do szukania bliskich relacji państwowych i emocjonalnych z Rosją.

Tego typu wywody nie chcą brać pod uwagę, że Polska dokonała wyboru cywilizacyjnego ponad 1050 lat temu, przyjmując jako swoją wiarę katolicyzm i zasady łacińskiego prawa i rozumienia swobód obywatelskich. I właśnie ten wybór spowodował różne spojrzenie Polaków i Rosjan na mnóstwo kwestii. Relacji między religią a państwem z zakresu władzy królów – czy nawet takich drobiazgów jak prawne zapewnienie bezpieczeństwa osobistego obywateli. I jeśli w Polsce pojawia się niekiedy rusofobia, to jest to echo tego typu podziałów, które mają za sobą wieleset lat.

I właśnie to zupełnie różne spojrzenie na kwestie ładu państwa, swobody są-

Polska dokonała wyboru cywilizacyjnego ponad 1050 lat temu, przyjmując jako swoją wiarę katolicyzm i zasady łacińskiego prawa i rozumienia swobód obywatelskich

dów czy nienaruszalności praw jednostki wywołuje konflikty, a tereny między Smoleńskiem a Brześciem nad Bugiem są swego rodzaju politycznym pęknięciem tektonicznym, które wywołuje konflikty. Gdy piszę te słowa, przychodzi mi na myśli mój wspaniały nauczyciel historii z gdańskiego liceum – pan Marian Figalski. Po ponad 40 latach jeszcze stoi mi przed oczyma jego postać, gdy na jednej z lekcji historii tłumaczył nam obrazowo tę różnicę, która dzieliła dawną Rzeczpospolitą od Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, a potem imperium Rosji. „Wyobraźcie sobie dwa obrazki. Carski dwór, gdzie urzędnicy dworscy pełzną, szorując brzuchami z głową skłonioną ku podłodze, nie śmiąc spojrzeć w oczy Jedynowładcy. I Polska Jagiellonów, gdzie polski szlachcic skłania głowę przed obliczem władcy, ale nie pada na kolana czy tym bardziej nie przylega do podłogi, za to z szacunkiem, ale prosto w oczy patrzy swemu panu".

Problem w tym, że polskie wzorce zawsze przyciągały część elit ze Wschodu. Dotyczyło to też zresztą Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. W jednym z filmów Sergiusza Eisensteina jest scena, w której car Iwan Groźny się oburza, że zbuntowani Kurscy czy Szeremietiewowie uciekają na teren Rzeczypospolitej przed twardą ręką imperatora. Ta okoliczność, że gdzieś niedaleko było miejsce, do którego można było uciec, zawsze irytowała władców Rosji. Tak samo jak dziś Władimira Putina irytuje, że rosyjscy przeciwnicy jego reżimu mogą wydawać swe pisma w Pradze czy Rydze. Alaksandra Łukaszenkę z kolei denerwuje istnienie ośrodka demokratycznej myśli białoruskiej w Warszawie i Wilnie.

Marcin Skalski sugeruje, że Polska powinna pójść po rozum do głowy i przestać myśleć o sobie w kategoriach Zachodu tak, by porzucić próby wpływania na narody leżące między Rosją a Polską; głównie chodzi – jak się domyślam – o Ukrainę i Białoruś. Problem w tym, że byłoby to powtórzeniem myślenia, które doprowadziło do ładu jałtańskiego. Czyli zgody Zachodu na to, by Europę podzielił żelazny kordon oddający wiele państw wychowanych w kulturze łacińskiej w ręce despotycznej Rosji. Skoro Jałta jest dla Polaków symbolem zdrady Zachodu, to jednocześnie odgrodzenie się Polski od aspiracji wolnościowych Białorusinów i Ukraińców byłoby dla naszych wschodnich sąsiadów taką samą zdradą. A stare przysłowie mówi: nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

ZACHÓD „PARSZYWIEŃKI"

Aspirując do łączności duchowej i cywilizacyjnej z najstarszymi krajami cywilizacji zachodniej, wyczuleni jesteśmy oczywiście na sytuację, gdy Zachód albo odwraca się od nas plecami – tak jak było w Jałcie – albo idzie z Rosją na swoje własne korzystne dla siebie układy kosztem pryncypiów. Długa jest lista polskich urazów – od zaniepokojenia flirtem Anglii z państwem Iwana Groźnego w XVI w. do oburzenia na faktyczne zaakceptowanie miażdżenia powstania listopadowego przez papieża Grzegorza XVI. Całą tę

eprasa.pl 3bd2b0f672

ambiwalencję doskonale nazwał Stefan Kisielewski, który – obserwując epokę odprężenia między Zachodem a Sowietami w latach 70. – ubolewał, że „Zachód stał się parszywieńki". Dziś Polacy, szczególnie po prawej stronie, mają do Zachodu również wiele zastrzeżeń. Przeistaczanie się Unii Europejskiej w superpaństwo o coraz bardziej dyktatorskich nawykach musi niepokoić. To samo dotyczy ideologizacji przestrzeni publicznej w zachodniej Europie w kierunku utopii obyczajowych czy ekonomicznych, takich jak np. Zielony Ład. Ale są to mimo wszystko spory w pewnej dużej rodzinie. O wtapianiu się w „ruski mir" większość Polaków nawet nie myśli. A o tym Marcin Skalski nie pisze.

Skalski banalizuje polską pomoc dla napadniętego przez Putina sąsiada, lekceważąco pisząc, że „wspieranie Ukrainy to kolejna odsłona odgrywania się Polaków na Moskalach". I znów słyszę tę znajomą nutę – działanie Polski jest reaktywne, oparte na dziecięcej chęci dokuczenia Rosjanom, i de facto nie ma żadnych głębszych podstaw geostrategicznych. Stąd już Marcinowi Skalskiemu niedaleko do najbardziej dyskusyjnej tezy. W jego opinii rusofobia jako synonim polskiej tożsamości narodowej uprawomocniła się znacznie później. I powołuje się on na prof. Andrzeja Walickiego, który przekonywał, że „naród polski wkracza w wiek XIX bez wyraźnego wyboru orientacji politycznej i opcji cywilizacyjnej. W obu tych kwestiach opinie warstwy przywódczej i elity intelektualnej pozostały podzielone. Orientacja prorosyjska nie zanikła nawet w okresie wojen napoleońskich; na jej czele stał książę Adam Czartoryski, bliski przyjaciel i zaufany doradca Aleksandra I, minister spraw zagranicznych cesarstwa".

I tu Marcin Skalski ucina, aby przejść do powstania styczniowego. Hola, hola, drogi panie! Mieliśmy jeszcze w międzyczasie eksperyment Królestwa Kongresowego pod berłem carów w latach 1815–1832. Istotnie, to była okazja dla Rosji, aby pokazać, że opcja prorosyjska może stać się zaczynem kompromisu między Polakami a Rosją w obrębie jednej wspólnoty państwowej.

Ale ekscesy Wielkiego Księcia Konstantego, tak obrazowo opisane w dziejach Maurycego Mochnackiego, były właśnie klasycznym przykładem zderzenia się skłonności do despotyzmu księcia z polskim przyzwyczajeniem do zupełnie innego poziomu traktowania praw obywatelskich. To Rosjanie tę okazję zmarnowali i to Rosjanie doprowadzili swoją brutalnością do wywołania kolejnego powstania – zrywu w styczniu 1863 r. A snucie tez, że Królestwo Polskie jako autonomiczny byt w systemie rosyjsko-francuskiego sojuszu mogło wywierać wpływ na politykę europejską, to już daleko idące oderwanie się od rzeczywistości. I znów czytamy, że to Polacy przez swoją rusofobię byli niezdolni do kompromisu. Rozumiem, że rosyjskie działania były zawsze racjonalne i wielkoduszne? A może po stronie rosyjskiej była też polonofobia?

To Rosja niech się leczy z obsesji imperialnych snów. To Rosja niech się zastanowi, w jakim stopniu rządy Putina zamknęły ją w żelaznym uścisku w sojuszu z Chinami

O tym, że nawet bardzo staranne unikanie konspiracji i zrywów zbrojnych nie gwarantowało szanowania tradycyjnych przyzwyczajeń obywateli cesarstwa wychowanych w kulturze łacińskiej, świadczy przykład Wielkiego Księstwa Finlandzkiego. Finowie nie mieli swoich sztyletników, nie wywoływali powstań, a jednak w drugiej połowie XIX w. protestowali przeciwko likwidowaniu tradycyjnych instytucji społecznych pozostawionych po szwedzkim dziedzictwie i w 1917 r. z ulgą od Rosji się wyzwolili.

POLSKIE SZALEŃSTWO?

Przez cały tekst Marcina Skalskiego niczym nitka okrętka przewija się sugestia, że polska polityka wobec Rosji to ciągłe naiwniactwo lub odreagowywanie kompleksów. Autor dość wyraziście formułuje to w zdaniu: „Tylko nad Wisłą można odgrywać rolę »frajera narodów« i do tego się tym szczycić". Jak twierdzi Marcin Skalski, wspieranie Ukrainy to „kolejna odsłona odgrywania się Polaków na Moskalach za to, że ci ostatni lepiej potrafili przez wieki przeprowadzać projekcję siły". I przywołuje opinię byłego ambasadora Polski w Kijowie, dr. Jerzego Kozakiewicza: „Wsparcie, jakiego polskie władze udzielają dla przewrotu politycznego w Kijowie, ideologizowane jest polską rusofobią".

Od siebie Skalski dodaje pytanie: „Dlaczego właściwie obalenie Wiktora Janukowycza leżeć miało w interesie Polski i co na tym zyskaliśmy?". Chętnie na to pytanie odpowiem. Pod rządami Janukowycza Ukraina coraz bardziej przypominałaby Białoruś Alaksandra Łukaszenki. Byłaby – być może – formalnie niepodległa, ale rosyjskie wojsko obsadzałoby strategiczne punkty Ukrainy, a Janukowycz akceptowałby wszystkie prowokacje przeciwko Polsce, które wymyśliłby Kreml. Niewykluczone, że Polskę szturmowaliby podjudzani przez służby specjalne imigranci nie tylko na odcinku granicy polsko-białoruskiej, lecz także na znacznie dłuższej linii granicy polsko-ukraińskiej. Dlatego istnienie niepodległej Ukrainy oddala od nas kontakt z armią rosyjską na ponad 2 tys. km.

Marcin Skalski na koniec pisze: „Przepracowanie traumy związanej z krzywdami doznanymi ze strony Rosji oraz przegraną rywalizacją o prymat w Europie Wschodniej jest warunkiem koniecznym, by Polacy stali się normalnym narodem". No cóż, dziękuję bardzo za taką normalność. Polska ma szanse na mocną niepodległość, właśnie opierając się perswazjom Rosji oraz nie odwracając się plecami do Białorusinów i Ukraińców. To Rosja niech się leczy z obsesji imperialnych snów. To Rosja niech się zastanowi, w jakim stopniu rządy Putina zamknęły ją w żelaznym uścisku w sojuszu z Chinami. Polacy potrafią znacznie rozsądniej myśleć o swojej normalności. A Ukrainie życzę przetrwania jako niezależne państwo. Nawet jeżeli jej polityka potrafi nas drażnić czy irytować.

Ważniejsze jest co innego. O unormowanych relacjach z Rosją można i należy myśleć. Ale najpierw niech Putin przestanie napadać na jednych i grozić innym. Zaczynanie w tej sytuacji refleksji nad wzajemnymi stosunkami, samobiczowanie się za irracjonalną rusofobię – przy odwracaniu wzroku od niedobrych cech Rosji – to droga donikąd.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Wojciech Golonka

Woke już nie popłaca

Największe amerykańskie firmy wycofują się z polityki inkluzywności i dają sygnał światu, że woke się nie opłaca

Jeśli zwycięstwo wyborcze Donalda Trumpa wybiło żałobny dzwon dla dotychczasowej polityki woke Białego Domu, przynajmniej wedle obietnic samego miliardera i oczekiwań jego elektoratu, to ideologia ta była już odczuwalnie w odwrocie jeszcze przed amerykańskimi wyborami, jeśli chodzi o orientację wielkich korporacji i koncernów. Zjawisko to bez wątpienia przyspieszyło po spektakularnej wygranej republikanina, a znaczące firmy i duzi gracze wycofując się po kolei z polityki inkluzywności genderowo-rasowej, dają do zrozumienia, że woke nie popłaca. Zarówno od strony klienteli zdolnej do bijących po kieszeniach bojkotów, jak i – być może przede wszystkim – od strony wydajności pracy oraz jakości usług, podczas gdy kompetencja i pracowitość przestały być głównymi kryteriami zatrudnienia.

Nie oznacza to, że sam wirus woke – jak notorycznie nazywa go najbogatszy człowiek świata Elon Musk, który zresztą wypowiedział mu osobistą wojnę – został pokonany. Warto jednak odnotować początek nowej fazy, w której wielki kapitał za oceanem, w tym nawet mainstreamowe media (przynajmniej częściowo, zważywszy na odpływ odbiorców), stopniowo przestaje być tegoż wirusa zakładnikiem. To siłą rzeczy osłabi jego proliferację, redukując tym samym atmosferę szaleństwa, którą panoszący się w ostatniej dekadzie progresizm narzucał nam w praktycznie wszystkich dziedzinach życia.

DUCH BOLSZEWICKIEGO TERRORU

Pisząc o odwrocie woke w biznesie, poczynię tu siłą rzeczy uproszczenia, które znawcy tematu z powodzeniem mogliby krytykować jako pomieszanie pojęć. Wszak np. polityka inkluzywności w środowisku pracy nie jest jeszcze, jako taka, tożsama z rewolucją woke, a tym bardziej pojęcie równościowych praw pracowniczych. Te rozróżnienia rzeczywiście są ważne i pod tym względem etykietowanie z pozycji konserwatywnych wszelkich przejawów lewicowej polityki społecznej jako woke łatwo podpadałoby pod krytykę, a nawet narażałoby sam konserwatyzm na śmieszność. Niemniej wspomniane uproszczenie, przydatne, owszem, na potrzeby publicystyki, jest zasadne również pojęciowo, byle naświetlić wspólny mianownik je umożliwiający.

Otóż, jeśli rzeczywiście nie jest prosto zdefiniować woke – jest to paradygmat postrzegania systemowego ucisku i niesprawiedliwości w ugruntowanych biologicznie społecznych realiach płciowości oraz w domniemanej społecznej supremacji białej rasy – to już o wiele łatwiej odczuć jego ducha. Jest to duch rewolucyjny, duch już nawet nie tyle samej ideowej walki z rzekomymi społecznymi niesprawiedliwościami, ile duch bolszewickiego terroru względem wszelkich przejawów zbudowanych na porządku naturalnym społeczności, które należy zrównać z ziemią, radykalnie wyplenić, a wszystkich ich adeptów, skoro nie można ich dziś już tak po prostu odesłać do dołów katyńskich, przynajmniej publicznie wyciszyć, zakrzyczeć, zdusić, społecznie ekskomunikować i objąć wieczną infamią, złamać wewnętrznie i zmusić do nieustannego kajania, a jeśli to możliwe, to zamknąć na długo w więzieniu. Za myślozbrodnie, za satyrę, za mowę nienawiści pokroju twierdzeń, że istnieją tylko dwie płcie, co przecież – dosłowne zesłanie do karceru – przytrafia się np. nauczycielom w co bardziej postępowych obszarach globu lub rodzicom niegodzącym się na okaleczenie (fizyczne i psychiczne) swych nieletnich dzieci, zwane eufemistycznie „tranzycją"…

W tym sensie, patrząc z perspektywy dokonań, nie jest nadużyciem postrzeganie programów równościowo-inkluzywnych w świecie wielkich korporacji jako prekursorów rewolucji woke, opartych na zbieżnych założeniach rzekomych niesprawiedliwości natury wszelakiej (społecznych, genderowych, rasowych…), podpieranych tą samą ideologią progresizmu, choć jeszcze bez przemocy werbalnej czy wręcz fizycznej, właściwej fazie po erupcji ruchu Black Live Matters. Zresztą, co jest bardzo wymowne, duch woke stał się a posteriori doskonałym zwornikiem dla tych wszystkich poprzedzających go inkluzywizmów, których apostołowie albo bez problemu dostosowali się do nowej mądrości etapu, stając się jego zagorzałymi rzecznikami, albo – jak np. feministki broniące praw biologicznych kobiet wbrew szaleństwom transpłciowości, okrzyknięte dziś transfobkami na wzór bojkotowanej obecnie twórczyni „Harry'ego Pottera" J.K. Rowling – są na tym etapie poddawani medialnemu ostracyzmowi.

Otóż flirt wielkiego kapitału z paradygmatem inkluzywności rozpoczął się na dobre jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku, wyciszając dotychczasową krytykę wielkich korporacji i ich

eprasa.pl 3bd2b0f672

„wyzysku". Któż jeszcze pamięta czasy, kiedy forum ekonomiczne w Davos było głośno oprotestowywane przez lewicowych aktywistów? Nie chodziło przy tym li tylko o zawieszenie broni, nie chodziło wyłącznie o same wynagrodzenia i prawa pracownicze, nastąpiło bowiem stopniowo pragmatyczne porozumienie w postaci akceptacji i finansowania lewicowego światopoglądu, umożliwiające skądinąd uwłaszczenie się dotychczasowym antykapitalistom i ich organizacjom na wszelkiego rodzaju działaniach, szkoleniach równościowych itp.

W rzeczy samej, akceptacja lewicowego światopoglądu zmaterializowała się w postaci wyznaczanych polityk i programów korporacyjnych, nazywanych w języku angielskim DEI, będącym skrótem od diversity, equity, inclusivity, czyli różnorodność, godziwość i inkluzywność. Ma się rozumieć, ktoś te programy musiał dla poszczególnych firm napisać, a następnie wdrożyć, szkoląc pracowników i kadry celem certyfikacji firm, których odtąd „inkluzywne" pieniądze przestawały już śmierdzieć krytykom, generujące je produkty i usługi zaś otaczał odtąd nimb politycznej poprawności, potwierdzający ich zdatność do konsumpcji na masową skalę. To właśnie te programy wzniosły się w ostatnich latach do poziomu woke tudzież przynajmniej zostały zhakowane przez tegoż wirusa, jeśli nie uznajemy wspomnianej przeze mnie ciągłości ideologicznej, która osobiście wydaje mi się jednak oczywista. I właśnie wówczas polityka tych programów osiągnęła w swym ogóle pewną masę krytyczną doprowadzającą do jej odrzucenia przez klientelę, przez samych pracowników, i możliwe obniżenie wydajności samych firm.

ZAMIESZANIE

Od strony klientów, jeśli, mimo dość silnych reakcji, ogólnie przełykano nachalną coroczną afirmację wielkich korporacji na rzecz tzw. dumy gejowskiej, które to korporacje w czerwcu przywdziewały swe loga w tęczowe barwy, to kroplą przelewającą czarę goryczy okazał się zaawansowany genderyzm w postaci utylitarnej promocji transpłciowości. Najlepszym tego, a zarazem finansowo bolesnym przykładem były piwa wiodącego amerykańskiego konsorcjum browarniczego Anheuser-Busch brands, a w szczególności jego marka Bud Light. Zważywszy na omawiany temat, casus ten jest tu wart szczególnej uwagi. Obejmująca w 2022 r. tekę wiceprezesa do spraw marketingu Alissa Heinerscheid chciała uczynić reklamy Bud Light bardziej „inkluzywnymi" (chodziło prawdopodobnie m.in. o dotarcie do konsumentów preferujących raczej sojowe latte i tym podobne odżywki niż aromaty i skutki warzonego chmielu). W każdym razie w 2023 r. bardziej „inkluzywną reklamą" okazało się wizerunkowe wykorzystanie transpłaciowej influencerki Dylan Mulvaney, której ongiś Joe Biden udzielił wywiadu na temat praw osób transpłciowych.

Społeczeństwo amerykańskie było najwyraźniej na tyle nieinkluzywne, że wykorzystanie do działań promocyjnych wizerunku biologicznego faceta kreującego się po chirurgicznym liftingu na niewiastę spotkało się z bojkotem tradycyjnego browaru, wspieranym przez rozpoznawalnych konserwatywnych polityków i dziennikarzy.

Akcje konsorcjum trwale straciły ponad 10 proc. ich wcześniejszej wartości sprzed wizerunkowego kryzysu. Utracono przeszło 1,5 mld dol. przychodu, nie mówiąc o zagrożonej na rzecz Heinekena pozycji piwnego lidera na amerykańskim rynku. Jak to w takich sytuacjach bywa, władze browaru próbowały wycofać się rakiem przez inkluzywne pole minowe, które same sobie zgotowały, natomiast sukces bojkotu dał Amerykanom do zrozumienia, że w obliczu zbliżających się wyborów prezydenckich szanse na pokonanie samej administracji Joe Bidena, siejącej odgórnie w społeczeństwie rewolucję woke, są jak najbardziej realne.

W rzeczy samej, obok kupowania „świętego spokoju" przez prezesów firm, to departament sprawiedliwości przymuszał w ostatnich latach przedsiębiorców do programów DEI, siejąc także, przede wszystkim, wokeistowskie spustoszenie w podległych sobie instytucjach federalnych. Dość powiedzieć, że za prezydentury Joe Bidena FBI postawiło sobie za priorytet walkę z zagrożeniami „białej supremacji", okazując się jednocześnie niezdolne do prewencji rzeczywistych aktów terroru, czego świadkami byliśmy niestety na początku roku w Nowym Orleanie.

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. ADOBE STOCK

W realiach Stanów Zjednoczonych siła rażenia presji rządu federalnego jest jednak w pewnym stopniu ograniczana na poziomie stanowym w przypadku konserwatywnych gubernatorów, wprowadzających w swych stanach prawo chroniące własną populację przed indoktrynacją rewolucji woke. W 2022 r. Ron DeSantis wprowadził na Florydzie ustawę „Stop Woke", uniemożliwiającą szerzenie krytycznej teorii rasowej w programach edukacyjnych stanu oraz w miejscach pracy. Wprawdzie federalny sąd apelacyjny orzekł w marcu 2024 r., że część ustawy dotycząca miejsc pracy nie odnosi się do prywatnych biznesów, z racji chronionej konstytucyjnie wolności słowa, jednakże w praktyce DeSantis dał firmom na Florydzie solidne alibi do zaprzestania polityki spod znaku DEI. Przewodnicząca South Florida People of Color, organizacji odpowiedzialnej za szkolenia DEI dla firm, organizacji i uczelni, użalała się ostatnio na łamach „Miami Herald", że jej osobiste przychody z ok. 300 tys. dol. rocznie spadły aż o połowę (na woke można jednak zarobić, wciąż, krocie), dotychczasowe zainteresowanie polityką DEI ze strony firm zaś było po prostu częściowo czysto utylitarne, a nie ideowe.

Niezależnie od tego, czy ideologiczne zaangażowanie firm jest udawane czy nie, prawdą jest, że przy okazji wygranej Donalda Trumpa ukazały się interesujące zestawienia podmiotów gospodarczych w USA, które w 2024 r. zaprzestały swych programów DEI. Są wśród nich: American Airlines, Boeing, Black & Decker, Ford, Harley Davidson, Jack Daniels, Nissan, Toyota, Walmart, by wymienić marki powszechnie rozpoznawalne. Z kolei cyfrowi giganci pokroju Mety (dawniej Facebook) czy Google już w 2023 r. obcięli budżet własnych programów DEI aż o 90 proc. Podobny trend widać na uczelniach w stanach, które na wzór Florydy zagroziły odcięciem funduszy uczelniom praktykującym w kwestii zatrudnienia bądź rekrutacji dyskryminację rasową pod hasłem rasowej różnorodności – chodzi o Alabamę, Iowa, Utah, Teksas, Kansas i Idaho, choć w grę wchodzą także uczelnie z innych stanów.

Ogólnie rzecz biorąc, w tej kwestii panują jednak pewne zamieszanie i dwuznaczność komunikatów związane w dużej mierze właśnie z kwestiami wizerunkowymi i wynikającymi zeń konsekwencjami finansowymi. Sporo firm, które wdrożyły własne programy DEI na fali emocji społecznych związanych z ruchem Black Live Matters po śmierci George'a Floyda w 2020 r., aby nie spotkać się z zarzutami o systemowy rasizm, stoi obecnie w rozkroku między wzrostową presją polityczną środowisk konserwatywnych a niewygasłą zupełnie nagonką zwolenników szaleństw progresizmu. W każdym razie w 2024 r. na 500 największych firm amerykańskich z rankingu Fortune 485 wciąż przejawiało w swej komunikacji i raportach rocznych priorytety spod znaku DEI.

Cyfrowi giganci pokroju Mety czy Google już w 2023 r. obcięli budżet własnych programów DEI aż o 90 proc.

Nie ma jednak wątpliwości, że hasła zarzucone w ostatnim czasie przez Elona Muska co do filozofii biznesu mają posłuch w środowisku przedsiębiorców, w tym w Dolinie Krzemowej, gdzie ma on niemało sprzymierzeńców: skupienie się, od strony dostawców, na zapewnieniu usług najlepszej jakości, bez wdawania się w światopoglądową propagandę, z kolei od strony samej pracy – powrót do sprawdzonego w amerykańskiej historii (i nie tylko amerykańskiej) modelu merytokracji, czyli premiowania kompetencji i pracowitości.

LEKCJA DLA POLSKI

Wiarygodnym probierzem zmian, a zarazem precyzyjniejszym wskaźnikiem trendów na przyszłość będą tu wyczekiwane skutki działań Harmeet Dhillon, kalifornijskiej prawnik o hinduskim rodowodzie, desygnowanej przez Donalda Trumpa na stanowisko asystenta prokuratora generalnego do spraw praw obywatelskich, która będzie zatem nadzorować amerykańskich prokuratorów właśnie m.in. w kwestiach antydyskryminacji. Jeśli w przypadku możliwej konfrontacji prawnej ostatecznie zdanie należeć będzie do sądów (a pośrednio zatem do republiki sędziów stanowiących poniekąd państwo w państwie), to z obozu Trumpa popłyną wyraźne sygnały, że Dhillon ma za zadanie rozprawić się z programami DEI, począwszy od zaprzestania ścigania amerykańskich firm (dość powiedzieć, że departament sprawiedliwości od 2023 r. ściga SpaceX wspomnianego już Elona Muska za brak zatrudniania azylantów i uchodźców!), a skończywszy na skasowaniu wokeistowskich programów w wielkich korporacjach w ogóle.

Czas pokaże, czy i jak ostatecznie Ameryka z krwi i kości pokona wirusa woke, przynajmniej w domenie pracy i kapitału, niemniej, wobec odczuwalnego trendu jego odwrotu, w tym w dziedzinie gospodarki, paradoksem byłoby, abyśmy jako naród wybrali sobie na prezydenta wokeistowskiego kandydata par excellence, którym bez wątpienia jest Rafał Trzaskowski. Mówiąc bardziej autokrytycznie, wielką szkodą byłoby, abyśmy, na wzór Amerykanów, potrzebowali zaliczyć pełny cykl (a może i więcej) wokeistowskich rządów, by nabrać w końcu odporności stadnej, jeśli w ogóle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Jan Grabowski podczas dyskusji wokół jego książki „Wybielanie: Polska wobec Zagłady Żydów" w Instytucie Narutowicza, Warszawa, 8 stycznia 2025 r.

FOT. WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS

Ordynarne kpiny z cmentarzyska

Piotr Gontarczyk

Zapowiedź wydania przez Instytut Yad Vashem książki Jana Grabowskiego o „granatowej" policji można uznać za kompletną katastrofę świata nauki. Bo jak inaczej określić sytuację, w której najważniejsza instytucja na świecie odpowiedzialna za pamięć o Holokauście wyda pozycję autora, którego publikacje od lat są krytykowane za niewyobrażalną wcześniej skalę nadużyć?

W Internecie pojawiły się informacje, że Instytut Yad Vashem w Jerozolimie zamierza wydać książkę Jana Grabowskiego o „granatowej" policji. To smutna wiadomość dla Polaków i Żydów, a przede wszystkim klęska powagi i wiarygodności badań naukowych.

Na początku warto wspomnieć, że opis i ocena „granatowej" policji z czasów drugiej wojny światowej to rzecz wielowątkowa i skomplikowana. Formację tę utworzyły jesienią 1939 r. władze Generalnego Gubernatorstwa pod nazwą Polnische Polizei i wchodziła ona w skład niemieckiej policji porządkowej (Schutzpolizei). Było to dla okupanta praktyczne rozwiązanie: w proste zadania policyjne i porządkowe (np. czystość i porządek na ulicach czy przestępczość kryminalna) nie trzeba było angażować niemieckich funkcjonariuszy. Na służbę wezwano przedwojennych funkcjonariuszy Policji Państwowej i stawiennictwo było obowiązkowe.

Historycy znają przypadki odmowy, które kończyły się wysłaniem do obozu koncentracyjnego, co często było równoznaczne z utratą życia. Z czasem Niemcy uzupełniali szeregi policji ludźmi nie zawsze na odpowiednim poziomie. O tym wszystkim należy pamiętać, opisując historię formacji, której status i funkcjonowanie zasadniczo różniły się od rozmaitych jednostek policyjnych podległych różnym ośrodkom politycznym kolaborującym z Niemcami, jak choćby uczestnicząca w Holokauście policja francuska podległa Vichy.

Z tysięcy przedwojennych policjantów większość zachowywała się przyzwoicie. Wielu aresztowano i zamordowano za odmowę walki lub wręcz współpracę z podziemiem. Ale z drugiej strony pojawiła się wojenna demoralizacja, okazja do szantaży i wymuszeń, także na ukrywających się Żydach. Nie można zapominać, że ratowanie Żydów przez policjantów mogło się dokonywać w największej tajemnicy, a haniebne czyny kolaborantów widziane były przez dziesiątki czy setki świadków. Wielu policjantów było po wojnie sądzonych także za denuncjacje i morderstwa dokonane na Żydach. W aktach tych spraw można odnaleźć opisy odrażających przypadków zabójstw żydowskich

eprasa.pl 3bd2b0f672

uciekinierów, dokonanych z gorliwości lub zwykłej chciwości właśnie przez „granatowych".

Jest więc o czym pisać i dyskutować. Odmowa wiedzy na ten temat byłaby stanowiskiem równie absurdalnym, jak unikanie publicznej debaty w imię jakiejś „obrony dobrego imienia Polaków". Wszystko trzeba starannie przebadać i oddzielić ziarno od plew: relacje prawdziwe od skutków traumy żydowskich świadków; wiarygodne zeznania od mściwych oskarżeń elementu komunistycznego i kryminalnego, który tak przed wojną, jak w trakcie jej trwania był zwalczany przez policję. Rzetelny opis Polnische Polizei musi uwzględniać realia niemieckiej okupacji, przedstawiać rzeczywiste wydarzenia we właściwych proporcjach, a wszelkie wnioski i oceny muszą opierać się na solidnych podstawach. Słowem: pożądane publikacje na temat „granatowej" policji muszą być antytezą działalności od lat prowadzonej przez Jana Grabowskiego.

JUDENJAGD, CZYLI JAK WYKOŚLAWIAĆ HISTORIĘ

Pierwszą książką tego autora o drugiej wojnie światowej, zresztą z ważnym wątkiem opisu działań „granatowej" policji, była praca „Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu", wydana w 2011 r. i mająca być monografią poświęconą wojennym losom Żydów w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Praca ukazała się pod szyldem Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Niby więc praca naukowa, ale od pierwszych stron szokuje zastosowanymi w niej metodami budowania faktografii.

Wprowadzając czytelnika w meandry stosunków polsko-żydowskich na tym terenie w okresie II RP, autor kreśli sceny podpalanych synagog i śmiertelnych ofiar, które miały paść w czasie brutalnych siłowych konfliktów (s. 27–28). Po sprawdzeniu tych informacji w aktach Prokuratury Okręgowej w Tarnowie – a na nie powołał się Grabowski, podając nawet rzekome tytuły teczek – okazało się, że nic się nie zgadza: opisane przypadki agresji Polaków nie miały miejsca, nie było żadnego podpalania synagog, a owa osoba, która miała zginąć w czasie zajść polsko-żydowskich, okazała się lokalnym złodziejem (Polakiem) zastrzelonym w czasie obławy przez policję. Kluczowe fakty z opowieści autora w II RP, łącznie z owymi tytułami teczek śledztw (typu: „Sprawa Stanisława Klekota z Otfinowa oskarżonego o wywoływanie nienawiści do Żydów, podpalanie żydowskich domów oraz wybijanie okien"), okazały się zmyślone.

W książce „Dalej jest noc" fabrykowano historię tego, co działo się w gettach po deportacjach

W oddzielnym rozdziale książki Jan Grabowski omawia wiele występków i zbrodni (morderstwa i denuncjacje), których na terenie opisywanego powiatu mieli dopuścić się „granatowi" policjanci. Obszerne opisy ich zachowań, przyzwyczajeń i mechanizmów działania budowane są na podstawie niepotwierdzonych innymi źródłami, pojedynczych przypadków. Co jeszcze ciekawsze: przytłaczająca część z nich w ogóle nie pochodzi z opisywanego terenu. Zebrano je z akt archiwalnych powojennych spraw karnych z terenu całej Polski: rzeszowskiego, świętokrzyskiego, krakowskiego, a głównie… Mińska Mazowieckiego. Wszystko to potem autor przedstawił w „Judenjagd…" jako historię działalności „granatowej" policji w powiecie Dąbrowa Tarnowska.

Takimi oszukańczymi metodami tworzone były inne rozdziały, jak choćby ten, w którym mowa jest o likwidacji miejscowego getta. W nim działy się rzeczy znane z innych gett: pozostawiona na miejscu żydowska policja przygotowywała pozostawione mienie do wywozu do Niemiec, a także wyciągała tych, którzy schowali się w różnych kryjówkach i bunkrach, unikając deportacji, i wydawała w ręce Niemców (ci dostarczonych niezwłocznie rozstrzeliwali). O tym aspekcie brutalnej i bezwzględnej działalności żydowskich funkcjonariuszy Ordnungsdienst (potocznie nazywanych OD-manami) zachowały się relacje ocalałych, które znał Jan Grabowski. Ale w opisywanej książce udał, że ich nie ma, i napisał: „Choć nie zachowały się inne opisy wyciągania z bunkrów Żydów [w Dąbrowie Tarnowskiej, co jest nieprawdą – przyp. P.G.], nie mogło to się w taki istotny sposób różnić od tego, co zapisał w swoim dzienniku Zygmunt Klukowski, lekarz z położonego pod Zamościem Szczebrzeszyna". Po powyższych słowach autor zamieścił obszerny opis deportacji Żydów z odległego o 200 km Szczebrzeszyna, w której, niestety, na różne sposoby wzięły udział męty spośród lokalnych Polaków. W „Judenjagd…" obszerny cytat z Klukowskiego został poskracany tak, żeby usunąć na dalszy plan Niemców i zostali w nim głównie Polacy.

Jaki związek mają wydarzenia w getcie w Dąbrowie Tarnowskiej z tym, co się działo w lubelskim Szczebrzeszynie? Zupełnie żadnego, ale cel tego zabiegu został osiągnięty: w „Judenjagd…" Żydów z bunkrów w Dąbrowie Tarnowskiej nie wyciągają funkcjonariusze żydowskiej policji, jak było w rzeczywistości, tylko („wypożyczeni" ze Szczebrzeszyna) Polacy, w tym głównie „granatowi" policjanci.

DALEJ JEST TYLKO NOC

W kolejnym dziele tego środowiska, książce „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" (red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Warszawa, 2008, t. I–II), Jan Grabowski oraz jego współpracownicy rozwinęli opisywane tu metody działania, także jeśli chodzi o opis „granatowej" policji. Na przykład w artykule Karoliny Panz (o powiecie Nowy Targ) seryjnie poznikali Niemcy, którzy na miejscach zbrodni popełnionych na Żydach zostali zastąpieni wprost właśnie przez „granatowych" policjantów. W artykule Dariusza Libionki (o powiecie miechowskim) znalazły się nowe opisy deportacji Żydów z lokalnych miasteczek, w których Niemców zastąpili Polacy junacy z Baudienst, strażacy, no i oczywiście „granatowi" policjanci. Różnymi nienaukowymi chwytami ten tekst na konto Polaków (głównie właśnie policji) zapisuje setki (!) żydowskich ofiar, których oprawcami w rzeczywistości byli wyłącznie niemieccy żandarmi.

W „Dalej jest noc" także fabrykowano historię tego, co działo się w gettach

eprasa.pl 3bd2b0f672

po deportacjach, w kierunku znanym już z opisów wydarzeń w Dąbrowie Tarnowskiej i książki „Judenjagd…". Można tu wymienić choćby Węgrów czy Bochnię.

Pisząc artykuł o tym drugim powiecie, Dagmara Swałtek-Niewińska stanęła przed problemem opisania miejscowego getta, gdzie funkcjonariusze żydowskiej policji wyciągnęli tam z bunkrów i kryjówek setki Żydów, a po ich obrabowywaniu wydawali w ręce Niemców, którzy Żydów mordowali. Żydowskich świadectw opisujących te dantejskie sceny jest bez liku. Są nawet obszerne i pełne szczegółów akta powojennego procesu jednego z żydowskich policjantów, który trafił do więzienia za zbrodnie na swoich rodakach. Na podstawie tych akt wspomniana autorka w „Dalej jest noc" napisała: „Grupy poszukujące ukrytych Żydów składały się z kilku osób, zwykle policjanta niemieckiego, kilku policjantów polskich" (t. II, s. 563).

Nieco inaczej problem rozwiązał Jan Grabowski w artykule o Węgrowie. Tu już w czasie likwidacji getta policja żydowska nie jest w ogóle wspominana, ponieważ „zniknęła" dużo wcześniej. Już opisując zasady organizacji getta, wspomniany autor stwierdził, że pilnowała go policja niemiecka i (oczywiście) polska, a także… „gapie", czyli okoliczni patrzący na getto zwykli Polacy. W wielu fragmentach wspomnianego tekstu nie ma już wątpliwości, kto odegrał kluczową rolę w deportacji węgrowskich Żydów, którą wcześniej historiografia przypisywała Niemcom: „Mimo dobrze skoordynowanych działań polskich służb mundurowych [mowa o polskiej policji i straży pożarnej – przyp. P.G.] od czasu do czasu jakiemuś Żydowi udało się ujść przed pogromem i zdać relację polskim świadkom" (t. I, s. 449).

Generalnie jeśli chodzi o „granatową" policję, to w książce „Dalej jest noc" Jan Grabowski stworzył na jej temat mnóstwo fałszywej faktografii uzupełnionej przedziwnymi teoriami. Merytorycznie wszystko tu jest bezwartościowe, ale uwagę zwraca gęstość przymiotników i brutalnych określeń: „O ile jesienią 1942 r. policjant Matusiak i jego koledzy jedynie »terminowali« u Niemców w roli eskorty i pomocników, o tyle już niebawem zaczęli mordować Żydów na własną rękę, nie oglądając się na niemieckich kolegów. Trzeba też przyznać, że w wielu „granatowych" policjantach niemieccy żandarmi znaleźli pojętnych uczniów, a niektórzy wkrótce przewyższyli pod wieloma względami swoich nauczycieli […]. Proces »dojrzewania« policji granatowej do mordów, swoistego wprawiania się – pod niemiecką tresurą – w zabijanie można prześledzić na przykładzie Lucjana Matusiaka, plutonowego, zastępcy komendanta posterunku PP w Łochowie (Budziskach)". Powyższe słowa opatrzono przypisem: „AIPN, GK 317/28, t. 3, Protokół rozprawy głównej, 9 IX 1949 r., k. 49–58; ibidem, Sentencja wyroku, 9 IX 1949 r., k. 61–62".

W opowieści Grabowskiego o „granatowej" policji zniekształcone cytaty przeplatają się z wątpliwymi przeróbkami cudzych tekstów i konfabulacjami

Akta sprawy, na którą powołał się Jan Grabowski, liczą trzy tomy. Ale tylko jeden to akta poszukiwawcze wspomnianego „granatowego" policjanta Matusiaka, który dopuścił się zabójstwa żydowskiej rodziny. Na skutek błędu ten tom połączono z aktami innej sprawy karnej – dotyczącej osoby o podobnie brzmiącym nazwisku (Stanisław Matusik). Tylko tam odbyła się rozprawa główna przed sądem i zapadł wyrok, choć sprawa nie miała nic wspólnego z działalnością „granatowej" policji. Ale to właśnie te tomy i dokumenty wskazano w książce „Na posterunku" jako źródło wiedzy do analizy „procesu »dojrzewania« policji granatowej do mordów, swoistego wprawiania się – pod niemiecką tresurą – w zabijanie" – co „można prześledzić na przykładzie Lucjana Matusiaka" – bo autor tych akt nie przeczytał. Zobaczył, że to aż trzy tomy akt, więc mógł pomyśleć, że to, co mu się chce, to może o nich napisać. A że to wszystko zostało najpewniej zmyślone?

NA NIEMIECKIM POSTERUNKU

W 2020 r. Jan Grabowski wydał książkę „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów". Nie została opublikowana pod szyldem PAN, skąd autor miał być ponoć usunięty ze względu na przekraczanie (i tak bardzo wątpliwych) standardów, które miały obowiązywać w Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Taką wersję wydarzeń potwierdza to, co autor robił w tej książce: w zasadzie cokolwiek by tu dotknąć, okazuje się rzeczą wątpliwą, mało wiarygodną, czasem wręcz sfabrykowaną. Dotyczy to różnych fragmentów tej pracy, gdzie autor znowu wymieszał to, co przeczytał na temat straży pożarnych, junaków z Baudienst, „granatowych" policjantów czy zwykłych Polaków. Niektóre prezentowane cytaty znowu okazały się przerobione, a budowana narracja nie ma żadnego logicznego związku z dokumentami, na podstawie których rzekomo powstała, tak w sprawach zasadniczych, jak z pozoru drobnych.

W pewnej chwili w „Na posterunku" czytamy: „Czasem ataki [Polaków] na Żydów nie miały nawet w tle rabunku: w Sokołowie [Podlaskim] niektórzy młodzi Polacy szybko nauczyli się od Niemców, że Żydów można bezkarnie hańbić i ośmieszać, np. obcinając starcom brody" (s. 77). Jako źródło tej informacji wskazał w przypisie relację Joska Kopyta. Ale tam czytamy: „A oto obrazki z 1939 r. Niemcy wieczorami chodzili po ulicach i kogo widzieli, tego łapali i bili […]. Poszedłem dalej i ujrzałem 75-letniego Szymona Hojsena, którego Niemcy rzucili w błoto i zaczęli mu nożami strzyc brodę. Szymon rękami próbował zasłaniać twarz. Ze strachu dostał konwulsji. Hojsen był talmudystą. Po odejściu Niemców przybiegła córka jego i zabrała go do domu. Starzec zmarł z zakażenia" (A ŻIH, 301/4085, s. 7). Co oryginalna treść źródła (nie ma w nim Polaków) ma wspólnego z tym, co napisał Grabowski?

W książce „Dalej jest noc" opisano historię Szołka Goldsteina, który miał zostać postrzelony w fabryce w Baczkach koło Węgrowa przez „granatowego" policjanta Wincentego Kołodziejskie-

eprasa.pl 3bd2b0f672

go, a potem dobity przez niemieckiego żandarma. W sądzie okazało się, że człowiek oskarżający Kołodziejskiego jest niewiarygodny, działał z osobistej zemsty i Kołodziejski do żadnego Żyda w fabryce nie strzelał. Ale kłamliwą wersję oskarżyciela (w tej szkole robi się to na ogromną skalę) Jan Grabowski podał w książce jako fakty (t. I, s. 508). W „Na posterunku" poszedł dużo dalej i na podstawie tego samego źródła napisał: „Polscy policjanci strzelali chaotycznie i niedokładnie, tak że żandarmi niejednokrotnie musieli wkraczać i dobijać poranionych Żydów" (s. 113).

Teraz mamy już do czynienia nie z (fałszywym) faktem historycznym, tylko ważkim zjawiskiem tak niecelnego strzelania polskich policjantów do Żydów, że „niejednokrotnie" musieli po nich poprawiać Niemcy… To tylko jeden z licznych przejawów wejścia tekstów tego autora na wyższy poziom mistyfikacji, na którym m.in. przerabia on (często też fałszywe) tezy i twierdzenia dawnych współautorów z książki „Dalej jest noc". Przykładowo: wspomniana już Karolina Panz, zgodnie ze stanem wiedzy źródłowej, napisała: „Gestapo użyło motopompy Miejskiej Zawodowej Straży Pożarnej w Nowym Targu do polewania niegaszonego wapna" (t. 2, s. 273.). Grabowski wziął jej tekst i tę samą sprawę w „Na posterunku" zrelacjonował tak: „W niemiecką politykę Zagłady strażacy włączali się na różne sposoby: [...] [także poprzez] użyczenie motopompy, która służyła Niemcom do polewania niegaszonego wapna pod nogami Żydów wywożonych w bydlęcych wagonach" (s. 159).

Takimi metodami Jan Grabowski kreślił polskojęzyczną wersję opowieści o „granatowej" policji – opowieści, która przygotowywana jest przez Instytut Yad Vashem: zniekształcone cytaty przeplatają się z wątpliwymi przeróbkami cudzych tekstów i konfabulacjami. Autor przypisał policji kluczową samodzielną rolę w wykryciu bunkra „Krysia", w którym w lutym 1944 r. został schwytany przez Niemców słynny żydowski historyk Emmanuel Ringelblum. Ale wskazane przez niego dokumenty takiej wersji nie tylko nie potwierdzają, lecz wręcz jej przeczą. Cała reszta tego rozdziału ma zbliżoną wartość do opisów budowanych na podstawie akt „policjanta Matusiaka". Do innych charakterystycznych fragmentów tej pracy należy powiększenie listy gett, w których w scenach wyciągania z kryjówek Żydów i wydawania ich w ręce Niemców udało się żydowską policję zastąpić „granatową". Tak Jan Grabowski zrobił z gettem w Krakowie (s. 144). W sumie książka przypisuje „granatowej" policji setki tysięcy żydowskich ofiar, na co nie ma cienia dowodów. To wszystko jest jedną, wielką mistyfikacją.

Tylko na marginesie warto dodać, że w Internecie pojawiła się informacja na temat stypendium, które na badania dostał wówczas Jan Grabowski z Niemiec. Czyli jest tak: służba niby nauce, ale jednak trochę „Na [niemieckim] posterunku".

KATASTROFA YAD VASHEM?

Treść zapowiedzi nowej książki Jana Grabowskiego na temat „granatowej" policji, którą ma wydać Yad Vashem, wskazuje, że mamy do czynienia z dziełem zbliżonym do książki „Na posterunku" wydanej w języku polskim. Tyle tylko, że treść ta jest wyraźnie skażona pewnym stanem umysłu, w którym nie wystarcza już to, co zostało zmistyfikowane wcześniej, tylko trzeba w każdej kolejnej wersji iść szybciej, wyżej i dalej. Taka ideologiczno-semantyczna („na niemieckim posterunku") galopada.

Generalnie więc zapowiedź wydawniczą Yad Vashem można uznać za kompletną katastrofę świata nauki. Bo jak inaczej określić sytuację, w której najważniejsza instytucja na świecie odpowiedzialna za pamięć o Holokauście wyda książkę autora, którego publikacje od lat są krytykowane za niewyobrażalną wcześniej skalę i naturę nadużyć naukowych?

Nie wiadomo, która część liczby tysięcy żydowskich ofiar przypisanych przez Jana Grabowskiego „granatowej" policji to w rzeczywistości ofiary żydowskiej policji (zapewne mniejszość), a która jest zwykłą mistyfikacją. Bo tego autora stać dosłownie na wszystko. Dość powiedzieć, że pisząc artykuł o powiecie węgrowskim, Grabowski „przeniósł" sobie na mapie na teren tego powiatu obóz zagłady w Treblince, który w rzeczywistości leży w sąsiednim powiecie – Sokołów Podlaski. Jego teksty – tu dosłownie więc, a nie tylko w przenośni – to w tym wypadku ordynarne kpiny z cmentarzyska niemal miliona ofiar Holokaustu.

Wydanie pracy tego autora na temat „granatowej" policji wydaje się równoznaczne z promowaniem zjawiska deformowania pamięci o Holokauście („Holocaust distortion"), któremu, przynajmniej oficjalnie, bezwzględną walkę wszędzie i zawsze wypowiada Instytut Yad Vashem. To chyba nie powinno być tak, że walczymy ze zniekształcaniem pamięci o tej tragedii tylko wtedy, kiedy odbywa się to kosztem Żydów. A co z integralnością historycznej prawdy? To ma być opis historii czy jakiś kabaret?

Można było oczekiwać, że w Instytucie Yad Vashem obowiązują najwyższe standardy. Treść zapowiedzi publikacji książki Jana Grabowskiego, szczególnie w zestawieniu z jego specyficznym „dorobkiem" naukowym, świadczy o tym, że tam żadnych poważnych kryteriów kontroli jakości nie ma. Może więc to już czas, żeby jakaś adekwatna polska placówka naukowa skierowała do Jerozolimy stosowne wyjaśnienia opatrzone bogatym materiałem dowodowym? Czy zajmie się sprawą tych naukowych oszustw MSZ? Szkoda prawdy historycznej, autorytetu tak ważnej i zasłużonej jak Yad Vashem placówki, szkoda wzajemnych stosunków. Jak długo jeszcze publikacje Jana Grabowskiego będą ośmieszały pamięć o ofiarach Holokaustu, nie tylko tych z cmentarzyska w Treblince?

Nie wiadomo, która część tysięcy żydowskich ofiar przypisanych przez Grabowskiego „granatowej" policji to w rzeczywistości ofiary żydowskiej policji, a która jest zwykłą mistyfikacją

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN, choć tekst odzwierciedla wyłącznie jego poglądy. W tym roku ukaże się jego dwutomowe opracowanie (tom narracyjny plus tom ilustracyjny; łącznie ok. 1000 stron) pokazujące metody działania tzw. nowej polskiej szkoły badań Holokaustu.

eprasa.pl 3bd2b0f672

Po Hitlerze, czyli nasze piękne rozliczenia

Rzeźba głowy Adolfa Hitlera wykonana przez Hedwig Marię Lay FOT. PIOTR SEMKA

Piotr Semka

Każda generacja Niemców ma w kwestii rozliczeń z hitleryzmem swoje własne lęki i sposoby na odganianie brunatnych upiorów. Dom Historii RFN w Bonn zdecydował się w końcu, aby sam ten proces stał się tematem osobnej ekspozycji. Jak więc wygląda ten niemiecki rozrachunek z własnymi rozliczeniami?

Dom Historii Republiki Federalnej Niemiec w Bonn to jeden z niewielu reliktów minionej epoki, gdy to miasteczko nad Renem było niemiecką stolicą. Dla Polaka to miejsce bardzo ciekawe i znaczące. Tu określa się, jak Niemcy powinni myśleć o swojej historii. A w historii RFN oficjalny, rządowy placet nad wizją dziejów uznawano i uznaje się do dziś za niezbędny, aby chronić kraj przed recydywą nazizmu. Powojenne Niemcy przypominają statecznego obywatela, który ma za sobą groźne uzależnienie i wciąż prześladowany jest obawą, że nałóg wróci. I tak jest z niemieckimi rozliczeniami z hitleryzmem. Każda generacja ma w tej kwestii swoje własne lęki i sposoby na odganianie brunatnych upiorów. Nic dziwnego, że Dom Historii RFN zdecydował się w końcu, aby sam ten proces stał się tematem osobnej ekspozycji. Jak więc wygląda ten niemiecki rozrachunek z własnymi rozliczeniami?

GABINET OSOBLIWOŚCI

Nachylam się nad sporą rzeźbą głowy Adolfa Hitlera umieszczoną w szklanej gablocie. Rzeźba jest dziełem Hedwig Marii Lay (1888–1978). Artystka już w latach 20. zachwyciła się nazizmem, ale – co więcej – udało się jej dotrzeć do Hitlera i namówić go do pozowania. Rzeźba na tyle spodobała się partyjnym bonzom, że zyskała od NSDAP oficjalne błogosławieństwo do bycia wzorem dla masowej produkcji dziesiątek tysięcy rzeźb. Zyski z licencji pozwoliły artystce na zbudowanie sobie domku w Düsseldorfie. Po 17 kwietnia 1945 r., kiedy Amerykanie wkroczyli do miasta, pani Lay wyniosła oryginał rzeźby do ogródka i zakopała w ziemi. W 1967 r. robotnicy, którzy przekopywali jej ogródek, przypadkiem wydobyli kłopotliwą pamiątkę. Artystka zaproponowała im, by wzięli sobie głowę Führera, nikt jednak nie połakomił się na taki upiorny prezent. Urażona Frau Hedwig zabrała głowę Hitlera do swojej willi i ustawiła w eksponowanym miejscu, gdzie rzeźba stała aż do 1985 r. Dopiero wtedy jej kolejni właściciele oddali kłopotliwe curiosum do muzeum.

Tuż obok urzędowy spory portret Hitlera, który do 1945 r. wisiał w głównej sali ratusza we Frankfurcie nad Menem. Co ciekawe, portret jest tylko powierzchownie zamazany białą farbą. Dlaczego właśnie tak? Czemu obrazu wodza nie spalono ani też nie wyrzucono na śmietnik? Czy ktoś chciał kiedyś jeszcze zmyć białą farbę? Tabliczka pod tą dziwną pamiątką nie odpowiada na żadne z tych pytań.

I wreszcie trzeci eksponat. Rower z lat 30. obłożony naoliwionymi szmatkami. Należał do żydowskiego chłopca, którego rodzice musieli uciekać z Niemiec w 1936 r. Przed wyjazdem chłopiec poprosił swego niemieckiego kolegę, by ten przechował bicykl aż do jego powrotu. Żydowski chłopak nigdy nie powrócił. W 2007 r. rower został sprzedany przez

eprasa.pl 3bd2b0f672

starszego mężczyznę do jednego z antykwariatów. Jak się okazało, jednoślad przez 70 lat był starannie konserwowany w oczekiwaniu, aż ktoś się po niego zgłosi.

POWRACAJĄCE PYTANIA

„Co Niemcy kojarzyli z nazizmem po 1945 r.?" – pytają we wstępie autorzy wystawy. I odpowiadają: „Tłumili swoją wiedzę o zbrodniach lub byli w nie osobiście zaangażowani. Reagowali z obojętnością na zło, co nie przeszkadzało, że byli w szoku, gdy prawda wyszła na jaw w pełni po wojnie". Jak deklaruje Dom Historii: „Ta wystawa ma pokazać, jak cztery kolejne generacje przeszły przez wciąż trwający proces rozrachunku sumień. Pierwsza generacja to naoczni świadkowie, którzy byli dorośli w czasie epoki Hitlera. Potem z pytaniami »jak to było możliwe?« zmagało się pokolenie dzieci w latach 60. Po zjednoczeniu Niemiec w 1989 r. te same pytania zadawała sobie generacja wnuków. I wreszcie najmłodsze pokolenie urodzone po 2000 r., które także nawiedzają dziś lęki przed nawrotem brunatnych tendencji". Autorzy ekspozycji pytają: „Co te cztery generacje miały wspólnego i czym różniły się w zmaganiach z niemiecką historią?". Najbardziej ciekawa na wystawie jest część opowiadająca o pierwszej powojennej dekadzie 1945–1955.

Rozliczenie zaczęło się od zwykłego usuwania setek tysięcy symboli NSDAP. Saperzy US Army wysadzają w powietrze gigantyczną betonową swastykę na stadionie parteitagów w Norymberdze. Pierwsza powojenna policja powołana przez aliantów usuwa z ulic tabliczki ku czci Adolfa Hitlera. Niemieckie miasta są w gruzach. Niemieccy mężczyźni w większości albo zginęli, albo siedzą jeszcze w niewoli, a rozbiórkowe cegły muszą dźwigać kobiety. Lokalni komendanci alianccy zmuszają wtedy obywateli niemieckich miast do oglądania w kinach na specjalnych seansach filmów o zwałach trupów znalezionych w wyzwolonych obozach koncentracyjnych. Na jednym ze zdjęć widać żandarmów wyprowadzających z sali kobietę w głębokim szoku. Widok spychaczy, które zwalają do ogromnych dołów góry trupów, wywołał u niej histerię. Ale tuż obok są zdjęcia, które pokazują, że stare nawyki wciąż mocno trwały. W 1953 r. alianci zwolnili z więzienia jednego z najwyższych dowódców

Ten rower należał do żydowskiego chłopca, który w 1936 r. poprosił swego niemieckiego kolegę, by ten przechował bicykl aż do jego powrotu. Nigdy go nie odebrał FOT. PIOTR SEMKA

Wehrmachtu, Ericha von Mansteina. Gdy wrócił do swego rodzinnego miasteczka Allmendingen, na jego cześć urządzono paradę mieszkańców miasteczka. Na zdjęciu triumfujący Manstein uroczyście pozdrawia zebranych, głosząc jednocześnie tezy o „rycerskim Wehrmachcie", który nie musi się niczego wstydzić.

A tuż obok zdjęcie z karnawałowego pochodu przebierańców z nadreńskiego Heimerzheim z 1952 r. W środku pochodu limuzyna z osobnikiem przebranym za Hitlera. Z podpisu wynika, że była to inicjatywa grupy młodych przeciwników ponownego uzbrojenia Niemiec. Ale robienie z Hitlera jedynego symbolu zła było wtedy dla wielu Niemców wygodnym wybiegiem uwalniającym samych siebie od pytań o swój własny udział w systemie zbrodni.

Jeszcze jeden ciekawy wątek dla polskiego widza. FDP, czyli dzisiejsza Wolna Partia Demokratyczna, w latach 1948–1954 prowadziła akcję przeciwko przepisom o denazyfikacji. Te narzucone przez aliantów przepisy odsuwały byłych członków NSDAP od obejmowania wielu ważnych stanowisk rządowych i samorządowych. FDP prowadziła długą kampanię przeciwko prawom denazyfikacyjnym. Na plakacie FDP z końca lat 40. duży napis „Denazyfikacja" dzieli dwie grupy Niemców. Pod spodem czytamy: „Precz z tą barierą. Karać przestępstwa, ale nie ścigać za polityczną pomyłkę". Natychmiast przypomina się nasz aktualny spór o odebranie byłym funkcjonariuszom SB wysokich emerytur w czasach rządów PiS. Wtedy też zwolennicy Platformy głosili, że takie działanie to ślepa zemsta, a nie szukanie konkretnych sprawców konkretnych zbrodni.

„LEPSI NIEMCY ZE WSCHODU"

Osobna część wystawy to opowieść o tym, jak Niemiecka Republika Demokratyczna, czyli Niemcy komunistyczne, niezwykle sprawnie potrafiła się przedstawiać jako wyłączni spadkobiercy bojowników przeciwko nazizmowi.

„W NRD realizujemy to, o co walczyli i za co ginęli antyfaszyści" – taki był oficjalny slogan komunistycznej partii SED. Personifikacją tego ideału był Ernst Thälmann (1886–1944), szef Komunistycznej Partii Niemiec, zgładzony przez nazistów w obozie w Buchenwaldzie w 1944 r. Właśnie wskutek tej mitologii do NRD jako swojej nowej niemieckiej ojczyzny zjechały po wojnie setki emigrantów, a także np. niemieckich Żydów. Wielu z nich po pewnym czasie odkrywało, że ich nowa socjalistyczna ojczyzna to pod wieloma względami kopia III Rzeszy ze wszechwładną bezpieką, obozami pracy przymusowej i powszechnym donosicielstwem. Wykazywanie, ilu byłych nazistów tkwi w rządzie Konrada Adenauera w zachodnich Niemczech, było ulubionym tematem propagandy ze wschodniego Berlina. Służyła temu np. wyklejanka „brunatny dom w Bonn", gdzie w każdym z otwierających się okienek Bundeskanzleramtu znaleźć można było jakiegoś byłego nazistę.

Nie było to pozbawione realnych podstaw. Tak było np. z Theodorem Oberländerem, ministrem do spraw wypędzonych w latach 1953–1969. Przed wojną był on szefem nazistowskiej instytucji Bund Deutscher Osten, która kontrolowała niemieckie organizacje mniejszości na wschodzie. Oberländer oskarżany był o sprawstwo kierownicze mordów ukraińskich banderowców nad profesorami Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Tyle że całe to święte oburzenie niemieckich komunistów zbudowane było na zakłamaniu. Wystawa pokazuje, ilu wysokich urzędników NRD miało własny brunatny epizod. I tak Kurt Säuberlich, zastępca NRD-owskiego parlamentu – Izby Ludowej – należał do NSDAP. Kurt Schumann, były członek NSDAP, był w latach 1949–1960 prezesem Sądu Najwyższego NRD. Otto Korfes, były nazista, był szefem archiwów wywiadu zagranicznego NRD. Aż 28 proc. profesorów na uczelniach wyższych NRD miało za sobą epizod przynależności do partii. 14 proc. deputowanych Izby w latach 50. było niegdyś w partii nazistowskiej. 14 proc. agentów Stasi w latach 50. to byli członkowie NSDAP. A niemiecką armię

eprasa.pl 3bd2b0f672

NVA budowała wyselekcjonowana grupa byłych oficerów Wehrmachtu. Naprawdę nie było czym się chwalić.

ZEMSTA SYNÓW I CÓREK

Epoka seansów z filmami nakręconymi o obozach zagłady nie trwała długo. Bardzo szybko „cud gospodarczy" epoki Adenauera zepchnął na dalszy plan nieprzyjemne wspomnienia. Naziści skazani po wojnie nawet za ogromne zbrodnie stosunkowo szybko wychodzili na wolność, choć rząd Adenauera dbał, by zbytnio nie podnosili głowy. Cud gospodarczy pchnął Niemców do rozkoszowania się dawno niewidzianymi bananami, cytrusami i idyllą własnego domku z nieodłącznym volkswagenem garbusem. Szybko wzbogaceni Niemcy zaczęli spędzać wakacje na hiszpańskiej Teneryfie, w krajach arabskich czy w Azji. A tymczasem dorastało nowe pokolenie, które o skali zbrodni nazizmu niespecjalnie wiedziało. Traf chciał, że ich wejście w polityczną dorosłość zbiegło się z lewicową rewoltą lat 1967–1972.

Pierwszym szokiem był proces strażników obozów koncentracyjnych we Frankfurcie nad Menem w latach 1963–1966. Siedemnasto- i osiemnastolatkowie nagle dowiadywali się o systemie fabryk śmierci i zaczynali zadawać nieprzyjemne pytania swoim rodzicom. A ci, dorastający w patriarchalnym systemie wychowania, uważali „bezczelne" pytania za impertynencję. Zbywani przez rodziców sami docierali do nielicznych publikacji o skali zbrodni III Rzeszy i przeżywali szok. Rzucali w twarz pokoleniu rodziców, że „wapno" ma milczeć i wstydzić się za swoje zbrodnie lub choćby bierność w epoce III Rzeszy.

Niebawem jednak lewicowa rewolta podchwyciła rewolucyjne hasła, ale z wieloma akcentami łudząco podobnymi do epoki nazizmu. Solidarność z krajami arabskimi znów skłaniała do nienawiści wobec Izraela, a klasowe poczucie gniewu kazało aktywistom grupy Baader-Meinhof sarkać na „Geldjuden", czyli zamożnych Żydów ze światowej finansjery.

Autorzy wystawy w Bonn dość niechętnie podchodzą do poszerzenia tego wątku. Wolą skupiać się na inicjatywach lat 60., które reagowały na rozmaite relikty kombatanctwa byłych esesmanów i żołnierzy Wehrmachtu. Od połowy lat

Hitler na okładkach „Der Spiegel" FOT. PIOTR SEMKA

70. wybuchają awantury o zjazdy byłych żołnierzy Waffen-SS w Arolsen. Na odtworzonych autentycznych reportażach telewizyjnych z tamtej epoki widać, jak miejscowi działacze CDU oburzają się na protesty lewicy. Argumentują, że nie wolno żołnierzy z Waffen-SS stawiać na równi z tymi, którzy obsługiwali obozy koncentracyjne.

Sekcja dotycząca lat 60. zaczyna powoli budzić irytację u polskiego widza także z innego powodu. Nie sposób zauważyć żadnej refleksji nad bardzo trudnym procesem pojednania polsko-niemieckiego. Zdjęcie kanclerza Willy'ego Brandta klęczącego przed pomnikiem Bohaterów Getta w 1970 r. odnosi się raczej do wyznawania win wobec Żydów, a nie normalizacji relacji z Polską. Jeśli gdzieś migają polskie nazwiska, to tylko w wypadku dawnych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy na zaproszenie landowych kuratoriów odwiedzają niemieckie szkoły i opowiadają o systemie pracy przymusowej.

A już omówienie lat 80., 90. i nowego wieku to wyłącznie politycznie poprawna opowieść o emancypacji pamięci o takich grupach jak Sinti i Roma oraz o homoseksualistach więzionych w kacetach III Rzeszy. Nie ma ani słowa o braku jakiegokolwiek rozliczenia Republiki Federalnej Niemiec z represjonowanymi osobami na Białorusi czy Ukrainie. Jest za to sporo drobiazgowego wyliczania wszystkich małych grup neonazistowskich, co w wypadku lat 90. miękko przechodzi w rejestr ataków na domy dla imigrantów czy prześladowania przybyszów z Afryki czy Azji.

Ostatnia część, czyli czasy współczesne, to już niemal gazetowy styl ataków na wszystkich tych, którzy wskazują na konsekwencje zalewu imigrantów lub utożsamiają się z Alternative für Deutschland.

Liderom AfD poświęcono wiele uwagi. Duży portret Alexandra Gaulanda przemawiającego w Bundestagu (bez wyjaśnienia jego związku z tematem wystawy) i opowieść o tym, jak pod domem Björna Höckego, lidera Alternatywy w Turyngii, lewicowi happenerzy rozstawili ogromne bloki wzorowane na pomniku Pomordowanych Żydów Europy z Berlina. Była to reakcja na wypowiedź Björna Höckego ze stycznia 2017 r., kiedy to zażądał usunięcia wspomnianego monumentu, argumentując, że „Niemcy są jedynym narodem świata, który w sercu swojej stolicy zbudował pomnik hańby". Dodawał, że Niemcy potrzebują „zwrotu o 180 stopni w kwestii polityki historycznej".

Kwestia oczekiwań rekompensat dla Polski za straty wojenne w ogóle się nie pojawia. Podobnie szerokim łukiem omijana jest kwestia restytucji polskich dóbr kultury w Niemczech.

Bardzo dużo jest za to przykładów dość mało skomplikowanej retoryki na temat szanowania multikulturowości. Na cztery wielkie części wystawy tylko dwie pierwsze dotyczące pierwszego powojennego dziesięciolecia i kontestacji lat 60. wyglądają na solidnie opracowane nakładem sporej ilości pracy.

Wystawę kończy parę sentencji, które opuszczający wystawę widz ma wybrać jako najbardziej przekonujące dla swojego sposobu myślenia. Do wyboru są zdania: „Wspominamy, aby zachować naszą demokrację", „Nie dla szczucia przeciwko muzułmanom", „Nie odpowiadam za to, co się stało, ale odpowiadam za to, co dzieje się teraz". I jedno, chyba najbardziej niepokojące: „Zdarzyło się wtedy, może zdarzyć się teraz".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Po Hitlerze – niemieckie rozliczenia z narodowym socjalizmem" potrwa do 26 stycznia 2025 r. Szczegóły na: www.hdg.de/haus-der-geschichte.de.

eprasa.pl 3bd2b0f672

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Za wszelką cenę

W okresie PRL komuniści zarządzali „kombatanctwem" i idącymi za tym przywilejami. W wymiarze materialnym (jako dodatki finansowe) rozpoczęły się od 1975 r. Za kombatantów uznali przede wszystkim „swoich", ale była to kategoria bardzo obszerna. Dotyczyła „kombatańców" z PPR i GL-AL, a także żołnierzy „ludowego Wojska Polskiego".

Honorowano również „armie sojusznicze", czyli służbę w Armii Czerwonej, NKWD itp. Byli wśród nich nawet ci, którzy od 17 września 1939 r. walczyli z WP po stronie sowieckiej. Dołączono do nich uczestników wojny obronnej 1939 r. i niechętnie – bo tylko niektórych – uczestników Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jednak komunistyczna władza szukała szerszego poparcia społeczeństwa, a to względnie łatwo można było uzyskać przez „przekupstwo kombatanckie". I doszły do tego osoby ze statusem represjonowanych (ale tylko przez Niemców). A w powszechnej biedzie w PRL liczył się każdy, nawet mniej godziwy dochód, choćby niewielki.

Powstał zatem „worek" w postaci tzw. Ruchu Oporu, w którym można było rozpuścić żołnierzy AK (ale przywileje były nie dla wszystkich – wykluczeni byli m.in. ci, którzy walczyli z komuną po 1944 r.), ukrywając w ten sposób siłę formacji niepodległościowych. Nie mieli jednak szans żołnierze NSZ i innych formacji antykomunistycznych, jako „wrogowie ludu", choć nieliczni przemknęli się obok ideologicznej cenzury, którym świadczyli zweryfikowani AK-owcy, że to byli żołnierze z ich formacji.

Po 1989 r. była szansa, aby te sprawy uporządkować i oddzielić ziarno od plew, czyli odsiać komunistycznych „kombatańców" od prawdziwych uczestników wojny i konspiracji, a wrogów Polski niepodległej pogonić gdzie pieprz rośnie. Stało się inaczej. Weryfikacja objęła bowiem tylko funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, reszta mogła spać spokojnie i bezpiecznie. Do tego doszło masowe przyznawanie uprawnień kombatanckich dla rzeszy nowych osób. Powstrzymanie tej fali było praktycznie niemożliwe, bo po stronie uzurpatorów stanęły sądy administracyjne, masowo nakazując przyznawanie im przywilejów. Doczekaliśmy się milionów „bohaterów", którzy dopchali się do budżetowego koryta.

Były też oczywiste skandale. Przyznawanie uprawnień osobom, które wprawdzie represjonowane nie były, ale… mogły być. Na przykład kuriozalne przypadki dzieci żydowskich, które przeżyły ukrywane przez Polaków. Potencjalnie były zagrożone eksterminacją. Skandale polegały na tym, że takie osoby uzyskiwały świadczenia polskie, a nie niemieckie! W ten sposób było to nasze swoiste przyznanie się do winy. Skoro to Polska płaci… ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koronacja Władysława Łokietka

W 1309 r. zmarł książę Henryk Głogowski i władzę nad Wielkopolską objęli jego synowie. Po kilku latach książęta podzielili się krajem, co wywołało sprzeciw rycerstwa. Wielkopolanie wygnali nieudaczników i stanęli przed koniecznością wyboru. Pozostali książęta śląscy nie rokowali nadziei, a rządy czeskie były nad Wartą niepopularne. Do Mazowsza i tamtejszych Piastów było bardzo daleko i Wielkopolanom pozostał tylko Władysław Łokietek. Nie wszyscy jednak chcieli rządów małego Piasta i niemieckie mieszczaństwo Poznania do końca broniło praw książąt z Głogowa. Miasto zdobywano w trakcie regularnego oblężenia, a ostatnim punktem oporu buntowników była katedra. Nie zważając na powagę miejsca, po ciężkich walkach zdobyto świątynię i w ten sposób Poznań uznał władzę Łokietka. Krakowski władca wykazał się rozsądkiem i nie ograniczył przywilejów handlowych mieszczaństwa. Miał przed sobą nowe wyzwanie, które miało zadecydować o przyszłości kraju. Rozpoczął starania o królewską koronę.

Nie była to łatwa sprawa. Król Czech, Jan Luksemburski, jako następca Wacława II używał tytułu króla Polski i papież nie chcąc go zrażać, unikał zdecydowanej odpowiedzi. W tej sytuacji Łokietek sięgnął po argumenty finansowe. Polskie poselstwo zaproponowało zwiększenie opłat świętopietrza dla stolicy apostolskiej. Była to danina na rzecz papiestwa (tzw. denar św. Piotra) płacona przez średniowieczne europejskie państwa chrześcijańskie. Dotychczas opłata wynosiła trzy denary od dymu, czyli chaty. Polacy zaproponowali jednego denara od każdego mieszkańca, czyli zamianę podymnego na pogłówne (od każdej głowy). Ten argument okazał się decydujący i papież ostrożnie wyraził zgodę. W Krakowie rozpoczęto przygotowania do wielkiej uroczystości.

Władysław Łokietek i jego żona Jadwiga zostali koronowani 20 stycznia 1320 r. Podczas uroczystości wykorzystano nowe korony, gdyż poprzednie regalia zostały wywiezione do Czech i przepadły. Dynastia Piastów odzyskała godność królewską i wydawać się mogło, że nadchodzą lepsze czasy dla kraju. Wkrótce po koronacji córka Łokietka Elżbieta wyszła za mąż za króla potężnych Węgier i oba państwa rozpoczęły bliską współpracę.

W koronacji wziął udział dawny wróg Łokietka, biskup krakowski Jan Muskata. Po latach wygnania pogodził się ostatecznie z królem i powrócił do swojej diecezji. Poważnie chory zaprzestał działalności politycznej i zmarł wkrótce po uroczystościach. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. ANDREI PUNGOVSCHI/GETTY IMAGES

Z George'em Simionem, liderem czołowej partii opozycyjnej Związek Jedności Rumunów (AUR) i kandydatem na prezydenta Rumunii
rozmawia Jacek Przybylski

Musimy walczyć z dyktaturą

JACEK PRZYBYLSKI: Jest pan znany jako zagorzały fan Donalda Trumpa. Jak jego prezydentura wpłynie na równowagę sił politycznych w Europie?

GEORGE SIMION: Spodziewam się, że podczas jego kadencji nadejdzie koniec establishmentu związanego z ideologią „woke" i agentów Sorosa w Rumunii, w Polsce czy w innych krajach naszego regionu. Jestem pewien, że Donald Trump wprowadzi wiele niezbędnych zmian na Starym Kontynencie, a zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej.

A nie obawia się pan, że Trump sprzeda Rosji nie tylko Ukrainę, lecz także Polskę i Rumunię?

Absolutnie nie. Donald Trump podczas przemówienia w ONZ jeszcze podczas pierwszej kadencji podkreślał wagę suwerenności państw, więc jestem przekonany, że jego rządy okażą się korzystne dla Polaków czy Rumunów.

Pan sprzeciwia się kontynuowaniu pomocy wojskowej dla Ukrainy. Nie sądzi pan, że jeśli Ukraina upadnie, to Rosja może wkrótce potem zaatakować Rumunię, Polskę, Finlandię lub państwa bałtyckie i rozpętać trzecią wojnę światową?

Opowiadam się za wprowadzeniem rozejmu w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, ale nie za pokojem za wszelką cenę. Nie można bowiem podpisywać traktatów pokojowych dopóty, dopóki nie uda się powstrzymać rosyjskich działań podejmowanych od lat 90. na terenach Naddniestrza, Abchazji, Osetii czy na okupowanym Krymie. Rosjanie nigdy nie dostali lekcji i nigdy się nie zatrzymali. Dlatego wierzę, że potrzebujemy nowych traktatów, które lepiej gwarantowałyby bezpieczeństwo i suwerenność naszych państw.

Co to znaczy? Chce pan nowego NATO?

Chcę potężniejszego NATO, które byłoby o wiele bardziej wydajne i skuteczne.

Chyba już wiem, dlaczego media często nazywają pana „rumuńskim Trumpem"... W niedawnym wywiadzie dla Politico apelował pan jednak o „melonizację Europy". Kto jest więc pana prawdziwym idolem: Donald Trump czy premier Włoch Giorgia Meloni?

Bardzo trudno jest wybrać między Donaldem Trumpem a Giorgią Meloni, więc moja odpowiedź brzmi: Jarosław Kaczyński. Prezydent USA mierzy się bowiem ze specyficznym politycznym przeciwnikiem w społeczeństwie, na które ogromny wpływ ma... Hollywood. Z kolei Giorgia Meloni musi zmierzyć się z zagrożeniem upadku Włoch po latach rządów takich polityków jak Romano Prodi, Matteo Renzi czy Mario Draghi.

eprasa.pl 3bd2b0f672

My z kolei mamy problemy specyficzne dla Europy Środkowo-Wschodniej. Zarówno Polska, jak i Rumunia leżą między dwoma geopolitycznymi potęgami, czyli między Niemcami a Rosją. Mamy też bardzo podobną historię. I to zarówno tę dalszą, z czasów marszałka Józefa Piłsudskiego, jak i bardziej współczesną. Nasze kraje były okupowane przez Sowietów. Gdy dziś przez ponad godzinę rozmawiałem z Jarosławem Kaczyńskim; wspominał on rządy Akcji Wyborczej Solidarność w latach 1997–2001, które okazały się totalną porażką. My w Rumunii mieliśmy bardzo podobne doświadczenie w latach 1996–2000. Mamy więc nie tylko podobnych wrogów, lecz także niesamowicie zbliżoną sytuację polityczną w obu krajach. Prezes Jarosław Kaczyński zdołał zaś przetrwać nawet w najtrudniejszych okolicznościach.

Skoro przez godzinę rozmawiał pan z Jarosławem Kaczyńskim, to proszę powiedzieć, jak mogłaby wyglądać współpraca polskiej i rumuńskiej opozycji? PiS trudno będzie pokonać koalicję stworzoną pod wodzą premiera Donalda Tuska...

Z pewnością dla polskiego narodu lepszy byłby powrót do władzy Jarosława Kaczyńskiego. Polska nie powinna być niemiecką kolonią. A na czele polskiego narodu nie powinna stać polityczna marionetka. Widać wyraźnie, że podejmowany przez obecne władze atak na system wymiaru sprawiedliwości odbywa się przy jawnym łamaniu wszelkich zasad demokratycznego kraju. Gdyby to, co teraz wyprawia w Polsce rząd Donalda Tuska, próbował zrobić premier Mateusz Morawiecki, unijni urzędnicy w Brukseli głośno krzyczeliby o naruszaniu praworządności i o straszliwym nieliberalnym reżimie w Warszawie. Teraz ci sami eurobiurokraci milczą, ponieważ Tusk jest marionetką w rękach obecnych władz Komisji Europejskiej.

Pana diagnoza tylko potwierdzałaby tezę, że PiS nie jest w stanie obecnie pokonać rządzącej koalicji.

Możemy ją pokonać, łącząc nasze wysiłki i prosząc o pomoc ludzi. Szaloną politykę obecnej Komisji Europejskiej może powstrzymać tylko polski naród we współpracy z narodem rumuńskim, włoskim, hiszpańskim etc. We wszystkich krajach potrzebne są suwerenne rządy, które będą ze sobą współpracować, ale które nie będą przyjmować rozkazów z zagranicy. Musimy wzmocnić Unię Europejską. Tymczasem obecna Komisja Europejska jedynie osłabia Europę i sprawia, że zarówno nasza przyszłość, jak i przyszłość naszych dzieci stają się coraz bardziej niepewne.

Niemcy i Francja przechodzą obecnie poważne kryzysy polityczne i gospodarcze. Czy nie jest to dobra okazja, aby władze w Warszawie i w Bukareszcie pokazały, że Polska i Rumunia mogą być nie tylko gospodarczymi tygrysami Europy, lecz także liderami politycznymi, wyznaczającymi kierunek rozwoju dla Starego Kontynentu?

Jeśli dobrze to rozegramy, to przyszłość rzeczywiście może należeć do Europy Środkowo-Wschodniej, ponieważ władze krajów Europy Zachodniej popełniły mnóstwo błędów. Takie kraje jak Polska czy Rumunia mają więc szansę i ogromny potencjał. Aby móc nadal szybko się rozwijać, potrzebujemy jednak zachęcić rodaków, którzy wyjechali za granicę, do powrotu do ojczystych krajów. Tylko jeśli to nam się uda, będziemy mogli nadal szybko rosnąć w siłę.

W maju w Polsce odbędą się wybory prezydenckie. Według ostatnich sondaży dystans pomiędzy poparciem dla kandydata rządzącej Platformy Obywatelskiej Rafała Trzaskowskiego a poparciem dla opozycyjnego Karola Nawrockiego znacząco się zmniejszył. Czy sądzi pan, że gdyby prawdopodobieństwo wygranej Nawrockiego stało się wysokie, w Polsce mógłby się powtórzyć rumuński scenariusz i władza po prostu unieważniłaby przegrane przez jej kandydata wybory?

To bardzo prawdopodobny scenariusz. Nie bez powodu rząd Donalda Tuska stara się przejąć kontrolę nad systemem sądownictwa. Wierzę, że Rumunia była jedynie poligonem testowym, a w tym roku podobny scenariusz może być zrealizowany nie tylko w Polsce. Wcześniej może być zastosowany również w Niemczech podczas wyborów w lutym tego roku.

Nie przesadza pan?

Nie! Podczas wizyty w Bukareszcie w styczniu tego roku Thierry Breton, były francuski wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, wprost powołał się na rumuński precedens, aby usprawiedliwić możliwość unieważnienia wyników niemieckich wyborów, jeśli nie zostaną one przeprowadzone „prawidłowo", czyli jeśli władzom nie spodobają się osoby, które zostały wskazane przez większość wyborców. To bardzo niebezpieczne. Jestem pewien, że oni zrobią wszystko, aby utrzymać kontrolę nad Europą.

Gdy mówi pan „oni", to kogo ma na myśli?

Mam na myśli władze Komisji Europejskiej, mam na myśli sieć Sorosa, mam na myśli tych, którzy próbują kwestionować prawa natury i bawić się w Boga.

Zbawieniem prawicy ma być Elon Musk?

Obserwujemy, że od czasu, gdy Elon Musk kupił Twitter, nie tylko nie ma cenzury na X, lecz także jest jej mniej na Facebooku. Nasza partia wierzy w Boga, broni wartości rodzinnych, suwerenności oraz wolności. Swego czasu Rumuni za wolność słowa zapłacili krwią. Dla nas jest to więc świętość. Elon Musk daje zaś możliwość wypowiedzi takim partiom jak nasza, które długo były izolowane i niedopuszczane do udziału w debacie publicznej.

W debacie zmierzającej do zniszczenia Unii Europejskiej?

Wcale nie chcemy niszczyć Unii Europejskiej. Chcemy uczynić ją lepszą i silniejszą. I zamierzamy w demokratycznych wyborach pokonać unijnych eurokratów.

Na razie rumuński Trybunał Konstytucyjny orzekł, że wybory prezydenckie są nieważne. Po tym wyroku pana partia oznajmiła oficjalnie, że taka decyzja była „zamachem stanu". Czy to znaczy, że pana zdaniem Rumunia przestała być krajem demokratycznym?

Tak. Uważam, że dopóki nie odbędą się wolne wybory, dopóki każdy nie będzie miał prawa do kandydowania i dopóki to nie głos większości rumuńskich wyborców będzie najważniejszy, dopóty Rumunia nie może być uważana za kraj demokratyczny. Anulowanie ubiegłorocznych wyborów prezydenckich sprawiło, że w praktyce mamy do czynienia z dyktaturą. A przecież do urn poszła rekordowa liczba osób. Proszę sobie to wyobrazić. W poniedziałek po wyborach trybunał zatwierdził wyniki pierwszej tury wyborów. A po zaledwie kilku dniach, w piątek, orzekł, że wybory są jednak nieważne bez przedstawienia

eprasa.pl 3bd2b0f672

choćby strzępka dowodu na domniemane nieprawidłowości.

Jak można walczyć z taką „dyktaturą"?

Prosta odpowiedź brzmi: nie można. Mamy więc nadzieję, że wiosną rozpoczną się w Rumunii pokojowe protesty na dużą skalę. Mamy nadzieję, że bez żadnych ofiar uda się doprowadzić do zmiany stanowiska władz i przywrócić zasady wolności i demokracji.

Mówi pan o dyktaturze, tymczasem to pańscy przeciwnicy polityczni przedstawiają pana jako prawicowego ekstremistę czy wręcz faszystę. Nawet Politico, któremu udzielił pan wywiadu, pisze o panu jako o polityku skrajnie prawicowym.

To prawda. Jako prezes kluczowej partii opozycyjnej od lat przez rumuńskie władze jestem nazywany neonazistą, ekstremistą czy skrajnie prawicowym przywódcą o dyktatorskich skłonnościach. A to tylko niektóre z epitetów. Trzeba pamiętać, że ostatecznie prawda wyjdzie na jaw. Wówczas okaże się, że to my byliśmy prawdziwymi demokratami, a oni byli autokratami, którzy za wszelką cenę chcieli zachować kontrolę, nawet gdy nie mieli już poparcia większości wyborców.

Próby zachowania władzy mimo braku poparcia większości wyborców widzimy nie tylko w Rumunii, lecz także na poziomie unijnym. Czołowi politycy w Brukseli chcieli doprowadzić do radykalnej zmiany traktatów, ale nie zamierzali poddać tych zmian pod głosowanie mieszkańców Unii Europejskiej. Dlaczego? Bo wcześniej zostali już pokonani: ponieśli porażkę w Portugalii, przegrali też w Irlandii. Jeśli jednak unijni liderzy nadal będą uważali, że mogą lekceważyć głos większości mieszkańców krajów Unii, to kolejne kraje będą szły śladem Wielkiej Brytanii i opuszały UE.

Akurat decyzja o brexicie była w dużej mierze rezultatem sprawnie przeprowadzonej kampanii, w której pełno było manipulacji.

To tylko część prawdy. Za decyzją Brytyjczyków o wyjściu z Unii Europejskiej kryło się to, że uważali oni, iż pozostawanie we wspólnocie nie jest korzystne z punktu widzenia Wielkiej Brytanii.

Czyli jest pan za „ruxitem"?

Nie, nie chcę „ruxitu". Wcale nie chcę upadku Unii Europejskiej. Wierzę w projekt zjednoczonej Europy. I dlatego walczę w każdy możliwy demokratyczny sposób. Mamy jednak do czynienia z bardzo złymi ludźmi o makiawelistycznej osobowości. Dlatego w pierwszych tygodniach po orzeczeniu trybunału o unieważnieniu wyborów doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie powstrzymać się od wielkich demonstracji. W niedzielę 12 stycznia zorganizowaliśmy jednak pierwszą ogromną manifestację.

I nie obawia się pan, że zanim przekona pan do siebie większość Rumunów, to pana partia zostanie zdelegalizowana, a pan trafi za kratki za szerzenie ekstremizmu lub za cokolwiek innego?

To prawdopodobne, że trafimy za kratki albo nawet że pożegnamy się z życiem. Trzy dni przed ubiegłorocznymi wyborami do Parlamentu Europejskiego zostaliśmy zatrzymani przez prokuratorów. Po naszych przeciwnikach politycznych możemy się więc spodziewać wszystkiego: łamania prawa czy naruszania konstytucji. Nie będziemy jednak przecież pierwszymi bojownikami o wolność w historii naszego kraju, którzy dla ideałów poświęcili swoje życie. A ja jestem idealistą. I wierzę, że trzeba stawać w obronie tego, co słuszne.

> **Próby zachowania władzy mimo braku poparcia większości wyborców widzimy nie tylko w Rumunii**

Jeśli trafię do więzienia, to będzie to bardzo ironiczne, bo przecież to obecne władze tak mocno protestowały przeciwko dyktaturze Putina i – przynajmniej formalnie – troszczyły się o los więźniów politycznych takich jak Nawalny. Wydawało się, że naprawdę w to wierzą. Tymczasem teraz zachowują się tak samo jak Putin.

Mimo wszystko przesadą byłoby mówić, że pod rządami Donalda Tuska Polska jest na drodze do dyktatury...

A jednak jeden z byłych wiceministrów sprawiedliwości otrzymał azyl na Węgrzech. Nie mam więc wątpliwości co do zamiarów premiera Tuska, zwłaszcza biorąc pod uwagę całą jego polityczną karierę i jego podporządkowanie wobec Niemiec.

Ucieczka byłego wiceministra na Węgry to zdaniem wielu Polaków pośrednie przyznanie się do stawianych przez rząd zarzutów. Pan tak tego nie widzi?

Absolutnie nie. Znam realia panujące w Polsce. Znam też osobiście Marcina Romanowskiego. To uczciwy człowiek, który bywał na organizowanych przez nas konferencjach i walczył m.in. o nadrzędność krajowych konstytucji nad prawem unijnym. Ja widzę w nim bojownika o wolność.

Pan będzie znów walczył w wyborach prezydenckich, które mają odbyć się w Rumunii w maju?

„Mają" to dobre określenie, bo tego nikt nie wie. Władze okłamały już nas przed świętami Bożego Narodzenia, mówiąc, że wybory będą w marcu. Teraz rząd mówi o 23 maja. Publicznie mówię, że nie wierzę, iż dojdzie wówczas do wyborów, ale nie wykluczam ponownego startu. Jeśli jednak Georgescu, którego w ubiegłym roku poparła większość Rumunów, będzie mógł kandydować, to wycofam się z tego wyścigu, aby nie odbierać mu głosów.

A co, jeśli to pan się myli? Czy możemy być pewni, że rzeczywiście nie było tak, jak mówią władze, że to Rosjanie stali za dobrym wynikiem Georgescu? I że gdyby objął urząd prezydenta, Rumunia nie stałaby się zagrożeniem dla Unii Europejskiej i NATO?

W rumuńskiej konstytucji, podobnie jak w polskiej konstytucji, mamy wiele mechanizmów, które zapobiegłyby takiej sytuacji. Jestem zwolennikiem tego, by Rumunia była nadal członkiem Unii Europejskiej i NATO, więc nie powinniśmy się bać tych wyimaginowanych strachów. Wierzę w demokrację. I choć jest wiele rzeczy, które nie podobają mi się w Georgescu, to większość na niego głosowała. Jeśli nie będziemy tego respektować, to nie będziemy przestrzegać żadnych innych zasad. Poza tym nie widziałem żadnego dowodu na poparcie tezy o udziale Rosjan w zwycięstwie Georgescu. Jeśli taki się pojawi, to raz jeszcze przeanalizuję swoje stanowisko. Minął jednak miesiąc od werdyktu unieważniającego wybory, a rumuńskiej opinii publicznej nie przedstawiono żadnego przekonującego uzasadnienia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

PIEKŁO DLA MIGRANTÓW?

Rada miasta Chicago zablokowała rozwiązanie, które umożliwiłoby lokalnym organom ścigania udzielanie pomocy Służbie Imigracyjnej i Celnej (ICE) w zatrzymywaniu migrantów z przeszłością kryminalną. Przeważyło stanowisko lewicowych aktywistów. Jordan Kelly, członek Rady do spraw Stosunków Amerykańsko-Islamskich, nazwał inicjatorów zmiany samolubnymi tchórzami, którzy chcą zamienić Chicago w piekło dla migrantów.

POLICJANCIE, PILNUJ SIĘ SAM

W Argentynie policjant ruchu drogowego został przyłapany na drastycznym złamaniu przepisów, których przestrzegania sam ma pilnować. Stróż prawa poruszał się na motocyklu, trzymając w ręku puszkę piwa. Dodatkowym przewinieniem policjanta było to, że jechał bez kasku, a pojazd nie miał tablicy rejestracyjnej. Człowiek, który sytuację tę nagrywał, skomentował ją złośliwie: „Świetny przykład egzekwowania przepisów ruchu drogowego".

ODZIEŻ „ANTYTRANSOWA"

Jennifer Say, założycielka firmy produkującej odzież sportową, znalazła się pod obstrzałem amerykańskich środowisk liberalnych. Byłej mistrzyni USA w gimnastyce dostało się za treści, które widnieją na T-shirtach wyprodukowanych przez jej firmę. Chodzi m.in. o napis „XX-XY Athletics" wyrażający sprzeciw wobec udziału transpłciowych zawodniczek, które są biologicznymi mężczyznami, w sportach kobiecych.

PIJANY PASAŻER

Ryanair wezwał bary lotniskowe do ograniczenia sprzedaży napojów alkoholowych pasażerom samolotów. Stało się to po tym, gdy nietrzeźwy pasażer samolotu tej linii zakłócił spokój na pokładzie maszyny lecącej z Lanzarote do Dublina. W wyniku zamieszania załoga była zmuszona lądować w Porto. Agresywnego pasażera wysadzono tam i aresztowano. Natomiast z powodu ograniczeń pracy załogi personel pokładowy i ponad 160 pasażerów spędziło noc na lotnisku w Porto.

SEKS NA PLAŻY

Na jednej z plaż Teneryfy doszło do sytuacji, która wzbudziła konsternację przebywających tam osób. Tuż przy nadmorskiej promenadzie doszło do publicznego współżycia seksualnego między kobietą a mężczyzną. O poczuciu wstydu i zażenowania z ich strony nie było mowy, choć wszystko się odbywało m.in. na oczach dzieci. Nie zabrakło też ludzi, którzy sceny erotyczne fotografowali i filmowali. W Hiszpanii seks w miejscu publicznym jest nielegalny. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Chrześcijanie na celowniku

Przemoc na tle religijnym wobec wyznawców Chrystusa na świecie znów przybrała na sile! Według najnowszego raportu organizacji Open Doors ponad 380 mln (!) osób w okresie od 1 października 2023 r. do 30 września 2024 r. narażonych na „wysoki poziom" prześladowań i dyskryminacji. Jeszcze rok temu autorzy raportu informowali o 365 mln prześladowanych chrześcijan.

Wyznawcy Chrystusa dyskryminacji i dotkliwych prześladowań z powodu swojej wiary doświadczają aż w 78 krajach. W 50 państwach prześladowania są na poziomie „bardzo wysokim lub ekstremalnym". W tym przypadku mowa jest o ok. 310 mln osób. Najgorzej sytuacja wygląda w takich krajach jak Korea Północna, Somalia, Jemen, Libia, Sudan, Erytrea, Nigeria, Pakistan, Iran czy Afganistan.

Wyznawcy Chrystusa są często aresztowani, porywani, bici czy brutalnie mordowani. Tylko w Nigerii w badanym okresie islamscy bojownicy zabili 4118 chrześcijan. W Demokratycznej Republice Konga zamordowano 261 chrześcijan. A to i tak zaniżona liczba, ponieważ wiele przypadków nie jest nigdzie zgłaszanych czy rejestrowanych. Z kolei kobiety wyznające Chrystusa w wielu krajach padają ofiarami brutalnych gwałtów.

Jednocześnie autorzy raportu odnotowali wzrost ataków na kościoły i inne obiekty chrześcijańskie. Ich liczba rok do roku zwiększyła się o 33 proc. do 28 368. W wielu krajach Kościół został zepchnięty do katakumb. W podziemiu muszą odprawiać nabożeństwa chrześcijanie w Afganistanie, Algierii czy Libii.

Ile potrzeba jeszcze podobnych raportów, aby polscy i zachodni politycy zaczęli wreszcie działać?

eprasa.pl 3bd2b0f672

W europejskiej protrumpowskiej trójce premier Włoch Giorgia Meloni ma najlepszą pozycję.

FOT. FILIPPO ATTILI/PALAZZO CHIGI PRESS OFFICE/AFP/EAST NEWS

Kto rzuci urok na Trumpa?

Teresa Stylińska

Bywają wyrażenia, które w polityce pojawiają się znienacka i, stworzone czy podchwycone przez media, zaczynają żyć własnym życiem. Taką karierę robi właśnie „zaklinacz Trumpa" – angielskie „Trump whisperer"

Dopóki perspektywa, że Donald Trump wróci na urząd prezydenta, rysowała się mgliście, dopóty rolę zaklinacza traktowano z przymrużeniem oka, jako specyficzną przypadłość – trochę dziwactwo, trochę zaletę. W roli „zaklinacza Trumpa" obsadzony został wówczas premier Holandii Mark Rutte, dziś sekretarz generalny NATO. W przeciwieństwie bowiem do wielu innych polityków nie ciskał on gromów na Trumpa, nie nazywał go faszystą, populistą czy rosyjskim agentem, a poza tym spotkania obu przebiegały bez ostrych spięć. Uważano więc, że jeśli, co nie daj Boże oczywiście, Donald Trump jednak wygra wybory, to ta słowna wstrzemięźliwość w połączeniu z umiejętnością współpracy może okazać się cenna. Był to poważny atut Ruttego, gdy starał się o stanowisko szefa NATO.

Dziś do tytułu zaklinacza pretenduje cała gromadka europejskich polityków, mniej lub bardziej wpływowych, z różnych krajów i na różnych stanowiskach. O co tu właściwie chodzi? Skojarzenie z zaklinaczem deszczu jest jasne, jednak niewystarczające. Zaklinacz czarownik ma proste zadanie: sprowadzić upragniony deszcz. Zaklinacz Trumpa ma nie tylko być z nim w dobrych stosunkach. Ma działać jak emisariusz, który sprawi, że prezydent USA będzie ze zrozumieniem traktował jego kraj czy szersze jego zaplecze – europejskie przede wszystkim, ma pobudzać przychylne nastawienie. Ma być jak dobra wróżka, która oczaruje Trumpa i rzuci na niego urok. Oczywiście pożądany.

KTO JEST KIM

Teraz, gdy Donald Trump przejmuje władzę, w świecie polityki zaroiło się od ludzi, którzy sprawnie udają, że nie pamiętają, jakimi obelgami jeszcze niedawno go obrzucali. Udawanie Greka jednak nie tylko nie jest zabronione, lecz także stało się, przynajmniej na tym polu, powszechne. Takie podejście niekiedy przekłada się na działanie. Rząd brytyjski np. podjął ryzykancką zgoła decyzję o wysłaniu do Waszyngtonu w charakterze ambasadora Petera Mandelsona, który niegdyś powiedział, że Donald Trump stanowi zagrożenie dla świata. Ta nominacja dolewa oliwy do ognia, tym bardziej że brytyjscy laburzyści mocno angażowali się w kampanii po stronie Joe Bidena.

Czy brytyjskim ambasadorem mógłby zostać Nigel Farage, niegdyś inicjator brexitu, dziś lider prawicowej partii Reform UK? Oczywiście, że nie. Warto jednak przypomnieć, choćby w charakterze ciekawostki, że sugerował to kiedyś sam Donald Trump. Luźno rzucona uwaga sama w sobie była jedynie oryginalnym, trumpowskim w stylu przejawem sympatii i dobrych więzów łączących obu panów. Farage popierał Trumpa niezmiennie od 2016 r., gdy ten był prezydentem, i później, gdy prezydenturę stracił. Z wzajemnością – i nie brakuje na to dowodów. Pierwszy to gratulacje od Trumpa, gdy w lipcowych wyborach do Izby Gmin Farage wreszcie zdobył mandat, po kilku wcześniejszych nieudanych podejściach (zwycięzcę, Keira Starmera z Partii Pracy, Trump całkowicie zlekceważył). Drugi – zaproszenie Farage'a na inaugurację prezydentury 20 stycznia.

Przywódca nowej, ciągle niewielkiej partii i najbardziej znany przedstawiciel brytyjskiej prawicy – konserwatyzm konserwatystów jest, delikatnie mówiąc,

eprasa.pl 3bd2b0f672

mocno naznaczony postępem i poprawnością – znalazł się zatem w wąskim, dobrze przemyślanym gronie, niekiedy zaskakującym. Zaproszenie otrzymał np. Éric Zemmour, przedstawiciel prawicy francuskiej, najgłośniej przestrzegający przed fatalnymi dla Europy zmianami, które pociąga za sobą niekontrolowany napływ ludzi innych kultur. Zemmour, kandydat w ostatnich wyborach prezydenckich, nie wygrał. Jednak, jak widać, nie zniknął z pola widzenia.

Dwoje kolejnych gości nikogo nie powinno zaskoczyć: to Giorgia Meloni, premier Włoch, i Viktor Orbán, premier Węgier – jedyni zaproszeni spośród europejskich przywódców (Mateusz Morawiecki, przypomnijmy, wystąpi jako szef Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, międzynarodówki prawicy). Spoza Europy Donald Trump zaprosił m.in. prezydenta Argentyny Javiera Mileia i eksprezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro. Jak z przekąsem skonstatowała amerykańska stacja telewizyjna MSNBC, „lista gości jest jak who is who przywódców skrajnej prawicy".

TRÓJKA Z EUROPY

Pokrewieństwo ideowe ma znaczenie fundamentalne. Jest to jednak, jak się wydaje, czynnik niewystarczający, chociaż konieczny. Widać, że Donald Trump ceni sobie – tak to określmy, z pewną przesadą, zwłaszcza że rzecz dotyczy polityki – stałość w uczuciach. Orbán i Farage od dawna i konsekwentnie go wspierają (to też z nutą przesady, bo jakież małe zwierzę jest w stanie podtrzymywać słonia?), a przegrana Trumpa w wyborach niczego nie zmieniła. Obaj utrzymywali z nim stałe kontakty, obaj byli zapraszani do jego rezydencji w Mar-a-Lago na Florydzie, obaj te więzy podkreślali, nie zważając na dystans, który zachowywali wobec Trumpa mainstreamowi politycy i media.

Do tej dwójki wiernych sojuszników dołączyła Giorgia Meloni, szefowa rządu włoskiego od jesieni 2022 r. I to ona jest dzisiaj ową zaklinaczką czy też raczej dobrą wróżką, od której oczekuje się, że Trumpa zaczaruje i przychylnie usposobi do Europy. Dlaczego właśnie ona?

W europejskiej protrumpowskiej trójce Giorgia Meloni ma najlepszą pozycję. Jest premierem, w dodatku w jednym z najważniejszych państw Unii Europejskiej, trzecim pod względem potencjału gospodarczego i należącym także do grupy G7. Jej rząd jest stabilny – rzadkość we Włoszech, gdzie rządy upadają łatwo i często. Co ważne, chociaż pani premier nie idzie na pasku Brukseli (nie poparła np. kandydatury Ursuli von der Leyen na drugą kadencję na czele Komisji), to nie popadła z Unią w stały konflikt. Nie jest to oczywiście wyłącznie zasługa osobistych talentów Giorgii Meloni, lecz także tego, że Włochy to jednak inny kaliber niż małe kraje, z którymi, mimo obowiązkowych deklaracji o unijnej równości, niespecjalnie trzeba się liczyć.

Viktor Orbán też jest premierem, i to o długim stażu, rządzi jednak krajem niewielkim i w dodatku skonfliktowanym z Brukselą. Na domiar złego to on stoi za powstaniem w Parlamencie Europejskim Patriotów dla Europy, największej dzisiaj z trzech grup skupiających partie prawicy, co grozi zmianą układu sił parlamentarnych, co prawda, w bliżej jeszcze nieznanej przyszłości. Słowem, Orbán nie okazuje Brukseli należytej pokory. Nigel Farage zaś – ekseurodeputowany, dodajmy – do roli łącznika Unii z Trumpem w ogóle się nie nadaje, skoro Wielka Brytania Unię opuściła.

MELONI Z MUSKIEM

„Sojusz już się zawiązał. Oś USA – Unia Europejska przechodzi przez Włochy" – tymi słowy Giorgia Meloni skomentowała na portalu X spotkanie z Donaldem Trumpem, do którego doszło w Paryżu z okazji otwarcia odbudowanej katedry Notre Dame. Właściciel X, Elon Musk, też był wśród gości. Miesiąc później, po niezapowiadanej wcześniej wizycie w Mar-a-Lago tuż po Nowym Roku, Giorgia Meloni przyjęła ton zarazem osobisty i rzeczowy, pisząc: „Miły wieczór z Donaldem Trumpem, któremu dziękuję za powitanie". I dodając, że „jest gotowa do współpracy".

Powitanie istotnie zasługiwało na uwagę. „Jestem w towarzystwie fantastycznej kobiety, pani premier Włoch. Ona naprawdę szturmem podbiła Europę" – komplementował ją Donald Trump w obecności gości, wśród których był m.in. Marco Rubio, sekretarz stanu in spe, oraz dziennikarzy.

Czego dotyczyła rozmowa, oficjalnie nie ujawniono. Wiadomo jednak, że jednym z tematów była kwestia uwolnienia Cecilii Sali, włoskiej dziennikarki zatrzymanej w Iranie w odwecie za aresztowanie na lotnisku w Mediolanie Irańczyka zajmującego się handlem dronami. Sprzedawane przez niego urządzenia zostały, według USA, użyte rok temu podczas ataku na żołnierzy amerykańskich w Jordanii, sprawa zatem w równej mierze dotyczy Ameryki, co Włoch.

Wszystko to nie dzieje się przypadkiem i, co ciekawe, komentatorzy w Europie i w Ameryce mówią właściwie to samo. Weźmy internetowy unijny magazyn „The Parliament", który wyraża dominujące, jak się zdaje, wśród eurokratów przeświadczenie, gdy pisze, że „Giorgia Meloni jest w stanie przerzucić pomost między Unią Europejską i Trumpem". Albo też portal telewizji Fox News, który z kolei podkreśla, jak zbliżone poglądy na wiele spraw, od LGBT do imigracji, mają Trump i Meloni.

Trudno przy tym nie dostrzegać, że oboje łączy dostrzegalna nić zrozumienia. Na długiej, aż dwugodzinnej konferencji prasowej w Rzymie parę dni po wizycie w Mar-a-Lago Giorgia Meloni mocno broniła wypowiedzi prezydenta elekta na temat Grenlandii, Kanady i Kanału Panamskiego, tłumacząc, że „jeżeli Donald Trump coś robi, to ma po temu powody". Fakt, że USA i Włochy będą mieć odtąd konserwatywnych przywódców, tworzy, jej zdaniem, „wartość dodaną i dla Włoch, i dla Europy". Broniła też Elona Muska, odrzucając zarzuty, że działa on w sposób „niebezpieczny dla demokracji". Gdy do polityki miesza się George Soros, mówiła, wszystko jest w porządku. Może zatem chodzi nie o ingerencję, a o to, że Musk nie jest człowiekiem lewicy?

Właśnie przyjaźń z Muskiem, zawiązana latem 2023 r., podczas rozmów w sprawie wykorzystania Starlinku do zapewnienia Internetu wiejskim rejonom Włoch, jest dziś atutem Giorgii Meloni, jej szybką drogą do kontaktu z Trumpem. Skoro Europa coraz wyraźniej zmierza na prawo, to pośrednikiem w kontaktach z Ameryką, po to choćby, by zażegnać wybuch wojny handlowej, może być tylko ktoś z prawicy. Hiszpański premier Pedro Sánchez, któremu marzy się stworzenie antytrumpowskiej koalicji, byłby bez szans.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Jan Bogatko z Berlina

Wolność słowa? Tak, ale tylko dla demokratów. Demokraci? To socjaliści. Reszta to faszyzm. Uczył o tym Stalin. To trzeba mieć na myśli, gdy czytamy w niemieckich gazetach, słyszymy w niemieckim radiu i oglądamy w niemieckiej telewizji o wstrząsającej dla mainstreamu debacie Elona Muska i Alice Weidel na platformie X. No, może nie debacie (w zasadzie oboje byli niemal we wszystkim zgodni), ale rozmowie. Przy czym fakt, że się odbyła, jest tu najważniejszy

Alice Weidel – liderka AfD i kandydatka tej partii na kanclerza Niemiec

FOT. KAY NIETFELD/REUTERS/FORUM

Firewall w polityce niemieckiej

Na długo przed rozmową Muska i Weidel na platformie społecznościowej X (dawniej Twitter) niemieckie media informowały o tym, o czym ona będzie i dlaczego jest nie do przyjęcia przez demokratów. Dla lewicowych, dominujących między Odrą a Renem niemieckich mediów Elon Musk to uosobienie amerykańskiej prawicy; propagandysta Donalda Trumpa. Alice Weidel to z kolei markietanka niemieckiego faszyzmu (nieważne, że go nigdy nie było).

Już jakiś czas temu niemieckie media – jeszcze nie tak dawno temu konserwatywne, centrowe i lewicowe – przejęły bez wyjątku żargon komsomolców. Sama platforma X znalazła się pod obstrzałem niemieckiej demokracji walczącej. Fakt dopuszczenia szefowej Alternatywy dla Niemiec (AfD) do głosu w rozmowie na tej platformie wywołał oburzenie socjalistycznych wyższych uczelni w Niemczech: jak informuje uważana niegdyś za konserwatywną stacja TV ZDF, na skutek protestu przeciwko rosnącej w siłę radykalizacji dyskusji na X ponad 60 uczelni i placówek badawczych w Niemczech zapowiedziało rezygnację z korzystania z tego serwisu społecznościowego. Uzasadnienie: „Aktualne ukierunkowanie platformy Elona Muska jest nie do pogodzenia z wartościami protestujących instytucji, takimi jak otwartość na świat, przejrzystość i demokratyczna dyskusja" – podano we wspólnej informacji dla prasy, opublikowanej na stronie Heinrich-Heine-Universität w Düsseldorfie. Wolność słowa? Tak, ale tylko w takiej formie, jak ją rozumie lewica. Przestaje być dowcipem mówienie o tym, że to RFN przyłączono do NRD, a nie odwrotnie.

Aż 75 minut (o kwadrans dłużej, niż zakładano) trwała z napięciem oczekiwana czwartkowa rozmowa Muska z Weidel. Weidel jest kandydatką Alternatywy dla Niemiec na fotel kanclerza w przedterminowych wyborach parlamentarnych w Niemczech po fiasku lewicowej koalicji Olafa Scholza. Spotkanie na platformie X odbyło się z inicjatywy Elona Muska, podjętej przez Alice Weidel. Nie mogło być zresztą inaczej po tym, jak Amerykanin rodem z Afryki Południowej już wcześniej oświadczył (a nie był to jedyny polityk), że Alternatywa dla Niemiec to ostatnia iskierka nadziei dla RFN. Zdanie to wywołało niekłamane oburzenie wśród lewicowych polityków w Niemczech, do których należy prezydent RFN, Frank-Walter Steinmeier. Zareagował on na słowa Muska o nim: „Steinmeier jest antydemokratycznym tyranem". A przecież wszystko sprowadza się do nieporozumienia wokół definicji słowa »demokracja«". Dla Muska jest ona bezprzymiotnikowa, dla Steinmeiera opatrzona dodatkiem „liberalna". Czyli socjalistyczna. Steinmeier jest socjalistą. Jego partią jest SPD. On nie może inaczej! I nie ma przy tym znaczenia, że partia ta leci na łeb na szyję w przedwyborczych sondażach. Uzyskuje w nich (gdyby wybory do Bundestagu odbywały się w najbliższą niedzielę) od 14 (sondaż Forschungsgruppe Wahlen) do 17 proc. (sondaż instytutu FORSA). A jeszcze w wyborach z 26 września 2021 r. towarzysze uzyskali 25,7 proc. głosów! Powstały w ich wyniku rząd kanclerza Olafa Scholza uzyskał najgorsze oceny w historii RFN.

HITLER BYŁ SOCJALISTĄ

Najważniejszy zarzut niemieckich mediów po dyskusji Musk-Weidel na platformie X dotyczył... silnego niemieckiego akcentu w angielskim polityk AfD.

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. A. M. CHANG/ZUMA PRESS/FORUM

Do tego argumentu kontra uciekają się ci, którzy nie mają czegoś poważniejszego do zarzucenia rozmówcy posługującemu się językiem obcym. Nie, nie – są i dalsze zarzuty. Jak np. ten, że Weidel mówi, iż państwo w Niemczech zawiodło. To wprawdzie przykre, ale tego zdania są… Niemcy. Można tu wskazać lewicowy tygodnik „Die Zeit" z Hamburga. Powołuje się on na sondaż wykazujący, że ponad dwie trzecie Niemców uważają, iż państwo nie daje sobie rady. To najgorszy wynik w najnowszej historii Niemiec. Jeszcze gorsze notowania ma państwo w Niemczech Wschodnich. A więc żaden fake news, o którym piszą po rozmowie Musk – Weidel na platformie X niemieckie media. Również żadnym fake newsem nie są wiadomości o nielegalnej imigracji i polityce imigracyjnej ubiegłych lat. To zresztą problem nie tylko USA i Niemiec. Weidel mówi, że do Niemiec od 2025 r. (zaproszenie kanclerz Angeli Merkel do domków z ogródkami i mercedesów w ramach kampanii „serdecznie witamy" pod adresem lekarzy i inżynierów z Afryki i Azji) przybyły nielegalnie miliony ludzi. „Państwo nie jest w stanie ochronić granic" – mówi Weidel. Lewicowi medialni obserwatorzy rozmowy na X w Niemczech zauważają na twarzy Weidel rozczarowanie, kiedy Musk opowiada o podobnej sytuacji na granicy z Meksykiem. Tam też osadnicy niszczyli dokumenty, by zapobiec deportacji. Administracja USA latami tolerowała ten stan rzeczy. To jasne, Niemcy przecież nie wiedzą, że i w USA latami rządziła lewica. A może jednak obserwatorzy się mylą?

No i wreszcie uczucie ulgi u „obserwatorów", rozmowa schodzi na Adolfa Hitlera. I oskarżenia AfD o nazizm – ukryty lub otwarty. Weidel mówi, że Hitler był wrogiem wolności słowa. I wiedział dlaczego. Nasuwa to pewne porównania. Hitler był socjalistą – mówi Weidel. W Niemczech takie stwierdzenie jest niedopuszczalne i uruchamia od razu mechanizm politycznej cenzury. Jak gdyby partia Hitlera, NSDAP, nie oznaczała wcale: Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza i składała się wyłącznie ze skrótu, który nic nie znaczy. Weidel podkreśliła w rozmowie, że jej partia jest wolnościowo-konserwatywna. Lewicowe media boli takie określenie. Dla nich AfD to „skrajna prawica". To plakatowy termin worek. Nawiasem mówiąc, od drugiej wojny światowej w CDU i CSU (a także SPD) więcej było byłych członków NSDAP niż w AfD. To prawda, że AfD nie powstała po wojnie. Ale prawdą jest też, że wówczas nie było takiej potrzeby. Jak i ta, że niemiecka demokracja w pierwszym etapie historii Niemiec Zachodnich (NRF) była made in USA. Niemieckim lewicowym dziennikarzom wydaje się czasem, że sami ją wymyślili. Takie wrażenie odnoszę, gdy z nimi rozmawiam o polityce i historii.

Naturalnie szczególnie uważnymi słuchaczami rozmowy Musk – Weidel byli… funkcjonariusze niemieckiej policji politycznej (Urząd Ochrony Konstytucji) i urzędnicy Unii Europejskiej. Jak utrzymuje portal Politico, 150 urzędników Komisji Europejskiej śledziło rozmowę Musk – Weidel. To wszystko po to, by znaleźć w wypowiedziach Amerykanina i Niemki cechy przestępstwa. Umożliwiłoby to dobranie się zarówno do platformy X, jak i do niemieckiej polityk. „To fake news" – utrzymuje oświadczenie UE. Tylko dwóch lub trzech pracowników obserwowało transmisję w ramach czynności służbowych – podaje. Na ewentualną wpadkę AfD czeka także administracja niemieckiego Bundestagu. Bada ona, czy bezpłatna oferta rozmowy ze strony Muska pod adresem Weidel nie oznacza aby „nielegalnego finansowania partii" i „ingerencji w kampanię wyborczą". Lewicowe media niemieckie wskazują na fakt, że pomoc ze strony Elona Muska dla Alternatywy dla Niemiec już dzisiaj przyniosła partii Alice Weidel wymierne korzyści. I tak 29 proc. Niemców zamierzających wziąć udział w przedterminowych wyborach do Bundestagu zgadza się z wypowiedzią Muska, że AfD to ostatnia szansa dla Niemiec. Lewicowa elita boi się, że Weidel może zdyskontować ten potencjał w wyborach na rzecz swej partii. Dziwiłbym się, gdyby miało być inaczej. Nie znam przypadku partii politycznej, która nie chce wygrać wyborów, w których bierze udział.

JUNIOR PARTNER AFD

Z kim aktualny lider sondaży przedwyborczych w Niemczech – CDU/CSU – chce rządzić po wyborach w RFN (zakładając, że blok tych dwóch partii wygra, choć nie jest to konieczne)? A więc z SPD, której Niemcy nie chcieli, i Zielonymi. Z obu tymi lewicowymi partiami tzw. chrześcijańskich demokratów nic nie łączy. CDU/CSU może zapomnieć o tym, by wraz z SPD zreformować państwo socjalne czy podnieść Bundeswehrę do rangi znaczącej siły bojowej. Migracja? Z Zielonymi (jak i z SPD zresztą też) CDU/CSU może jedynie pomarzyć o surowej kontroli imigracji. O polityce klimatycznej nie wspominając. Sęk w tym, że tego właśnie żądają wyborcy! Co począć? Odpowiedź jest prosta i bolesna zarazem. Należy sobie postawić pytanie o „firewall", czyli zaporę przeciwko AfD. A szwajcarska gazeta „Neue Zürcher Zeitung" („NZZ"), najlepszy niemieckojęzyczny i jako taki jedyny konserwatywny dziennik w Europie, przypomina o tym (wskazując to jako nauczkę po wydarzeniach w Austrii), że koalicja polityczna musi się opierać wyłącznie na treściach. Te koalicje zaś, których jedynym celem jest powtrzymać innych od rządzenia, skazane są na fiasko. Koszt „firewall" jest wysoki. Ale postawa chadecji w Niemczech jest wygodnicka. Unika ona w szczególnej sytuacji odpowiedzi na ważne pytania. Nie uda się powstrzymać politycznego przeciwnika, ignorując go czy zgoła wykluczając. Trzeba z nim podjąć dyskusję. Dla CDU/CSU znaczy to, że lider chadeckiego bloku – Friedrich Merz – powinien podjąć z AfD przynajmniej rozmowy sondażowe. Wyraźnie określając, co jest możliwe, a co nie. „NZZ" podkreśla, że takim warunkiem jest sojusz transatlantycki.

Przestroga brzmi poważnie: jeśli CDU/CSU postępować będzie według zasady „tak trzymać", to może po wyborach w roku 2029 stać się junior partnerem AfD.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

Lewicowa piramida Ponziego w ogniu

Agnieszka Couderq
z Los Angeles

Przykład Los Angeles w dobitny sposób ilustruje, do czego prowadzą koncepcje stworzone przez biurokratów i lobbystów. Czy my jako Polacy naprawdę pragniemy iść tą samą drogą?

We wtorek 7 stycznia o godz. 10.30 czasu miejscowego w Los Angeles (LA), w jednej z najbardziej prestiżowych części miasta, leżącej nad samym oceanem dzielnicy Pacific Palisades, wybuchł pożar. W ciągu dosłownie kilku godzin płomienie objęły obszar 3 tys. ha. Cztery dni później Pacific Palisades przestało istnieć. Ogień strawił już 22 tys. ha, do niedawna pokrytych kosztownymi posiadłościami, i wkroczył do jednej z najdroższych gmin metropolii Los Angeles, Malibu, wypalając wzdłuż wybrzeża wille lewicowych celebrytów, z których każda była warta co najmniej 20 mln dol. W części południowej zagroził sławnemu ze swego molo i wysokich cen domów miasteczku Santa Monica. W tym czasie, najprawdopodobniej wskutek podpalenia, w Los Angeles wybuchło kolejne pięć pożarów. Śmiertelne ofiary są i będzie ich więcej.

Jest to największa dotychczas katastrofa w historii stanu Kalifornia, a wedle firmy AccuWeather także największy jak dotąd kataklizm w Stanach. Według jej szacunków straty wahają się od 135 do 150 mld dol., ale bilans nie jest zamknięty. Jednak z dymem nie poszły tylko dobra materialne i osobiste szczęście dziesiątek tysięcy ludzi. Spłonęła także liberalna demokracja w jej ostatnio tak wyraźnym odcieniu lewicowym. To jej w dużej mierze Los Angeles „zawdzięcza" obecny stan rzeczy. A przyczyny tego stanu rzeczy winny być starannie studiowane przez Polaków. Teraźniejszość Kalifornii będzie bowiem przyszłością Polski, jeśli nie zmienimy kursu, którym podążają Unia Europejska i ostatnio nasze rządy.

AWANGARDA BEZMYŚLNOŚCI

W sobotę 11 stycznia w obliczu nadal szalejących płomieni i niebotycznych strat Gavin Newsom, gubernator rządzący Kalifornią z ramienia Partii Demokratycznej, zwołał w stolicy stanu – Sacramento – awaryjne spotkanie legislatywy swojego ugrupowania. Jego cel? Z pewnością nie pomoc stanowa dla dotkniętych nieszczęściem. W żadnym wypadku nie to leży na sercu tutejszym demokratom. Tematem było, jak uczynić Kalifornię „odporną na Trumpa". Nie odporną na ogień, którego ryzyko w tym miejscu semipustynnym jest bardzo wysokie,

eprasa.pl 3bd2b0f672

Gavin Newsom (na zdjęciu w czapce), gubernator rządzący Kalifornią z ramienia Partii Demokratycznej, Pacific Palisades, 8 stycznia 2025 r.

FOT. JEFF GRITCHEN/THE ORANGE COUNTY REGISTER/AP/EAST NEWS

lecz na republikańskiego prezydenta, który wolą obywateli został wybrany na ten urząd. Głównym zmartwieniem gubernatora jest nie pożar, a obrona kalifornijskiej lewicowości. Na to gotowy jest wydać 50 mln dol. O 37 mln dol. więcej niż LA na strażaków. Jak nic potrzeba tu więcej nielegalnych migrantów, więcej bezdomnych i sieci kafejek dla transseksualistów. Nie zapominajmy też o jedynie słusznej walce z fake newsami, czytaj: krytyką poczynań kalifornijskich władz. Czy coś wam to przypomina z własnego podwórka?

Wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy to właśnie polityka Newsoma i jego partii leży u źródeł ognia i niezdarnego procesu jego gaszenia. Wystarczy powiedzieć, że na pytanie dziennikarzy o brak wody w hydrantach już pierwszego dnia w Palisades, jednym z najbogatszych miast Ameryki, w stanie o najwyższych podatkach, Newsom odpowiedział, że to nie leży w jego gestii. Nie nadmienił jednak, że wskutek panujących w stanie i mieście przepisów oraz nieudaczności tutejszej administracji, od lutego 2024 r. nieczynny jest zbiornik wodny obsługujący Palisades, o pojemności prawie 500 mln litrów, istotna część systemu przeciwpożarowego tego obszaru. Pomimo rozwoju metropolii ostatnie inwestycje w zbiorniki retencyjne zostały podjęte w roku 1979. Zbędny zdaniem władz miasta sprzęt przeciwpożarowy został wysłany w 2022 r. na Ukrainę. Tego wymagała wówczas prawda czasu i prawda ekranu. A ten ostatni jest bezcenny dla polityków.

Gubernator nie wspomniał również, że w budżecie stanu na lata 2024–2025 obciął o 101 mln dol. kwotę przeznaczoną na przeciwdziałanie pożarom. Podobno stan ma deficyt, co nie przeszkodziło mu w zeszłym roku objąć darmową opieką zdrowotną nielegalnych imigrantów. Koszt roczny – 2,6 mld dol. A co z Amerykanami których nie stać na prywatne ubezpieczenie zdrowotne? Cóż, niech dają sobie radę sami. Brzmi znajomo?

Podobnie postąpiła demokratyczna burmistrz Los Angeles, Karen Bass, dawna aktywistka marksistowskiej Venceremos Brigade, która obniżyła o 20 proc. kwotę przeznaczoną na zwalczanie ognia w mieście, pomimo publicznego protestu mianowanej przez siebie szefowej miejskiej straży pożarnej. Nie dotarło do niej to, że Los Angeles z populacją metropolii porównywalną do nowojorskiej zatrudnia zaledwie 3,5 tys. strażaków, podczas gdy w Nowym Jorku jest ich 11 tys. Zauważyły to jednak firmy ubezpieczeniowe. Niedawno jedna z nich, State Farm, wypowiedziała polisy mieszkańcom Los Angeles. W przeciwieństwie do miejskich władz nie cierpi bowiem na lewicowe bielmo na oczach.

Pożary kalifornijskiego buszu to bowiem rzecz odwieczna, bez względu na zmiany klimatyczne. Tak jak zresztą powodzie w Polsce. Choć z racji ograniczonej pamięci pokoleniowej łatwo jest ludziom wmówić coś innego. Co roku zimą wieją tu z pustyni bardzo silne i suche wiatry św. Anny. Co roku o tej porze wybuchają pożary, najczęściej z tych samych przyczyn: podpalenie, zaprószenie ognia lub niewygaszenie ogniska przez bezdomnych. „LA Times" donosi, że 54 proc. przypadków wzniecenia ognia w mieście spowodowanych jest przez tzw. hobos. A że krąży ich tu prawie 50 tys., to i o pożar nie trudno. Warszawiacy pamiętają przecież pożar mostu Łazienkowskiego w 2015 r. wywołany prawdopodobnie przez warszawskich bezdomnych. Był luty, zimno, a pod mostem, infrastrukturą o charakterze strategicznym, miasto Warszawa zrobiło sobie składowisko drewna. Włodarze stolicy podążają blisko za kalifornijską awangardą absurdu.

Osobną rzeczą jest niefrasobliwe osadnictwo na obszarach zagrożonych naturalnymi katastrofami, za którym nie idą odpowiednie inwestycje zmniejszające poziom ryzyka. Z powodu niekompetencji, braku środków i źle pojętej ochrony środowiska w ostatnich latach na zasiedlonych terenach górskich Los Angeles rozrósł się busz. Niesprzątany chrust zalega na wzgórzach. Wystarczyła jedna iskra, by miasto zapaliło się jak stóg siana.

Niczym innym, jak tylko niekompetencją było działanie władz polskich wobec niedawnej powodzi w południowo-zachodniej części kraju. Już w 2013 r. Interia.pl informowała, że „raport NIK nie zostawił suchej nitki na stanie polskiej ochrony przeciwpowodziowej" – przestarzałe wały, nieforteczna infrastruktura przeciwpowodziowa i tym podobne. Działanie Wód Polskich, które nie spuściły na czas wody ze zbiorników pomimo zagrożenia, to kolejny przykład. Cóż, firmę nadzoruje minister infrastruktury – historyk i politolog. To chyba wszystko wyjaśnia. Sama służba publiczna wysłana do zalanych regionów, by ratować ludzi, była liczbowo niewystarczająca. Gdyby nie samopomoc mieszkańców i przyjezdnych wolontariuszy, byłoby jeszcze gorzej.

PUNKTY ZA POCHODZENIE

Wracając do Ameryki. – Na co zatem idą podatki w Los Angeles? – zapytacie. Ano na to, na co idą teraz częściowo, a wkrótce popłyną całą rzeką w naszym pięknym kraju nad Wisłą: zieloną energię, wzmożoną opiekę nad nielegalnymi imigrantami, walkę z wyimaginowanym rasizmem oraz zwalczanie „mowy nienawiści" wobec mnożących się w oczach wariantów genderowych. Dodatkowo Kalifornia funduje operacje zmiany płci

eprasa.pl 3bd2b0f672

u nieletnich zabranych rodzicom na mocy ustawy stanowej nr AB 957 z roku 2023, mówiącej, że stan może pozbawić praw rodzicielskich rodziców, którzy odmawiają zgody na „seksualną tranzycję" swych nieletnich dzieci.

Linią przewodnią Partii Demokratycznej zarówno na szczeblu stanowym, jak i rządu federalnego jest polityka DEI – Diversity, Equity and Inclusion (różnorodność, równość i integracja). Linia ta lansowana przez możnych tego świata życzliwych demokratom jest niczym innym, jak tylko kolejną utopijną mrzonką na kształt homo sovieticus, a dla wielu także moralną wymówką do skoku na kasę. Pamiętającym czasy komuny od razu przychodzą na myśl punkty za pochodzenie. I słusznie, ponieważ nadrzędna dla koncepcji DEI jest idea, że przy doborze kadr na stanowisko, w przyjmowaniu studentów na uczelnie albo też w ocenie dzieła artystycznego należy się kierować nie kwalifikacjami człowieka czy jakością dzieła, a przynależnością kandydata lub twórcy do określonej grupy mniejszości seksualnej albo rasowej. Dlatego służba pożarnicza Los Angeles, mimo niewystarczającej liczebności, odmawia przyjęcia zgłaszających się białych kandydatów.

Nazwę to „Lewicową piramidą Ponziego". Dlatego że podobnie jak w finansowej piramidzie Ponziego obiecuje się gruszki na wierzbie, których dosięgną – i to niekoniecznie – ci na samym dole. Większość zostanie poszkodowana, gdy piramida pod ciężarem własnego kłamstwa legnie ostatecznie w gruzach. Jakiś przykład poszkodowanych? Proszę bardzo. Oto Boeing – firma lotnicza o stuletniej tradycji. Grozi jej upadek. Przyczyna – złe zarządzanie jakością, które ostatnio doprowadziło do katastrofy lotniczej dwóch wyprodukowanych przez nią maszyn i śmierci ponad 300 ofiar. Ich rodziny skarżą firmę o multimilionowe odszkodowania. Jeśli wygrają proces, to Boeing może stać się niewypłacalny. W zeszłym roku w samolocie Boeing w czasie lotu na dużych wysokościach otworzyły się drzwi. Firma zwolniła dotychczasową prezes i wyniosła na śmieci swój wydział DEI. Jednak teraz może być już ciut za późno.

Takich przykładów jest więcej, a sprawa jest ewidentna i dlatego też kolejne koncerny amerykańskie wycofują się z udziału w lewicowej piramidzie Ponziego. Nawet gwiazdy filmowe, wierni wyznawcy demokratów, zastając kupkę popiołu zamiast przepychu swej willi nad Pacyfikiem, odwracają się z odrazą od nich i ich sposobu zarządzania. Nic tak bowiem nie otwiera oczu na rzeczywistość jak dotkliwa strata.

Czy pozwolimy, by nasz z trudem zgromadzony od upadku komuny kapitał zainwestowano w lewicową piramidę Ponziego?

POLSKA GONI KALIFORNIĘ

Nasze „ministry" i „ministerki" oraz cały rząd Donalda Tuska nie wymyśliły nic nowego. Kopiują wiernie stare, zdezelowane schematy. Jeszcze chwila, a Pakt Migracyjny przyniesie nam więcej dermatologicznego koloru i u nas wprowadzi się w szkołach i zakładach obowiązkowe szkolenia na temat białego suprematyzmu Polaków. W naszym kraju już – podobnie jak w Kalifornii – odchodzi się od stawiania ocen. W końcu dwója to „word violence", czyli „gwałt słowny", choć może bardziej w tym przypadku pasuje „liczebny", a gwałt to, wiadomo, przestępstwo.

Zasadą systemu liberalno-demokratycznego jest ochrona praw mniejszości w konstytucyjnym zakresie, ale w granicach rozsądku i przy zachowaniu ładu społeczno-politycznego. Traktowanie tych mniejszości – bez względu na pochodzenie, stan umysłu, preferencje seksualne czy sytuację w kraju pochodzenia – w jakiś szczególnie preferencyjny sposób stanowi wypaczenie idei demokracji liberalnej, tym bardziej gdy odbywa się to kosztem wypełniania obowiązków względem całego społeczeństwa. A dokładnie to zaszło i nadal zachodzi w stanie Kalifornia i w innych stanach USA rządzonych przez demokratów, w Unii Europejskiej oraz – niestety – od pewnego czasu w Polsce, przy czym od początku roku 2000 proces ten nabiera w naszym kraju tempa.

Polskie rządy na przemian albo przyklaskują, jak PO, albo też ukradkiem, z dala od kamer, jak PiS, ulegają różnym wymyślnym pomysłom unijnym, jak „Fit for 55" czy dekarbonizacja Europy. Według pobieżnych obliczeń nakłady inwestycyjne na transformację energetyczną zgodnie z zobowiązaniami podjętymi przez kolejne polskie rządy w Brukseli, jeśli wierzyć pani Hennig-Klosce i spółce, mają wynieść 792 mld zł do roku 2030. To oznacza roczny koszt w wysokości 132 mld zł przez sześć kolejnych lat. Kwota ta reprezentuje 20 proc. dochodów i 14 proc. wydatków publicznych według budżetu na rok 2025, w którym i tak kole w oczy zakładana pożyczka w wysokości 30 proc. rocznych wpływów do Skarbu Państwa. Dla porównania: środki na służbę zdrowia w tym roku mają wynieść 7–8 proc. wydatków. A że to nie wystarcza, wie każdy chory w Polsce. Państwowy system zdrowotny jest równie niezborny jak przeciwpowodziowy. Nie inaczej będzie z państwowymi inwestycjami w energetyce, a przy obecnym galimatiasie prawno-podatkowym, wysokiej inflacji i wycofywaniu się kolejnych inwestorów z Polski coraz trudniej będzie liczyć na sektor prywatny.

132 mld zł rocznie! Czy ci urzędnicy w Ministerstwie Klimatu i Energii w ogóle wiedzą, co mówią? Wiadomo, papier wszystko przyjmie, mózgi „ministr", jak widać, także. Lud natomiast, co też wiadomo, już nie.

Od 1 stycznia 2027 r. ceny węgla i – do niedawna tak ekologicznego gazu – po obłożeniu opłatami z tytułu CO_2 wzrosną o 20–25 proc. Naturalnym rezultatem będą podwyżki cen energii. A za nimi jeszcze większa inflacja.

Przykład Los Angeles w dobitny sposób ilustruje, do czego prowadzą na pozór poczciwe koncepcje powstałe w małych móżdżkach biurokratów. Najczęściej jednak, niestety, rodzą się one w żądnych władzy i pieniędzy sprawnych mózgach lobbystów reprezentujących partykularne interesy. Wykorzystują oni bezlitośnie „pożytecznych idiotów" do wdrażania swych niecnych planów. Bez rozumienia negatywnych konsekwencji źle pojmowanej szlachetności wszystko prędzej czy później pali się lub tonie. Dlatego nie bez powodu mówi się, że droga do piekła wybrukowana jest dobrymi chęciami. Czy my jako Polacy naprawdę pragniemy tam trafić? Czy naprawdę pozwolimy, by nasz z trudem zgromadzony od upadku komuny kapitał zainwestowano w lewicową piramidę Ponziego?

Czas pokaże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak Himilsbach z angielskim?

Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce może się okazać, że zostaniemy z Tuskiem, jak – nie przymierzając – Himilsbach z angielskim. Albo nawet z Tuskiem i na dokładkę z Trzaskowskim, gdyby zbliżające się wybory prezydenckie wygrał ten reprezentant „uśmiechniętej" Polski.

No bo tak – ledwo miłośnik leworządności Donald Tusk przejął władzę z rąk Jarosława Kaczyńskiego i umościł sobie gniazdko w Alejach Ujazdowskich w Warszawie, a już Donald Trump przejmuje władzę w USA i instaluje się w Białym Domu w Waszyngtonie, Herbert Kickl z Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) montuje prawicowy rząd w Wiedniu, do urzędu kanclerza Niemiec po wyborach pod koniec lutego najpewniej wprowadzi się Friedrich Merz z CDU, a i nie jest już całkiem wykluczone, że tamtejszy rząd będą współtworzyć politycy z Alternatywy dla Niemiec (AfD), dalej – premier Viktor Orbán mocno trzyma się na Węgrzech, takoż premier Robert Fico na Słowacji, a premier Giorgia Meloni we Włoszech, w Rumunii zaś tylko hokus-pokus w urnie uniemożliwił na razie przejęcie władzy przez prezydenta spoza establishmentu. Za to władza prezydenta Emmanuela Macrona we Francji chwieje się w najlepsze, a z kolei pozycja Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen się umacnia.

Więc tak – ani chybi, już wkrótce zostaniemy z Tuskiem jak Himilsbach z angielskim. A może już zostaliśmy? Z Tuskiem, który – jak wiadomo – musi być przez nowego-starego prezydenta USA szczególnie mocno zapamiętany po tym, jak najpierw – w 2016 r. – mając nadzieję na pokonanie Donalda Trumpa przez Hillary Clinton, jako przewodniczący Rady Europejskiej napisał na Twitterze, że jego małżonka miała mu powiedzieć, iż „one Donald is more than enough" – oczywiście mając na myśli swego męża, który potem – w 2019 r. – chwalił się zdjęciem, na którym „strzela" z dłoni ułożonej niczym pistolet w plecy prezydentowi Trumpowi, aż wreszcie który w 2020 r. publicznie suponował, iż „zależność Trumpa od rosyjskich służb nie podlega dyskusji", dodając, że mógł on „wręcz zostać zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu". Czy po takiej serii Trump mógłby zapomnieć Tuska i nie chować do niego urazy? Mógłby. Ale czy to byłoby do Trumpa podobne?

Dlatego należy mieć nadzieję, że do końca kadencji rządów Tuska Polska nie znajdzie się w jakichś straszliwych tarapatach – w jakiejś niecierpiącej zwłoki potrzebie wymagającej pomocy ze strony USA – bo znając niewątpliwe zalety, a także niewątpliwe wady Trumpa, mogłoby się – na nasze nieszczęście – okazać, że właśnie osobista niechęć Trumpa do Tuska mogłaby zaważyć na tym, iż Polacy i Polska mogliby się takiej pomocy jakimś trafem nie doczekać. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kolejna złamana obietnica

Poczynania obecnej władzy rozczarowują kolejne grupy tych, którzy upatrywali w niej zmiany na lepsze po ośmiu latach rządów patriotycznych socjalistów z PiS. Także tych, którzy liczyli na liberalizację gospodarki albo zwiększenie zakresu jawności.

Do tej grupy zalicza się Instytut Finansów Publicznych, kierowany przez dr. Sławomira Dudka. Doktor Dudek wytykał już rządowi Tuska, że wbrew obietnicom nie dokonał konsolidacji finansów publicznych i nadal ogromna część polskich wydatków realizowana jest poza budżetem, poprzez fundusze celowe. Zatem obywatele nie otrzymują jasnej, prostej i jednoznacznej informacji o tym, ile faktycznie wynosi polski dług publiczny.

Teraz IFP skrytykował podejście rządzących do centralnego rejestru umów, czyli systemu, w którym obywatele mieliby możliwość sprawdzania wydatków publicznych również w postaci niskich kwot. Ten rejestr planowany był jeszcze za PiS, ale termin jego uruchomienia przekładano. Ostatecznie miał ruszyć od 2026 r., jednak – jak alarmuje teraz IFP – nic na ten temat nie wiadomo. Problem w tym, że Koalicja Obywatelska obiecywała uruchomienie CRU od… 1 stycznia 2024 r. „Każdy obywatel i każda obywatelka mają prawo wiedzieć, na co władza wydaje nasze wspólne pieniądze" – ogłaszali politycy KO podczas konwencji w 2023 r.

Ale prawdziwą bombą są wieści z Ministerstwa Finansów, że ma zostać radykalnie podwyższona kwota, od której umowy będą odnotowywane w CRU. Pierwotnie była mowa o 500 zł – teraz miałoby to być dopiero 10 tys. zł!

To oczywiście sprawia, że CRU staje się w dużej mierze bezużyteczny. Narzędzie, które miało umożliwiać zwykłym obywatelom kontrolę nawet drobnych wydatków administracji, miałoby próg ustawiony tak wysoko, że wystarczyłoby rozbijać kontrakty na kilka umów po 9999 zł, żeby ominąć wymóg publikacji w CRU. Trzy takie umowy i już mamy, bagatela, 30 tys. zł. Znacznie trudniej byłoby tego rzędu sumy upychać w umowach po 499 zł. A warto pamiętać, że CRU ma objąć także samorządy.

W badaniu przeprowadzonym dla IFP 97 proc. respondentów uznało, że umowy zawierane przez publiczne podmioty powinny być jawne. I co z tego? Zamiast jawności niewygodnej dla każdej władzy dostaniemy kolejny rozdział „rozliczeń". ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

Z Grzegorzem Płaczkiem, posłem Konfederacji ze Śląska
rozmawia Jakub Zgierski

Nasze bezpieczeństwo energetyczne jest zagrożone

JAKUB ZGIERSKI: Coraz większa część naszego społeczeństwa zaczyna rozumieć, że Europejski Zielony Ład zdemoluje nie tylko polski przemysł i rolnictwo, lecz także wiele innych powiązanych sektorów, choćby górnictwo. Ile jest w tym prawdy?

GRZEGORZ PŁACZEK: Niestety, wszystko wskazuje na to, że to prawdziwa diagnoza. Wdrażany Europejski Zielony Ład rzeczywiście zdemoluje polską energetykę. Z roku na rok Polska staje się krajem coraz bardziej uzależnionym od energii produkowanej z surowców, których, jako państwo, nie posiadamy. Nasze bezpieczeństwo energetyczne jest zagrożone. Niebezpiecznie zmierzamy w kierunku, kiedy coraz więcej Polaków będzie narażonych na ubóstwo energetyczne. Mimo ogromnego uzależnienia naszej energetyki od węgla kamiennego i brunatnego w naszym systemie energetycznym coraz częściej dominuje droga energia z OZE oraz gazu, którego nie posiadamy w wystarczającej ilości. A jeśli już Polska sięga po węgiel, to zwykle nie ten z polskich kopalń, tylko z importu.

30 października 2024 r. zwróciłem się w trybie interwencji poselskiej do minister przemysłu Marzeny Czarneckiej z pytaniami dotyczącymi planów zamykania kopalń w Polsce. Otrzymałem odpowiedź, że w 2026 r. zaplanowano zakończenie wydobycia w PAK KWB Konin SA, natomiast w odniesieniu do KWB Bełchatów zakończenie eksploatacji zaplanowano do września 2038 r. Zwalniani pracownicy będą co prawda korzystali z uprawnień do urlopu górniczego lub jednorazowej odprawy pieniężnej, ale to niczego nie rozwiązuje. Przecież w samej Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów zatrudnionych jest obecnie 4260 pracowników.

Działania rządu nie mają żadnego sensu – z jednej strony zamykamy kopalnie w Polsce, a z drugiej strony import węgla kamiennego z 8,3 mln ton w 2015 r. wzrósł do 20,2 mln ton w 2022 r. Jeśli zatem węgla nie wydobywają kopalnie w Polsce, to w głąb ziemi sięgają po niego inne państwa. Na ograniczaniu wydobycia węgla tracimy również finansowo. Dość powiedzieć, że sama Jastrzębska Spółka Węglowa SA, która w 2022 r. mogła pochwalić się wynikiem finansowym na poziomie 7 mld zł netto, w 2023 r. opublikowała informację, że zysk wyniósł już tylko nieco ponad 1 mld zł.

Przecież Polska ponoć węglem stoi... A z pana ustaleń wynika, że zwijamy nasze górnictwo na własne życzenie. Właśnie – czy aby na pewno na własne?

Tutaj tkwi paradoks. W ciągu ostatnich dwóch lat do Polski sprowadzono ok. 40 mln ton węgla. To węgiel z importu! Pomimo tego, że był on kupowany po horrendalnie wysokich cenach, bo po 200–300 dol. za tonę, to w zdecydowanej większości był węglem słabej jakości. Ale nikomu to nie przeszkadzało. Do dziś ogromna część tego importu zalega na placach składowych elektrowni, w portach lub innych miejscach składowania w całym kraju. Rządzący nie przejmują się, że po tak długim okresie węgiel ten jest już zdegradowany i nie ma wielkiej wartości. Gdyby chcieć go sprzedać, trudno byłoby osiągnąć cenę przekraczającą 50 dol. za tonę. A był przecież kupowany po wielokrotnie wyższych stawkach.

Ale to dopiero początek, bo tu wiele więcej rzeczy nie ma sensu. Szacuje się, że w Polsce tego sprowadzonego węgla jest nadal ok. 14–16 mln ton. Jest to niemal roczna produkcja największej polskiej spółki wydobywczej, czyli Polskiej Grupy Górniczej (PGG). Elektrownie, zasypane węglem z importu, nie odbierają węgla od krajowych dostawców – dlatego zwały polskich kopalń są niemal

eprasa.pl 3bd2b0f672

FOT. ADOBE STOCK

pełne! W ten sposób Polska, posiadając ogromne zasoby własnego węgla, utrzymuje dziesiątki tysięcy miejsc pracy dla górników w różnych egzotycznych krajach, takich jak Kolumbia, Kazachstan, RPA czy Australia. Paradoksalnie produkujemy niewiele mniej energii z węgla, ale polityka klimatyczna Unii Europejskiej sprawiła, że zdecydowanie mniej energii produkujemy z rodzimego polskiego węgla. Już teraz co trzecia megawatogodzina produkowana z węgla kamiennego wytwarzana jest z węgla importowanego.

Ale przecież to brzmi absurdalnie. Jeśli już iść tokiem rozumowania klimatystów, to takie podejście wcale nie ratuje środowiska w skali globalnej, a co najwyżej redukuje polskie wydobycie kosztem innych gospodarek świata.

Oczywiście! I aby unaocznić zakres tego absurdu, wystarczy zestawić dwie liczby i szerzej popatrzeć na sytuację w naszym kraju. Polska produkuje ok. 30 mln ton węgla energetycznego i ok. 10 mln ton węgla koksowego. Swoją drogą, węgiel koksowy uznawany jest za strategiczny surowiec w Unii Europejskiej. Tymczasem światowa produkcja węgla to ponad 8,5 mld ton. I ciągle rośnie. Dlaczego więc z taką konsekwencją niszczony jest obecnie polski węgiel, skoro stanowi zaledwie ułamek procenta światowego wydobycia? Na to pytanie powinny odpowiedzieć wszystkie poprzednie rządy, które z ogromną determinacją niszczyły polskie górnictwo i energetykę. Import węgla i stałe ograniczanie własnego potencjału wydobywczego doprowadziły do sytuacji, w której na zwałach polskich kopalń leżą miliony ton węgla, elektrownie spalają węgiel importowany, a polskie państwo importuje coraz więcej energii.

Kto na tym traci?

Odpowiedź jest prosta: Polacy! Te wszystkie działania doprowadziły do coraz wyższych rachunków, które nasi rodacy płacą obecnie za energię elektryczną i ciepło. W rezultacie polski przemysł upada, gdyż jest coraz mniej konkurencyjny. Państwo polskie nie potrafi nawet zadbać o polskie rodziny, a przecież w Polsce aż 3,5 mln gospodarstw deklaruje, że do ogrzewania własnych domów używa węgla. A może ktoś myśli o polskich rolnikach i producentach rolnych, którzy muszą korzystać z węgla? Niestety, nie! Wydawałoby się oczywiste, że polskie rodziny i rolnicy powinni palić w piecach węglem z polskich kopalń, dając pracę polskim górnikom. Niestety, tak się nie dzieje.

Mógłbym naiwnie zapytać, czy może rządzący tego nie widzą, ale w tej sprawie trudno być adwokatem diabła.

A może nie chcą widzieć? Pomyślmy. Węgiel z polskich kopalń został niemal całkowicie wyparty z rynku obiorców indywidualnych: rynku rolno-spożywczego i komunalnego. Ogromne ilości węgla płynęły i płyną z importu. Niewiele pomogło embargo nałożone na węgiel z Rosji, nadal zalewa nas bowiem import węgli grubych i średnich dla odbiorców indywidualnych. Polacy bezskutecznie poszukują rodzimego węgla. Produkujemy go jednak zdecydowanie mniej, niż wynikałoby to z zapotrzebowania rynku. Polski rząd, a konkretnie Ministerstwo Klimatu i Środowiska, pod naciskiem Unii Europejskiej, zamierza wprowadzić nowe, jeszcze bardziej rygorystyczne normy jakości węgla, które sprawią, że węgli grubych i średnich dla odbiorców indywidualnych w Polsce będziemy mieli jeszcze mniej. Zostaniemy więc zmuszeni do płacenia dużo więcej za węgiel z importu. Dlaczego? Ponieważ węgiel importowany nie będzie objęty wyśrubowanymi normami jakości. Za unijną politykę klimatyczną Polacy już płacą ogromny rachunek, a najgorsze dopiero przed nami. Czekają nas rosnące ceny energii oraz ciepła, a w konsekwencji wzrost cen towarów i usług.

Zwolennicy Europejskiego Zielonego Ładu stwierdziliby, że celem jest ochrona naszej planety, a Unia Europejska ma dać przykład całemu światu. Próbując mimo wszystko wejść w buty obrońcy złej sprawy, zapytam tak: Może w tym szaleństwie jest metoda, a rządzący działają w słusznej sprawie, czego pozytywne rezultaty zauważymy po latach?

Zarzynając finansowo Polaków, ratują świat od zagłady? Zwłaszcza gdy najwięksi emitenci gazów cieplarnianych. tj. Chiny, USA czy Indie, nadal utrzymują, a nawet zwiększają poziom emisji CO_2 do atmosfery? Przecież Polska w tym zestawieniu państw niemal nie istnieje. Najwięksi emitenci gazów cieplarnianych, w przeliczeniu na osobę, to Arabia Saudyjska, USA, Kanada, Korea Południowa, Rosja, Japonia, Chiny, Niemcy, Iran, RPA, Turcja, Meksyk, Indonezja, Brazylia i Indie. Także w tym zestawieniu próżno szukać naszego kraju. Ktoś może wytłumaczyć Polakom, dlaczego to właśnie polski węgiel stał się głównym winowajcą zmian klimatycznych i wrogiem numer jeden europejskiej polityki klimatycznej, zwanej Europejskim Zielonym Ładem?

W 1997 r. Unia Europejska została stroną protokołu z Kioto. W kolejnych latach uruchomiono m.in. Europejski System Handlu Emisjami (ETS). To wszystko działo się ok. 2000 r. Światowe wydobycie węgla kamiennego wynosiło wówczas 3,64 mld ton. Minęło ponad 20 lat. W 2024 r. wydobycie przekroczyło aż 8,7 mld ton! Robi się z Polaków głupców i czas zacząć walczyć, a nie przyglądać się biernie, jak rujnuje się polskie kopalnie i uzależnia polską energetykę od obcych państw. A jest jeszcze cień nadziei, gdyż do końca 2025 r. rząd nie przewidział na dziś zamknięcia kopalń węgla brunatnego w Polsce. Ktoś musi wreszcie powiedzieć: Dość absurdom!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3bd2b0f672

BMW 120

FOT. JAP

To już czwarta generacja (F70) niezwykle udanego samochodu ze stajni koncernu w Monachium. Dwie dekady od debiutu pierwszej odsłony ten „kompakt klasy premium" nabrał jeszcze bardziej drapieżnego i dynamicznego wyglądu. Sportowy charakter podkreśla zaś pochylona do przodu podwójna atrapa chłodnicy.

Sercem tego modelu jest trzycylindrowy silnik o pojemności 1499 cm sześc. wspomagany przez silnik elektryczny. Taki zestaw zapewnia przyspieszenie od zera do 100 km/h w 7,8 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 226 km/h.

Chociaż BMW 120 to kompakt, to auto jest zdecydowanie większe, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. I to mimo że zostało zbudowane na tej samej platformie FWD, co generacja trzecia. Popularny model bawarskiej marki w najnowszej odsłonie wydłużył się do 4361 mm (o 42 mm), urósł do 1459 mm (więcej o 25 mm), jest też o 1 mm szerszy (1800 mm). Miejsca w kabinie jest więc sporo (choć na tylnej kanapie mogłoby być go więcej). Samo wnętrze ma elegancki i minimalistyczny charakter. Na pokładzie znalazły się duży, zakrzywiony wyświetlacz o przekątnej 10,7 cala oraz dopracowany system multimedialny z asystentem głosowym, który w końcu nauczył się języka polskiego. Podczas postojów można na nim oglądać filmy i seriale albo zagrać w gry wideo. System bez najmniejszego problemu współpracuje bezprzewodowo z Android Auto i Apple CarPlay. Za kierownicą znalazł się również drugi ekran (o przekątnej 10,25 cala), który wyświetla cyfrowe zegary. Opcjonalnie dostępny jest również kolorowy Head-Up Display. Sama kierownica ma gruby, skórzany wieniec, który bardzo dobrze leży w dłoniach.

Bagażnik przez hybrydową instalację jest dość skromny. Jego pojemność to 300 l (z opcją powiększenia do 1135 l).

Auto świetnie się prowadzi i daje sporo przyjemności z jazdy. Nie ma też wcale dużego apetytu na paliwo. Podczas testu średnie spalanie – miasto, drogi krajowe, autostrada – wyniosło 6,9 l/100 km.

Na pochwałę zasługują także systemy wsparcia kierowcy. Komputer nie tylko utrzymuje samochód na właściwym torze jazdy, lecz także potrafi samodzielnie ruszać i hamować, ułatwia jazdę w korkach. Z kolei asystent świateł drogowych bardzo sprawnie wycina ze stożka światła samochody jadące z naprzeciwka. Auto można też skonfigurować tak, aby do niektórych funkcji mieć dostęp z poziomu aplikacji na smartfon. Umożliwia to np. podgląd obrazu z kamer podczas postoju. Można też zdalnie włączyć światła lub uruchomić klakson, aby odstraszyć potencjalnych złodziejaszków.

Ceny najnowszej generacji BMW serii 1 zaczynają się od 118,1 tys. zł – za taką kwotę można kupić BMW 116 z silnikiem o mocy 122 KM. Na BMW 120 w podstawowej wersji z jednostką o mocy 170 KM trzeba wydać 136,3 tys. zł. Wersja 120 M to już wydatek co najmniej 141,7 tys. zł. Samochód testowy z adaptacyjnym zawieszeniem, sportowymi fotelami i szklanym panoramicznych dachem wyceniony był na ok. 165 tys. zł.

NUBIA FLIP 5G

Kieszonkowy rozmiar, intrygujące wzornictwo, niesamowicie niska cena jak na składany model, bardzo dobry wyświetlacz, moduł 5G oraz stosunkowo wysoka jakość wykonania – to największe zalety smartfona chińskiej marki Nubia.

Design testowanego modelu na pewno pozwala wyróżnić się w tłumie. Telefon po złożeniu bez trudu mieści się w kieszeni. Po rozłożeniu jest zaś tak funkcjonalny jak inne smartfony z dużym ekranem. Główny wyświetlacz typu AMOLED ma przekątną 6,9 cala, rozdzielczość Full HD+ (2790 x 1188) i odświeżanie ekranu na poziomie 120 Hz. Po rozłożeniu wyświetlacz pozostaje gładki, a szczelina między dwoma połowami ekranu jest niemal niewidoczna. Zewnętrzny ekran OLED ma zaś kształt koła i przekątną wynoszącą 1,43 cala. Poza tym, że ciekawie wygląda, jest też przydatny na co dzień. Wyświetla godzinę i powiadomienia, pozwala też łatwo oddzwonić, jeśli mamy nieodebrane połączenie.

Metaliczne wykończenie obudowy ważącego 214 g smartfona sprawia, że na obudowie nie widać odcisków palców. Aluminiowa ramka i zawias sprawiają wrażenie solidnych. Producent zapewnia, że zawiasy i składany ekran zostały przetestowane i powinny wytrzymać składanie oraz rozkładanie ponad 200 tys. razy.

Sercem urządzenia jest procesor ośmiordzeniowy Qualcomm Snapdragon 7 Gen 1 wspierany przez 8 GB pamięci RAM. Wydajność nie rzuca na kolana, ale dla przeciętnego użytkownika będzie zadowalająca. Na dane producent przewidział 256 GB.

Aparat główny z matrycą 50 Mpix w dobrym świetle robi przyzwoite zdjęcia. W gorszych warunkach oświetleniowych jakość fotografii pozostawia sporo do życzenia. Aparat do selfie o rozdzielczości 16 Mpix również nie zachwyca, ale robi swoje.

Bateria ma pojemność 4310 mAh, co powinno wystarczyć na cały dzień użytkowania. W razie potrzeby rozładowany akumulator do 50 proc. można naładować w niecałe 20 minut. Plusem jest też modem 5G, który umożliwia szybki transfer danych. Fajnie, że producent w zestawie załącza zarówno 33-watową ładowarkę, jak i przewodowe słuchawki. Umieszczony z boku czytnik linii papilarnych działa bez zarzutu. Całkiem nieźle grają też głośniczki stereo.

Podobnie jak inne składaki Nubia Flip wymaga delikatniejszej obsługi niż przeciętny smartfon. Nie ma tu też certyfikatu odporności na wodę i kurz. Lepsze mogłyby być też tłumaczenie systemu na język polski. Mimo to Nubia Flip 5G to ciekawy model dla tych, którzy chcą sprawdzić, jak działa nowoczesna odmiana telefonu z klapką, ale nie zamierzają wydawać fortuny. Cena: 1999,99 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 3bd2b0f672

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zamek zapomnianego Batorego

JACEK KOMUDA

Ruiny zamku w Besiekierach na wschód od Konina, malowniczo wpasowane w płaską jak stół równinę środkowej Polski, pokazują, jak wiele warowni i dworów przetrwałoby, gdyby Rzeczpospolita nie straciła pod koniec XVIII w. niepodległości. I jak zachowanie tych zabytków odmieniłoby oblicze naszego kraju. Zamek położony jest ciekawie, bo na sztucznej wyspie na jeziorze. Przypomina nam, że większość obronnych rezydencji i fortec z dawnych wieków otoczona była wodą – szerokimi fosami często połączonymi ze stawami i sadzawkami. Zazwyczaj nie przetrwały one do dziś.

Besiekiery zbudowane zostały pod koniec XV w., prawdopodobnie przez któregoś przedstawiciela rodu Sokołowskich; być może był to stolnik brzeski Mikołaj albo jego krewny – Wojciech. Zamek wzniesiono w stylu gotyckim, a pierwsza przebudowa nastąpiła pod koniec kolejnego stulecia, kiedy Krzysztof Sokołowski sprzedał go kard. Andrzejowi Batoremu. Ten bratanek króla Stefana przebywał w Polsce w czasie jego panowania, kształcił się, a dzięki poparciu stryja zdobywał kolejne godności kościelne. Najpierw był kanonikiem warmińskiej kapituły, potem prepozytem w klasztorze w Miechowie, wreszcie opatem czerwińskim. Batory wielokrotnie posłował w imieniu króla Stefana, a po jego śmierci był nawet wysuwany przez kanclerza Jana Zamoyskiego jako kandydat na króla. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, jednak w 1589 r. został biskupem warmińskim.

RYS. QBA

Andrzej Batory FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niestety, dalsze losy Andrzeja były smutne. W 1599 r. jego brat przekazał mu władzę w Siedmiogrodzie. Batory udał się tam, został jednak pobity przez hospodara wołoskiego Michała Walecznego i zamordowano go w trakcie ucieczki. Wcześniej jednak, bo ok. 1597 r., został właścicielem Besiekier i przebudował zamek, który od tej pory stał się rezydencją rodu Batorych. Mieszkała tam m.in. Zofia Batorówna, urodzona w 1629 r. córka ostatniego męskiego potomka gałęzi rodu pochodzącej z Somlyó, oraz jej mąż Jerzy II Rakoczy, późniejszy książę siedmiogrodzki. Był to ten sam Rakoczy, który podpisał traktat sojuszniczy ze Szwedami w Radnot i w 1657 r. najechał Rzeczpospolitą, próbując zająć Małopolskę i zdobyć koronę. Jak widać, jego związki z Polską były dość bliskie.

W chwili ataku Rakoczego na zrujnowaną po potopie szwedzkim Rzeczpospolitą Besiekiery nie były już jednak własnością księcia i jego żony. W 1653 r. zamek nabył wojewoda brzesko-kujawski Jan Szczawiński, który dokonał kolejnej rozbudowy. W chwili świetności była to już rezydencja zbudowana z cegły i kamienia, miała wjazd przez wieżę bramną i czworokątny dziedziniec. Od strony północnej zamykał go dom mieszkalny mający na parterze cztery komnaty oraz dwa piętra wysokości. Przy bramie znajdowały się murowane budynki gospodarcze. Ściany były otynkowane, poszerzono kopiec ziemny, wykonano nadbudowę budynku bramy. Do murów dodano arkadowe krużganki prowadzące do zabudowań gospodarczych przy bramie i znajdującej się tam kaplicy.

Zamek zaczął podupadać od czasu najazdu Szwedów, nie leżał jednak jeszcze w zupełnej ruinie. Lustracje z początków XVIII w. podają, że na pierwszym piętrze domu mieszkalnego ciągle znajdowały się pokoje: karmazynowy i marmurowy, sień oraz wielka izba stołowa. Powolny upadek zaczął się w kolejnym stuleciu, kiedy Besiekiery były w posiadaniu rodziny Gajewskich. W 1731 r. wybuchł tutaj pożar, później zamek niszczał pomimo dokonywania kilku remontów; w czasie jednego z nich rozebrano górne piętro domu mieszkalnego. Rezydencja obracała się w ruinę nie tylko z powodu ogólnego upadku Rzeczypospolitej i zubożenia właścicieli, lecz także dlatego, że dawny zamek nie był już, jak na standardy mieszkaniowe końca XVIII w., wygodnym mieszkaniem. Kiedy został opuszczony ok. 1800 r. i później był wykorzystywany tylko jako budynek gospodarczy, czekał go powolny koniec. Smutnym świadectwem tego są rysunki z połowy XIX stulecia pokazujące główny dom mieszkalny kryty zwykłą strzechą. Zamek można by jeszcze wówczas ocalić, gdyby istniało polskie państwo; gdyż np. we Francji w tym samym czasie rząd przeznaczał duże środki na restaurację leżących w ruinie prywatnych zamków. Zaborcy nie byli jednak zainteresowani odbudową pamiątek chwały i znaczenia dawnej Rzeczypospolitej. Besiekiery podzieliły zatem los innych zamków – porzucone w Czersku, w Rawie, w Ciechanowie stały się darmowym składem cegieł i kamieni. Dziś pozostały po nich tylko malownicze ruiny na wyspie. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Curry na gardło

Okres zimowy to – oprócz miłych doznań, gdy korzystamy z dobrodziejstw śniegu – także czas przeziębień, podziębień i bólu gardła. Czy pożywieniem możemy zniwelować takie właśnie stany, kiedy choroba jeszcze się nie rozwinęła, a już daje nam pierwsze symptomy? W książce „Co radzą zioła?" Bartosz Jemioła podaje setki domowych sposobów na leczenie stanów zapalnych i przeziębień. Znalazłyśmy wśród nich także jeden całkiem smaczny, który zainspirował nas do poszukania dań z użyciem kurkumy.

Ale najpierw ów specyfik.

Po łyżeczce kurkumy, miodu i oliwy mieszamy starannie do uzyskania pasty. Gdy czujemy drapanie lub pobolewanie gardła – powoli zjadamy mieszankę, rozprowadzając ją po gardle. Stosować cztery–pięć razy dziennie.

Kurkuma ma potwierdzone działanie przeciwzapalne, łagodzi obrzęk i ból gardła. Ale ma ona także ciekawy smak oraz kolor i doskonale nadaje się do rozgrzewających potraw, które dobrze jest zjadać zimową porą.

Proponujemy lekkie, ale sycące danie z użyciem warzyw i sera tofu:

• 1 łyżka oleju roślinnego • 1 cebula • 1 czerwona papryka • 2 ząbki czosnku • 3 cm świeżego imbiru • po 1/2 łyżeczki przyprawy curry, kurkumy i kuminu • 500 ml mleczka kokosowego • 125 ml passaty pomidorowej • 180 g tofu • 80 szpinaku sałatkowego • 1 łyżka soku z limonki • 200 g białego ryżu • świeża kolendra

Przygotowanie

Do woka lub szerokiego rondla wlewamy olej i dodajemy pokrojoną w kostkę cebulę oraz paprykę. Smażymy, mieszając przez ok. 4 min, doprawiamy solą oraz pieprzem. Dodajemy przeciśnięty przez praskę czosnek oraz obrany i starty na drobnej tarce imbir. Smażymy przez ok. 1–2 min. Na koniec dodajemy przyprawy curry, kurkumę i kumin. Wlewamy mleko kokosowe oraz passatę, mieszamy i doprowadzany do wrzenia. Dodajemy pokrojone w kosteczkę tofu i gotujemy przez ok. 4–5 min. Na koniec mieszamy ze szpinakiem, doprawiamy sokiem z limonki, podajemy z ryżem i posypujemy świeżą kolendrą. ©℗

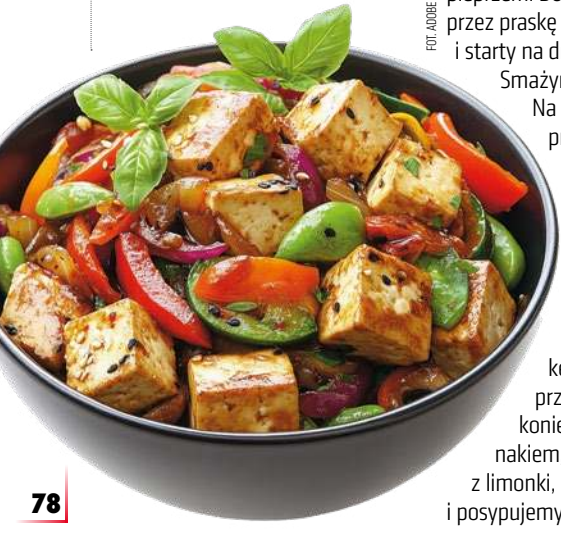

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dzieci różnych epok

Jak każdy dotyczący wychowania dzieci, tak i ten wpis Klubu Jagiellońskiego na Facebooku pociągnął za sobą długi ogon odpowiedzi. Każdy zna temat i każdy gotów jest nie tylko udzielić paru dobrych rad, lecz także powspominać. Własne dzieciństwo oczywiście, kiedy pogoda była ładniejsza, a dzieci grzeczniejsze.

„Otóż kiedyś, w latach 90. i dwutysięcznych, dużo łatwiej było mieć dzieci. Owszem, myśląc jedynie ekonomicznie o poziomie zarobków, bezrobociu, stopie życia Polaków – tak, biorąc pod uwagę jedynie te powody, każdy się zgodzi, że łatwo nie było. Jednak pod każdym innym względem było o wiele prościej. Sama wychowywałam się w tamtych latach i dobrze pamiętam, jak to wszystko wyglądało. W klatce, w bloku, gdzie mieszkałam, było jeszcze kilka sąsiadek z dziećmi w podobnym wieku [...]. Dzieci stanowiły po prostu wspólne dobro. Teraz jest to prywatny obowiązek danej rodziny. Zniknęły rodziny wielopokoleniowe, ponieważ w tamtych czasach namawiano każdego, aby wyjeżdżał ze swojej rodzinnej miejscowości do dużego miasta, bo na prowincji pracy nie było".

Żeby nie było, że ja na ten temat nie mam nic do powiedzenia. Oczywiście mam, i to dużo, bo moje doświadczenie pedagogiczne rozciąga się aż na dwie epoki. Pierwsza transza naszych dzieci (w liczbie dwóch) wychowała się na podwórku warszawskiego osiedla Stegny w późnych latach 70. Chłopcy ganiali samodzielnie, z mamą wychylającą się tylko od czasu do czasu z okna, żeby sprawdzić, czy żyją. A okoliczności bywały dramatyczne, gdyż razem z grupą kolegów z podwórka w piwnicy naszego budynku chłopcy prowadzili pirotechniczne studio eksperymentalne. Obaj przeżyli, obaj są profesorami Uniwersytetu Warszawskiego, budynek również przetrwał.

Nasz najmłodszy syn urodzony w roku 1993 jest produktem tej samej epoki, którą z nostalgią wspomina autorka Klubu Jagiellońskiego. On doświadczył wszystkich błędów i wypaczeń tych czasów. Nie mieszkaliśmy już na gierkowskim osiedlu, nie było samodzielnych zabaw na podwórku, do przedszkola można było pójść jeszcze piechotą, ale już do szkoły trzeba było jechać samochodem.

Uważam, że środowisko, w którym rośli chłopcy, odbiło się na sposobie, w jaki teraz wychowują własne dzieci. Moje starsze wnuki są bardziej samodzielne, najmłodszy trzylatek jest dzieckiem, od którego wszystkie trudności są odsuwane, zanim zdążą się pojawić. Lata 90. nie były jeszcze czasem postgierkowskiej swobody, to były już czasy nadpsute zachodnim stylem życia. Jeszcze rocznym dzieciom nie wtykano w ręce komórek, ale nowe już przyszło. Izolacja społeczna, prywatne szkoły, dobrobyt.

Im cięższe czasy, tym lepsze dzieci wychowanie. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Demokracja warcząca

Ostatnio na Fejsie trafiłem na post swego dawnego kolegi, kolejnego, z którym mnie poróżniła „jej, Poli Raksy, twarz", czyli polityka. Mimo że odłączyłem się od obserwacji jego profilu, gdyż nie chciałem tracić wiary w ludzi, to od czasu do czasu Fejsik mnie znajduje z kolegi wpisami. Dzięki temu mam wątpliwą przyjemność obserwowania uśmiechniętego ekstremum, którego oblicze przypomina coraz bardziej uśmiechniętą twarz Jokera z pierwszych odcinków „Batmana". Niby widzimy uśmiech, a jest jakaś upiorna w nim przesada.

Kolega opublikował manifest wzywający do wzmożenia i niecackania się (sic!) z pulardą. Trzeba PiS-owców wyłapać i docisnąć, wszelkie poczynania z prawem, „jak je rozumiemy", zostały zaś w tekście ocenione jako gnuśność. Trzeba czynu! W tej sytuacji wziąłem sobie jakoś na wstrzymanie, ale kompletnie przebudziły mnie komentarze wzmożonego gronka. Jeden był już tak ciekawy, że nie wytrzymałem i się włączyłem. Szło to tak:

Wzmożony: „Uważam, że czas na »pokojowe« rozwiązania już się skończył i »wyjście na ulicę« musi być razem z wojskiem i razem z policją w celu spacyfikowania PiS-u".

Ja: „A konkretnie jak ma wyglądać to pacyfikowanie na ulicach pod ramię z wojskiem? Konkretnie, proszę, bo obserwacja tej tu dyskusji to szalenie ciekawe wątki do pociągnięcia w jakiejś pracy doktorskiej. Z psychiatrii...".

Wzmożony: „Ze względu na odpowiedzialność karną nie mogę tego konkretnie sformułować – domyśl się sam".

Ja: „Czyli kolega liczy na niepoczytalność. Myślę, że się uda".

Wzmożony: „Liczę na ostrą amunicję"

Ja: „No to tylko niepoczytalność może Waść uratować".

Wzmożony: „Czy strzelanie do PiSdzielców byłoby niepoczytalnością czy oznaką patriotyzmu?!".

Tak, kochani. Wy tu sobie gadacie na prawicy, że lud tak przycisnęło, że może wyjść na ulicę, bo Tuski rujnują kraj. A tu wychodzi, że oni to jacyś centrowcy, którzy tylko gadają, coś tam zaczną i nie skończą, w kraju, w którym „nic nie dzieje się naprawdę". Bo okazuje się, że to oni są dociskani ze strony jeszcze bardziej ekstremalnej, która chce – pod rękę z mundurowymi – wychodzić na ulice i strzelać do PiS-owców. Ciekawe, czy Tusk o tym wie? I czy wiedzą mundurowi?

Okazuje się, że nowa władza rozpętała żywioły, nad którymi ciężko będzie zapanować. I nie jest to – à propos i ku pamięci – żadne wytłumaczenie. Wszak większość rządząca widziała, jaki wiatr sieje. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Fałszywe tony Orkiestry

Tym, co chciałbym dodać do tekstu Rafała A. Ziemkiewicza „Ostatnie tango z Owsiakiem" („DRz" nr 3/2025), jest wymowny epizod konfliktu Jurka – organizatora festiwalu Pol'and'Rock – z twórcami Przystanku Jezus. Ksiądz Artur Godnarski, inicjator przedsięwzięcia, które ulokował w pobliżu pola namiotowego festiwalu, stworzył z wolontariuszami miejsce pomocy dla młodych, którzy nadużywali alkoholu i innych substancji psychoaktywnych, a przede wszystkim docierał do nich z Ewangelią.

Jurkowi zaś chodziło o to, by nie pokazywać, że na Przystanku Woodstock (poprzedniku Pol'and'Rock) są jakiekolwiek problemy. Wiem, bo podobnie było w przypadku, gdy Marek Kotański zabiegał o stworzenie na Woodstocku lazaretu, by pomagać zaćpanym dzieciakom. Choć interwencje medyczne i liczne świadectwa potwierdzały, że problem jest realny, to Jurek odrzucił ofertę Monaru. Jak twierdził, na festiwalu nie ma narkotykowego zagrożenia, a wszelkie oskarżenia to bredni szerzone przez prawicę i Radio Maryja.

Byłem podczas mediacji ks. Artura z Owsiakiem. Wskazywaliśmy mu m.in., że przecież potężna ekipa Hare Kryszna ma swoje miejsce w centrum pola namiotowego. Jurek jednak nie zgadzał się na włączenie Przystanku Jezus, zasłaniając się jakimiś administracyjnymi trudnościami. W końcu przystał pod warunkiem, że wolontariusze Przystanku Jezus zostaną dopisani do pracowników ochrony wydarzenia, co pomogłoby mu spełnić wymagania dotyczące imprez masowych. Ksiądz Artur podkreślił, że jego wolontariusze w pierwszej kolejności chcą pomagać osobom nadużywającym alkoholu i narkotyków, bo takie są potrzeby. Pamiętam, jak Jurek wtedy zmienił się na twarzy, wpadł w szał i wyrzucił nas z biura.

Pomimo tych doświadczeń Przystanek Jezus działał nadal w sąsiedztwie Woodstocku, oferując pomoc duchową i medyczną.

W obrazie WOŚP podkreśla się często element edukacyjny i wychowawczy orkiestry. Jednocześnie wspomina się o indoktrynacji ideologicznej płynącej ze sceny. Rzadziej mówi się o demoralizacji, która dokonuje się na polu namiotowym. Wiele dostępnych badań pokazuje, że różnego rodzaju ryzykowne inicjacje młodych ludzi zdarzają się właśnie na takich imprezach. I Owsiak za to też ponosi odpowiedzialność.

Festiwale stały się dobrze biznesowo naoliwioną maszyną, stąd zasadne są pytania, na ile te działania finansowane były także z datków na WOŚP. Ale mamy prawo także pytać, na ile te masowe imprezy Owsiaka przyczyniły się do trudnych do oszacowania szkód – zdrowotnych, moralnych, społecznych, duchowych. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Chwalmy szczerość

Katarzyna Kotula, minister od prostowania garbów czy innych nierówności (nie mogę spamiętać tych wszystkich nazw), publicznie powiedziała prawdę, co wydaje się godne uwagi: „Rozmawiamy o rządowym projekcie ustawy o uzgodnieniu płci. Dlaczego o nim nie mówimy publicznie? Dlaczego o nim nie mówimy w mediach? Ponieważ podjęliśmy decyzję, że do końca kampanii prezydenckiej i do końca procesu związanego z ustawą nie chcemy o tym mówić". Już tłumaczę, co pani Kotula powiedziała. Sens jest następujący: „Kochani głupi wyborcy, nie będziemy teraz mówić o dziwactwach z płciami, nie będziemy was tym drażnić, bo to może zaszkodzić naszemu kandydatowi na prezydenta i my to wiemy, więc jak już wybierzecie, kochani głupi wyborcy, naszego kandydata – no bo jak pokazują praktyka i doświadczenie, mądrzy to wy nie jesteście – to wtedy ustawę, która wam się nie podoba, przegłosujemy i tyle będziecie mieć do gadania". Stop. Szanuję szczerość nawet u lewaków.

Rafał Trzaskowski nakręcił króciutki filmik, w którym do czarnej kawy nalewa mleka i w owym czasie na szklance, z powodu kontrastu z białym mlekiem, ukazuje się napis „18 maja", czyli dzień wyborów prezydenckich. Stop. Sprytne, niemniej złośliwi internauci odkryli, że to podróbka konceptu i filmiku, który nakręcił wcześniej były premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak. I tak oto z powodu elastycznych poglądów pan Rafał, który miał już pseudonim Człowiek Guma, dorobił się krótszego: Podróbeczka.

Objawiła się światu z przytupem niejaka Katarzyna Bąkowicz, ekspert podobno od badania wpływów rosyjskich, warto zapamiętać. Stop. Szczupła i na oschły sposób kategoryczna niewiasta stwierdziła w telewizji z dużą aprobatą, że Niemcy potrafią wyrzucać z pracy ludzi, którzy w mediach społecznościowych piszą komentarze niszczące poprawność polityczną lub też siejące dezinformację czy też kłamstwa. Stop. Pani przypomniano, że trochę wcześniej kłamała publicznie w telewizji w sprawie Karola Nawrockiego, który miał według niej na jakimś zdjęciu „zamawiać pięć piw", czyli wykonywać nazistowskie pozdrowienie, choć na zdjęciu była inna osoba. Bąkowicz nie chce jednak siebie wyrzucić z pracy, ponieważ zasady, które głosi, najwyraźniej jej nie obowiązują.

Komendant policji w Iławie, Waldemar Pankowski (lat 45), żegnając się ze służbą, publicznie powiedział swojemu szefowi: „Ojczyznę kocham. Prawo w Polsce nie obowiązuje. Jako człowiek honoru nie mogę podać Panu ręki". Stop. Policjant jednoznacznie zasugerował, że zwolniono go z powodów politycznych, choć on w politykę się nie bawił. Stop. Kiedy policjant mówi, że w Polsce prawo nie obowiązuje, to może już pora... ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Skrzynka wina dla każdego

Intrygujące przemiany przeżywać zaczęli liderzy światowej polityki i mediów. Masowe „wyjścia z szafy" zakonspirowanych przeciwników cenzury zapoczątkował założyciel Facebooka. „Wysocy rangą urzędnicy administracji Bidena wielokrotnie i przez miesiące naciskali na nasze zespoły, by cenzurowały niektóre treści związane z COVID-19" – ogłosił Mark Zuckerberg. Cenzurze podlegać miały informacje o skutkach ubocznych szczepionek, do których stosowania przymuszały poddanych rządy na całym świecie, także w Polsce.

Zaraz po Zuckerbergu wolnościowego coming outu dokonał były polski premier Mateusz Morawiecki. Inspiracją dla polityka stała się, co nie dziwi, dokonana przez właściciela Facebooka wolta. „Będziemy czempionami wolności słowa w Internecie. Musimy protestować przeciwko jakimkolwiek próbom blokady wolności słowa w mediach i w Internecie. Spór i prawo do niego to esencja demokracji. Obywatel wolny i bezpieczny to obywatel dobrze poinformowany. Żaden rząd, żaden polityk, żaden urzędnik nie może zamykać ust internautom" – poucza Morawiecki.

Czyżby Mateusz Morawiecki zapomniał, jak traktowano wolność słowa w czasie jego rządów? Cenzura covidowa wprowadzona wtedy w mediach publicznych przypominała najgorsze PRL-owskie ekscesy. Za krytyczne opinie o polityce rządu zdjęty został z TVP program „Warto rozmawiać" Jana Pospieszalskiego.

Krytyczne wobec rządu portale, jak wRealu24.pl, były bezpardonowo zamykane. Ówczesny minister zdrowia, Adam Niedzielski, zarzucał „antyszczepionkowcom" „stosowanie terroru" i zapowiadał „ściganie ich". „Idea wolności i nadużywanie jej pod kątem głoszenia czegokolwiek, również wartości czy treści obraźliwych dla innych osób, nie jest ideą, która prowadzi do harmonijnego funkcjonowania w społeczeństwie […]. Zwracam uwagę „anonimowym" internautom, że nie jesteście anonimowi, że skargi, które będą składane, pozwalają identyfikować wasze adresy IP" – groził Adam Niedzielski.

Aberracyjne upodobanie, z którym były premier rzuca się do głoszenia poglądów, którym niedawno zaprzeczał lub je zwalczał, stało się znakiem rozpoznawczym tego polityka. Ostatnio brnął on w samobójcze wizerunkowo dyskusje o swojej akceptacji Zielonego Ładu i „kamieni milowych" KPO. Czy teraz uczyni z siebie pogromcę sanitarnej cenzury? Jeśli ogłosić zamierza chęć nagrodzenia skrzynką dobrego polskiego wina każdego, kto wykaże jego związki z ministrem Niedzielskim, to będzie to dla całej branży winiarskiej cennym i hojnym wsparciem w kryzysowych czasach. ©℗

eprasa.pl 3bd2b0f672

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Idzie burza

O przyszłości nie da się powiedzieć niczego pewnego. Nie powinni tego robić zwłaszcza historycy. Muszą się jednak wsłuchiwać w odgłosy nadchodzącej burzy. Trudno bowiem ich nie słyszeć. Z burzą jak to z burzą – nie da się do końca przewidzieć, czy uderzy w nas, czy przejdzie bokiem, w kogo strzeli piorun i czy powietrze po burzy będzie świeższe czy nadal zachmurzone.

Polska jest na drodze tej burzy. Wiele osób myślało tu, że Unia Europejska stanowi skuteczny piorunochron, że możemy w niej spać spokojnie, a tymczasem to z Unii płyną czarne chmury. W państwach aspirujących do unijnego przodownictwa – Niemczech i Francji – rządy się chwieją i nie widać ustabilizowania ich sytuacji politycznej. W innych krajach można się także spodziewać problemów politycznych wynikających z pogarszających się perspektyw gospodarczych. Są one konsekwencją katastrofalnej polityki przywódców europejskich, witających migrantów o niskich kwalifikacjach i wielkich pretensjach, a także goniących za ekologicznymi majakami kosztem ekonomicznych realiów. Komisja Europejska oderwała się od rzeczywistości i wcale nie chce do niej wracać. Upiera się przy Zielonym Ładzie, a na wzrost ekonomicznego egoizmu państw członkowskich reaguje projektem centralizacji Unii. Więcej Unii na kłopoty Unii – to przypomina hasło z końca epoki „socjalizmu realnego", który chciał się leczyć zwiększaniem dawki „socjalizmu". Nad krajami Unii, które same sobie pogarszały konkurencyjność, wisi miecz Damoklesa – amerykańskie cła jako narzędzie przywracania rozumu.

U wschodnich granic Unii Europejskiej szaleje wojna, w której rosyjscy barbarzyńcy nie przebierają w środkach i wcale nie obiecują, że znają granice swego szaleństwa. Europejscy dzielni wojownicy o czystą planetę sami się wycieńczyli i rozbroili. Więc kto im pomoże, jeśli będą nadal gryźć amerykańską rękę, która ich może obronić?

W środku tego nadciagającego sztormu leży sobie Polska. Leży dosłownie snem większości obywateli i 30-procentowym poparciem dla rządu, który wyprzedaje aktywa za granicę, rujnuje programy inwestycyjne, rozszczelnia budżet, by stracić środki na zbrojenia, lansuje seksualizację dzieci, a także działa wbrew konstytucji i rozmontowuje wymiar sprawiedliwości. Surrealizm sytuacji polega na tym, że wybitni przedstawiciele rządzącej koalicji zapowiadają, iż nie uznają Izby Kontroli Sądu Najwyższego, która zatwierdza wynik wyborów prezydenckich, jednak nie oddają mandatów uzyskanych w wyniku wyborów z 2023 r. zatwierdzonych przez tę Izbę.

Co więcej, minister sprawiedliwości, który stale szuka podstaw prawnych do swych działań, także tej Izby nie uznaje, choć wielokrotnie występował do niej jako strona, czyli ją uznawał. Niemcy mają na to świetne określenie – „jein", czyli: „tak znaczy nie" lub „nie znaczy tak". Biedny kraj ta Polska czekająca na burzę.

Zza oceanu zbliża się zaś potężny wiatr. Niesie on groźne przekonanie, że trzeba skończyć z wariactwem. Po 20 stycznia, dniu inauguracji prezydenta Donalda Trumpa, można się wiele spodziewać. Może on spaść na dzielnych Europejczyków swoimi cłami, może zagrozić, że głupków nie będzie bronić przed wrogami, może w końcu wyciągnąć konsekwencje z ich dotychczasowych działań antyamerykańskich i kpin z siebie. Rząd polski nie wygląda tu dobrze. Niektórzy przywódcy już przyjmują nowe pozy wobec USA, choć chyba nie są w tym wiarygodni.

Czy zdoła to uczynić polski rząd, skoro słychać już o procesach Trumpa o dobra osobiste za oskarżenia o rosyjską agenturę? A w tle jeszcze jest obniżenie rangi polskiego przedstawicielstwa w Waszyngtonie, nieodpowiedzialne komentarze po zniszczeniu gazociągu Nord Stream 2, a także zgoda na umowę z rosyjską FSB i być może jeszcze inne problemy. Oj, niedobrze, mości panowie, niedobrze… ©℗

Wiele osób w Polsce myślało, że Unia Europejska stanowi skuteczny piorunochron, że możemy w niej spać spokojnie, a tymczasem to z Unii płyną czarne chmury

eprasa.pl 3bd2b0f672

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

BLOKADA

Ministerstwo Cyfryzacji chce usuwać z Internetu treści, które wskaże władza. Usuwanie treści to to samo, co wysłanie nakładu zakazanej książki na przemiał. Ktoś coś napisał, władza zabrania czytać. Usuwanie treści to cenzura i konfiskata majątku jednocześnie – podcast to taki sam przedmiot obrotu handlowego jak gazeta w kiosku.

Mój dziadek miał sklep i prowadził go jeszcze krótko po wojnie. Urzędnicy władzy komunistycznej konfiskowali mu różne towary, w tym przedwojenne wydania „Rocznika Statystycznego". Dlaczego to? Bo można było sobie porównać statystyczny poziom życia przed wojną i po wojnie, a to się komunistom nie podobało.

Teraz podobnie – urząd będzie decydował, które treści są zakazane. Przyjdą wytyczne z góry, czyli lista tematów lub opinii zakazanych, a niżej, na szczeblu biurek, będą siedzieli ciecie decydujący, które konkretnie wpisy, newsy, wiadomości, opinie, badania naukowe wykasować.

Będą usuwali to, co niewygodne dla władzy. Jeżeli urzędnik coś zawali, to informacje na ten temat się usunie, bo podważają autorytet władzy, podrywają zaufanie do premiera lub do policji i tak dalej. Nie chodzi o prawdę, choć oni to tak nazywają. Mówią, że w sieci jest za dużo dezinformacji, ale ich nie obchodzi dezinformacja ogólnie, lecz tylko ta, która im utrudnia rządzenie.

Gdyby chodziło o oczyszczenie sieci z nieprawdy, musieliby kasować podcasty z serii „jak schudnąć 20 kg w miesiąc bez ćwiczeń". Gdyby chodziło o dezinformację, musieliby kasować wszystkie wypowiedzi Trzaskowskiego na każdy temat. A gdyby chodziło o kasowanie głupot, musieliby usuwać wszystkie przemówienia Hołowni. Ale im chodzi wyłącznie o kasowanie tego, co może podważyć ich władzę.

***

Pierwszymi cenzorami sieci byli prywaciarze prowadzący wielkie media społecznościowe. Jutuby, fejsbuki i twittery zaczęły tłumić pewne treści i osoby, wprowadziły demonetyzację, a ostatecznie zatrudniono grupę cenzorów, którą można określić zbiorowo jako „Zamknij Mordę". Publikowałeś, coś, co im się nie podobało, to ci zamykali mordę i mieli na to wiele sieciowych sposobów.

Władzy się to bardzo spodobało. Chińczycy zażądali cenzury w sieci na swoim terenie i amerykańscy prywaciarze w pogoni za zyskiem zgodzili się na wszystkie warunki. A potem cenzury zażądała administracja Joe Bidena. Zuckerberg nam o tym opowiedział w kilku wywiadach – że dzwonili do niego, przysyłali agentów, robili naciski, a on się godził tłumić treści prawdziwe, ale niewygodne dla władzy.

Po wygranej Donalda Trumpa byli u niego z wizytą kolejno wszyscy wielcy prywaciarze: Mark Zuckerberg, Bill Gates, Jeff Bezos. Padły obietnice zaprzestania stosowania „cichej cenzury" w USA. W Unii Europejskiej przeciwnie.

***

Kandydatka Lewicy na prezydenta, Magdalena Biejat, chce dyskusji o ograniczeniu dostępu do X w Europie. Od kiedy Elon Musk kupił Twitter i zmienił mu nazwę na X, na platformie dozwolona jest swobodna wymiana poglądów. Nikt już nie cenzuruje treści, które nie podobają się kierownictwu Unii Europejskiej. Bruksela nazywa to „dezinformacją" i rozpowszechnianiem „fake newsów". Chcą zakazać X. W zeszłym roku uchwalono rozporządzenie Digital Services Act, które zezwala Komisji Europejskiej na kontrolowanie mediów społecznościowych oraz na wprowadzenie cenzury.

Czy to w ogóle możliwe technicznie? Przecież sieć to sieć i ona nie zna granic. Gdyby zakazali Muskowi nadawania z terenu Europy, to nadal dałoby się wejść na serwery amerykańskie, prawda? Nieprawda!

Brazylia wprowadziła całkowity zakaz korzystania z platformy X. Władza poleciła dwóm gigantom informatycznym, Apple i Google, aby usunęli platformę X ze wszystkich swoich urządzeń i zablokowali do niej dostęp w systemach operacyjnych iOS i Android. A cały świat pracuje na tych dwóch systemach – 99,3 proc. smartfonów wyposażonych jest w któryś z nich.

Da się to obejść za pomocą urządzeń typu VPN, ale rząd atakuje STRACHEM – za korzystanie z VPN do łączenia się z X dostaje się w Brazylii karę w wysokości 8874 dol. za DZIEŃ. Zatem można to zrobić, i to łatwo. Pytanie tylko, czy kogoś na to stać.

A co z resztą sprzętu, czyli np. z laptopami? To samo. W uproszczeniu można sobie wyobrazić Internet jako sieć kanalizacyjną: cały ruch sieciowy w Brazylii leci do jednej zbiorczej rury wychodzącej na świat. Tę ostatnią rurę (kabel, łącze) kontroluje rząd, który na końcu rury założył filtr blokujący X. Jeśli się chce ominąć tę główną rurę rządową, to dostaje się ponad 8 tys. dol. kary dziennie.

A jak to możliwe, że cały ruch z tak ogromnego kraju jak Brazylia odbywa się ostatecznie po jednym kablu?

Może to nie być jeden kabel, mogą być dwa, trzy, dwadzieścia, ale to nie ma znaczenia. Wszystkie one idą przez rządowe serwery i cały ruch jest nadzorowany. W Polsce mamy NASK, czyli państwowy instytut nadzorowany przez Ministerstwo Cyfryzacji, przez który idzie wszystko. W Brazylii też mają swój nadzorowany NASK. I na całym świecie, w każdym państwie, jest zawsze jakieś jedno centrum, przez które prowadzą wszystkie kable. Infrastruktura może być rozproszona, ale w każdym państwie jest zawsze jedna instytucja (kontrolowana przez władzę), przez którą przechodzi cały ruch.

To bardzo niebezpieczne, bo wystarczy walnąć niewielkim ładunkiem w to jedno centrum i łączność całego państwa z resztą świata zostaje zablokowana.

To zresztą nie musi być ładunek, może być powódź, jak ta we Wrocławiu w roku 1997, gdzie zalane było 40 proc. miasta. Gdyby NASK był w takim miejscu, to tracimy rządowe serwery.

Była nawet taka awaria niedawno – część Europy nie miała dostępu do Internetu, bo chiński statek kotwicą zerwał kable ze światłowodem. Kontynenty są połączone dosłownie kilkoma kablami światłowodowymi. Przez tę transatlantycką sieć przechodzi cały ruch internetowy.

Jak się uwolnić od rządowej dyktatury w sieci? Likwidacja takich instytucji jak NASK. Komunikacja w sieci powinna się odbywać swobodnie po prywatnych kablach i niech je kładzie, kto chce. Elon Musk jest zagrożeniem dla monopolu władzy, ponieważ buduje sieć satelitarną, która omija rządowe centra i kable. ©℗

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

eprasa.pl 3bd2b0f672

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

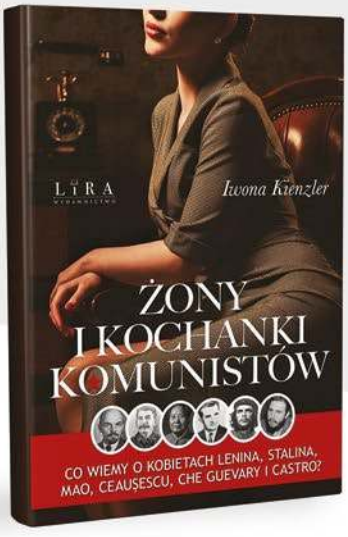

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER: „ŻONY I KOCHANKI KOMUNISTÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~771 ZŁ~~

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 478 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3bd2b0f672

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

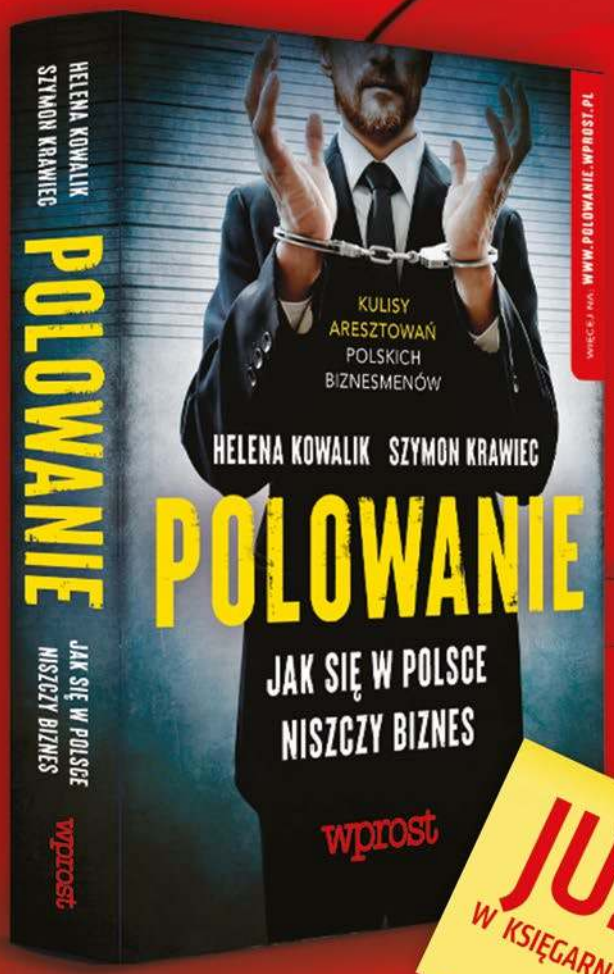

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 3bd2b0f672